

Kostecki:  
Umieźdzynarodowienie „w domu”

Sokala, Kieraciński:  
Kongres Kopernikański

Alexandrowicz, Stachowiak-Szrejbrowska:  
W obronie NCN

# FORUM

---

## A K A D E M I C K I E

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 3/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



**Ujawnić niewidoczne** Str. 24-31

Czakon, Mazurek:  
Uczeni vs. maszyny

Karwowski:  
Rzecznik na nowo wymyślony

Woźniak:  
Fiński wariant modernizacji



# Światowy Kongres Kopernikański

## Toruń, 19-21 lutego 2023 r.

Fot. Andrzej Romański, Jacek Smarz, Akademia Kopernikańska



## INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Światowy Kongres Kopernikański – Piotr Kieraciński	6
Polska nauka w pigułce	8
Chleb nasz powszedni – Marcin Pałys, Grażyna Borkowska, Stanisław Kistryn	10
Otwarte dane – kto za to zapłaci? – Piotr Kuśtrowski	12
Zmniejszyć pensum – Diana Dajnowicz-Piesiecka	13
Praktyka interpretowania przepisów... o praktykach – Marcin Chalupka	14
Uniwersytet Kopernikański w roku Kopernika – Andrzej Sokala	15
W świecie drapieżników – Jolanta Szczepaniak	16
Skąd takie emocje, czyli dlaczego nie lubimy darmowych obiadów – Jarosław Polanski	16
Odmienione AMP-y	18
Technologia Salesforce – materiał sponsorowany	19
Fundacje wspierające naukę – Maciej Żylicz	20

## ROZMOWA FORUM

Solidarni z Ukrainą – rozmowa z dr. Dawidem Kosteckim, dyrektorem NAWA	21
---	----

## KOMUNIKACJA NAUKOWA

Czym są otwarte dane badawcze? – Anna Kamińska	24
Szarża lekkiego brygadiera. Cz. II – Dariusz Seweryn	29

## ŻYCIE NAUKOWE

Nie takie NCN straszne – Piotr Alexandrowicz, Anna Stachowiak-Szrejnbrowska	32
Biura pod ostrzałem – Anna Stachowiak-Szrejnbrowska, Piotr Alexandrowicz	35
Wynagradzanie uczonych – Zbigniew Drozdowicz	38
Akademia wobec SI – Wojciech Czakon, Grzegorz Mazurek	41

## Z archiwum nieuczciwości naukowej (196)

Pięć retrakcji – Marek Wroński	45
-----------------------------------	----

## ŻYCIE AKADEMICKIE

Lifting rektorskich „ust” – Mariusz Karwowski	49
Sensybilizm mruży oko – Rozmowa z prof. Michałem Jędrzejewskim	53

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	58
---	----

## Publikuj lub giń

Powrót do pisma obrazkowego? – Marek Misiak	59
--	----

## Z LABORATORIÓW

Nauka i edukacja jako warunek modernizacji – Wojciech Woźniak	62
--	----

## W STRONĘ HISTORII

## Portrety nauki polskiej

Wynalazki pod kontrolą – Marcelina Smużewska	67
Pierwsza polska medycynierka – Marcelina Smużewska	70

## Pro publico bono (6)

Pożegnanie z PRL-em – Piotr Hübner	73
---------------------------------------	----

## OKOLICE NAUKI

## Książki

Puste sanie – Aneta Zawadzka	77
„A trzeci, co był głupi...” – Jacek Hnidiuk	77
Wykreować siebie głosem – Mariusz Karwowski	78
Followera kupię – Krystyna Matuszewska	78
Zadomowienia Mirona Białoszewskiego – Zbigniew Chojnowski	79
Kujawska rzeźbiarka – Bodgan Bernat	79

## FELIETONY

## Szkiełko w oku

O niektórych skutkach reklamowania – Piotr Mildner-Nieckowski	76
--	----

## Na marginesach nauki

Kłopoty humanistów – Leszek Szaruga	80
--	----

Projekt okładki – Sławomir Makal

## FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXX Nr 3 (352) Marzec 2023

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźniak – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieraciński@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, [www.web-graf.pl](http://www.web-graf.pl)), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

## Zmiana u steru NCBR

**WARSZAWA** Dr Jacek Orzeł został powołany na pełniącego obowiązki dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Zastąpił dr. Pawła Kucha, który kierował instytucją od sierpnia 2022 r. Jest menedżerem, ekonomistą oraz informatykiem ze specjalizacją w tematyce zarządzania bezpieczeństwem i ryzykiem. Ukończył studia informatyczne na Uniwersytecie Warszawskim, doktorat z nauk ekonomicznych zrealizował w Szkole Głównej Handlowej. Doświadczenie zawodowe zdobywał zarówno w sektorze komercyjnym, jak i publicznym. Wcześniej był dyrektorem Biura Polityki Bezpieczeństwa w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, pracował też w Ministerstwie Rozwoju, Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju, Głównym Urzędzie Statystycznym, INVEST-BANK S.A., NBP i PFRON.



Fot. NCBR

## Nowy szef Łukasiewicza

**WARSZAWA** Dr Andrzej Dybczyński, dotychczasowy dyrektor Łukasiewicza – PORT, został nowym prezesem Sieci Badawczej Łukasiewicza. Zastąpił dr. Piotra Dardzińskiego, który złożył rezygnację z pełnionej funkcji. Dybczyński ukończył studia kulturoznawcze i politologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 2002–2018 był pracownikiem naukowym tej uczelni. Od 2009 do 2014 roku kierował podyplomowym Studium Funduszy Strukturalnych Unii Europejskiej, a w okresie 2005–2012 pełnił funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Politologii. Zasiadał także w Senacie UWr. Z PORT jest związany od 2018 roku, kiedy ośrodek nie wchodził jeszcze w skład Łukasiewicza. Na początku był dyrektorem zarządzającym spółki. Wraz z wejściem do Sieci objął w kwietniu 2019 roku stanowisko dyrektora. Sieć Badawcza Łukasiewicza grupuje obecnie 22 instytuty naukowe, w których pracuje ponad 7500 osób i działa 440 laboratoriów. Jednostki zlokalizowane są w 12 polskich miastach.



Fot. PORT

dek nie wchodził jeszcze w skład Łukasiewicza. Na początku był dyrektorem zarządzającym spółki. Wraz z wejściem do Sieci objął w kwietniu 2019 roku stanowisko dyrektora. Sieć Badawcza Łukasiewicza grupuje obecnie 22 instytuty naukowe, w których pracuje ponad 7500 osób i działa 440 laboratoriów. Jednostki zlokalizowane są w 12 polskich miastach.

## Po 1,5 mln euro na start

**WARSZAWA** Dwoje naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego otrzymało ERC Starting Grants. Dr hab. Piotr Skowron z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki otrzymał prawie 1,5 mln euro na badania algorytmów, które można stosować w głosowaniach o złożonej strukturze, np. gdy podjęta decyzja musi mieć określone cechy (np. aby wybrana w głosowaniu grupa reprezentantów miała odpowiednią strukturę demograficzną). Dr Agnieszka Brylak również dostała blisko 1,5 mln euro na kompleksową analizę „teotl” – głównej kategorii religijnej przedhiszpańskiego Środkowego Meksyku. Pozwoli to zrozumieć system wierzeń Indian Nahua. Oboje znaleźli się na liście rezerwowej ostatniego konkursu ERC StG, który rozstrzygnięto w listopadzie. Uzyskali finansowanie dzięki dodatkowym środkom wygospodarowanym przez ERC. Do tej pory, włącznie z dwoma nowymi, do Polski trafiły już 43 Starting Grants.



Fot. UW



Fot. UW

## Rektor UMG na czele IAMU

**TOKIO/GDYŃIA** Prof. Adam Weinrit, rektor Uniwersytetu Morskiego w Gdyni, został wybrany na przewodniczącego Międzynarodowego Stowarzyszenia Uniwersytetów Morskich (IAMU). Skupia ono wiodące uczelnie morskie oferujące kształcenie i szkolenia marynarzy dla światowej żeglugi. Zostało założone w 1999 r. i obecnie zrzesza 72 uczelnie z 38 krajów. UMG jest członkiem od 2000 r. IAMU posiada status organizacji pozarządowej reprezentującej akademicką społeczność morską. Ma prawo uczestniczenia w obradach Międzynarodowej Organizacji Morskiej. Co roku w poszczególnych uczelniach członkowskich odbywają się Zgromadzenia Ogólne organizacji. W 2011 roku takie wydarzenie miało miejsce w Gdyni. Kadencja prof. Weinritra rozpocznie się 1 kwietnia i potrwa 2 lata.



Fot. Archiwum

## Gwiazdy i studenci

**BIAŁYSTOK** Prof. Mykhailo Zgurovsky, rektor Politechniki Kijowskiej, zaangażowany w polsko-ukraińską współpracę akademicką i naukową, został uhonorowany specjalną nagrodą „Distinguished Star” przyzna-



Fot. Perspektywy

waną przez „Perspektywy” w ramach programu „Study in Poland”. Gwiazdami Umieędzynarodowienia zostali: prof. Anna Jurkowska-Zeidler (Uniwersytet Gdański), ks. prof. Piotr Nawrot (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), prof. Dorota Dobija (Akademia Leona Koźmińskiego), Magdalena Kudewicz-Kiełtyka (Politechnika Śląska), prof. Michał Dziekoński (Akademia WSB), Marta Forys (Akademia Górniczo-Hutnicza), Anna Maria Jarosławska (Politechnika Wrocławska). Poznaliśmy także laureatów konkursu INTERSTUDENT: studia lic. – Vitalii Morskyi z Ukrainy (Politechnika Rzeszowska), studia mgr – Shamiram Benjamin z USA (Uniwersytet Medyczny w Poznaniu), doktorat – Fatma Edemen z Turcji (Uniwersytet Jagielloński). Nagrody wręczono podczas konferencji Studenci zagraniczni w Polsce 2023 na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku.

## Doktorat h.c. – prof. Jan Reedijk

**TORUŃ** Chemik z Uniwersytetu w Lejdzie otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Wyróżnienie przyznano w dowód uznania dla jego wkładu w tworzenie i rozwój badań w zakresie



Fot. Andrzej Romanowski

chemii bioneorganicznej. Prof. J. Reedijk przez 30 lat, aż do przejścia na emeryturę, był liderem grupy badawczej w Instytucie Chemii na Uniwersytecie w Lejdzie. W latach 2003–2015 zasiadał w fotelu dyrektora tej jednostki. Jego dorobek naukowy obejmuje ponad 1200 artykułów. Należy do grona najczęściej cytowanych na świecie chemików nieorganików (ponad 63 tys. cytowań). Za wkład w rozwój chemii bioneorganicznej otrzymał nagrodę badawczą Maxa Plancka. Jego kontakty z Wydziałem Chemii UMK zaowocowały m.in. zaangażowaniem pracowników jednostki w badania w nowoczesnym i atrakcyjnym obszarze chemii bioneorganicznej.

## Doktorat h.c. – prof. Mathias Z. Strowski

**POZNAŃ** Za osiągnięcia z zakresu gastroenterologii i diabetologii Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu nadał tytuł doktora honoris causa niemieckiemu naukowcowi związanemu od 2001 r. z Charité – Uniwer-



Foto: UPP

sytelem Medycznym w Berlinie. W swojej działalności prof. M.Z. Strowski łączy zaawansowane badania eksperymentalne z pracą lekarza-klinicysty. Od ponad 20 lat współpracuje z UPP, zwłaszcza z Katedrą Fizjologii, Biochemii i Biostruktury Zwierząt, czego efektem jest około 50 publikacji w prestiżowych czasopismach. Jest autorytetem w dziedzinie endokrynologii eksperymentalnej i klinicznej. Wśród jego najważniejszych osiągnięć wymienić można: sklonowanie białka rab-26 i wskazanie na jego rolę w sekrecji enzymów trzustki, wykazanie funkcji somatostatyny i jej receptorów na wydzielanie glukagonu i insuliny, wykazanie, że insulina w mózgu pełni funkcję hormonu regulującego łaknienie oraz przeprowadzenie analizy funkcji peptydu glukagonopodobnego-1 na wydzielanie insuliny.

## „Ratio et spes” dla kosmologa

**TORUŃ** Ks. prof. Michał Heller, wybitny kosmolog, filozof i teolog, został uhonorowany międzynarodową nagrodą naukową „Ratio et Spes” przy-



Foto: UJ

znawaną wspólnie przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika i Watykańską Fundację Joseph Ratzinger-Benedetto XVI. Doceniono w ten sposób szczególnie jego publikację *Nieskończenie wiele wszechświatów. Od Einsteina do nieskończoności* oraz całokształt twórczości. Czytelnikom w Polsce ks. Heller dał się poznać jako znakomity popularyzator nauki, zwłaszcza fizyki i kosmologii. Z kolei naukowcom na całym świecie

znany jest jako wybitny uczyony, autor setek publikacji. Jest twórcą modelu kosmologicznego wykorzystującego geometrię nieprzemianną do opisu zjawisk nielokalnych, które prawdopodobnie występowały w początkowych fazach ewolucji Wszechświata. Od lat pracuje nad połączeniem dwóch najważniejszych teorii fizycznych – ogólnej teorii względności i mechaniki kwantowej. Jest autorem ponad 90 książek i ok. 800 prac naukowych. Za przyznaną mu nagrodę Templetona stworzył Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych w Krakowie.

## Nagrody dla eksploratorów

**ŁĘCZYCA** Dr hab. Marta Kolanowska, orchidolożka z Uniwersytetu Łódzkiego, znalazła się w gronie tegorocznych laureatów Nagrody im. Benedykta Polaka. Badaczka prowadzi prace naukowe w południowej Kolum-

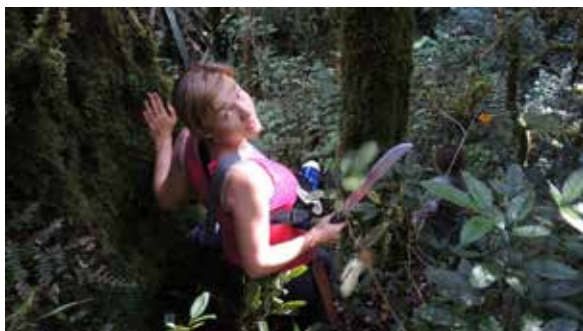


Foto: UŁ

bii. Odkryła 370 nieznanymi gatunków orchidei, zorganizowała i brała udział w ponad 20 ekspedycjach tropikalnych. Wspólnie z naukowcami z innych krajów dąży do utworzenia rezerwatu przyrody w Dolinie Sibundy, a w nim stacji badawczej pod auspicjami UŁ. O jej badaniach pisaliśmy w FA 4/2022. Nagrodzono także: prof. Rimvydasa Petrauskasa, rektora Uniwersytetu Wileńskiego oraz dr. Odpureva Gankhuyaga, absolwenta Uniwersytetu Wrocławskiego, organizatora wystaw, konferencji oraz wykładów polskich naukowców w Ulan Bator i badań polsko-mongolskiej ekspedycji na pustyni Gobi. Wyróżnienia przyznawane są co roku za wybitne osiągnięcia eksploracyjne i badawcze.

## Stulecie PTA

**WARSZAWA** Polskie Towarzystwo Astronomiczne obchodzi w tym roku stulecie swojego powstania. Zostało powołane na Zjeździe Astronomów Polskich w Toruniu 19 lutego 1923 roku, w 450 rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika. Obecnie liczy niespełna 300 członków, a jego działalność polega na wsparciu badań naukowych w zakresie astronomii i nauk pokrewnych oraz popularyzacji i edukacji w zakresie astronomii. Siedzibę ma w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika PAN. PTA wydaje dwumiesięcznik „Urania – Postępy Astronomii”, a co roku „Almanach Astronomiczny”. Prowadzi portal [www.uraniam.edu.pl](http://www.uraniam.edu.pl) oraz serwis AstroGPS. Od wielu lat przyznaje trzy prestiżowe nagrody: Medal Bohdana Paczyńskiego (za wybitne osiągnięcia w astronomii



i astrofizyce), Nagrodę im. Włodzimierza Zonna (za popularyzację wiedzy o Wszechświecie) i Nagrodę Młodych PTA. Wraz z European Astronomical Society przygotowuje obecnie największą konferencję naukową europejskiej astronomii – EAS 2023 w Krakowie (lipiec). Główne uroczystości z okazji 100-lecia PTA odbędą się we wrześniu w Toruniu.

## Powstaje Centrum Sportu

**GDYNIA** W przyszłym roku studenci Uniwersytetu Morskiego w Gdyni będą mogli korzystać z nowoczesnego Centrum Sportu. Obiekt stanie na terenie kampusu uczelni przy ulicy Morskiej, w miejscu wyburzonej poprzedniej hali sportowej. W 5-kondygnacyjnym budynku o powierzchni całkowitej blisko 7 tys. m<sup>2</sup> znajdą się: pełnowymiarowa hala sportowa ze ścianką wspinaczkową, cztery szatnie z pełnym zapleczem sanitarnym, szatnia dla sędziów i pracowników z zapleczem sanitarnym, dwa pokoje dla trenerów, przestrzeń usługowa, pokoje gościnne dla sportowców, sztabu szkoleniowego z aneksami kuchennymi i łazienkami dla 40 osób, widownia dla 130 osób, zaplecze sanitarne dla widzów, strefa fitness i siłownia, przestrzeń biurowa, sala konferencyjna, przestrzeń techniczna, a także parking podziemny na 49 miejsc. Nowocze-



Fot. DWG

sna hala zostanie docelowo połączona z domem studenckim, którego powstanie zaplanowano w drugim etapie budowy kompleksu. Jego otwarcie zaplanowano na II kwartał 2024 roku. Koszt inwestycji wraz z wyposażeniem wynosi około 55 mln zł.

## Wyszkołą specjalistów od radiostacji

**WARSZAWA** Radiowe Centrum Naukowo-Dydaktyczne otwarto w Wojskowej Akademii Technicznej. Jednostka poszerza możliwości badawcze oraz dydaktyczne uczelni w zakresie wojskowych i komercyjnych systemów bezprzewodowych. Prowadzone w niej będą szkolenia z obsługi



Fot. Alicja Szulc

radiostacji wykorzystywanych w polskich siłach zbrojnych oraz prace badawcze dotyczące rozwoju i integracji systemów radiowych. W Centrum będą się mogli również szkolić natowscy sojusznicy. W budynku znajduje się kilkanaście pracowni i laboratoriów oraz aula na 120 osób. To już trzecia w ostatnich miesiącach inwestycja laboratoryjno-dydaktyczna WAT. W 2022 r. Wydział Inżynierii Lądowej i Geodezji zyskał nową siedzibę Katedry Rozpoznania Obrazowego, a Wydział Bezpieczeństwa, Logistyki i Zarządzania – Wojskowe Centrum Badawczo-Dydaktyczne Logistyki.

## Zajrzą w głąb

**LUBLIN** Ponad 5 mln zł kosztował nowoczesny nanotomograf, który powiększył bazę aparaturową Politechniki Lubelskiej. Za pomocą urządzenia naukowcy mogą teraz zajrzeć w głąb takich materiałów, jak ceramika, tworzywa sztuczne, ultranowoczesne kompozyty czy nie-



Fot. PL

które metale. Maksymalna rozdzielczość aparatu wynosi 70 nanometrów, czyli 1000 razy mniej niż grubość ludzkiego włosa (0,07 mm). Oznacza to, że można obserwować budowę wnętrza włosa w powiększeniu tysiącokrotnym. Urządzenie pozwala na określenie zależności między tym, jak zbudowany jest materiał, a tym, jak zachowuje się on np. jako element samolotu. Sprawdzić można porowatość, wielkość i rozmieszczenie porów czy składników materiału, obecność pęknięć i ich wymiary oraz wszystkie te cechy, które mogą mieć wpływ na wytrzymałość materiału. Jego atutem jest także specjalny uchwyt, który pozwala zobaczyć, co dzieje się w materiale podczas jego pracy, kiedy działa na niego siła lub jest nagrzewany bądź chłodzony.

## Roślinny bank

**OPOLE** Bank Genów Roślin Połnych i Użytkowych powstaje w Międzynarodowym Centrum Badawczo-Rozwojowym Uniwersytetu Opolskiego. Znajdą się w nim arkusze zielnikowe zawierające około 30 tys. roślin naczyniowych i porostów, m.in.

z Bałkanów, Tadżykistanu, Kirgistanu, Uzbekistanu, Chin, Tajlandii, Malezji, Kambodży, Filipin, Indonezji, Sri-Lanki, Nepalu, Argentyny i Brazylii. W przyszłości gromadzone będą także nasiona, tkanki i DNA gatunków rzadkich i ustępujących na obszarze Śląska Opolskiego. Bank genów to kolekcja danych genetycznych wybranej grupy organizmów. Są tworzone na całym świecie dla zachowania różnorodności biologicznej. Mogą służyć do odtwarzania wymarłych populacji roślin bądź dawniejszych odmian roślin uprawnych. Bodaj najbardziej znanym jest Svalbard Global Seed Vault, na norweskim archipelagu Svalbard, zlokalizowany w tunelu wydrążonym w wiecznej zmarzlinie – z ponad milionem próbek. Będą tam również trafiły duplikaty nasion z Opolszczyzny.



Fot. Instytut Biologii UO

## Po drodze do kierunku lekarskiego

**SIEDLCE** Laboratorium Biologii Molekularnej i Genetyki otwarto na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach. To jeden z etapów podążania w kierunku utworzenia na uczelni kierunku lekarskiego. Prace nad uruchomieniem pracowni trwały półtora roku. Laboratorium o powierzchni 150 m<sup>2</sup> mieści się na Wydziale Nauk Medycznych i Nauk o Zdrowiu. Wyposażono je w profesjonalny sprzęt do biologii molekularnej, w tym sekwencjonowania wielkoskalowego i analiz funkcjonalnych. Jednostka została stworzona na potrzeby analiz genetycznych DNA, metylacji, analiz ekspresji: mRNA, miRNA, analiz metagenomicznych, sekwencjonowania następnej generacji. Dodatkowo pozwala na współpracę w ramach analiz mikromacierzowych, analiz białek czy eksperymentów. Pracownia pozwoli uczelni na realizację projektów na potrzeby przemysłu, rolnictwa czy kryminalistyki. Inwestycja kosztowała 5,5 mln zł.

## Odrestaurowują meczet

**SUDAN** Rewitalizację najstarszego zachowanego meczetu w Starej Dongoli przeprowadzą naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki Warszawskiej, Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie oraz Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Stara Dongola (oryginalnie Tungul) była stolicą Królestwa Makurii od V do XIV wieku. Tamtejszy meczet użytkowano nieprzerwanie przez 1100 lat. Projekt, w którym wezmą udział



Fot. CAŚ UW

polscy naukowcy pod kierunkiem dr. hab. Artura Obłuskiego, dyrektora Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW, ma na celu odrestaurowanie go zgodnie z nowoczesnymi standardami konserwatorskimi i otwarcie dla odwiedzających z kraju i zagranicy. Eksperti zajmą się m.in. przesiedleniem kolonii nietoperzy zamieszkującej budynek, a następnie konserwacją malowideł i zabytkowych inskrypcji na jego ścianach. Na realizację projektu ALIPH Foundation przyznała grant w wysokości ponad 1 mln dolarów. Polscy uczeni są pionierami badań nad średniowiecznymi królestwami nubijskimi w Sudanie, a ekspedycja CAŚ UW pracuje w Stariej Dongoli od 1964 roku.

## Najmłodszy w EASA

**SALZBURG/BIAŁYSTOK** Dr hab. inż. Krzysztof Kamil Żur z Katedry Mechaniki i Informatyki Stosowanej Wydziału Mechanicznego Politechniki Białostockiej został członkiem European Academy of Sciences and Arts. Jest najmłodszym wśród zasiedających w tym stowarzyszeniu w całej jego historii – skończył 38 lat. Jego prace badawcze związane są przede wszystkim z inżynierią mechaniczną, lotniczą i materiałową oraz matematyką stosowaną. Dotyczą liniowej i nieliniowej mechaniki struktur w skali mikro i nano oraz mechaniki kompozytowych, nanokompozytowych i inteligentnych konstrukcji mechanicznych i lotniczych pod-



Fot. Archiwum prywatne

danych sprzężonym obciążeniom aero-termosprężystym z uwzględnieniem oddziaływań płyn-struktura. EASA powstała w 1990 roku. Jej celem jest promowanie nauki oraz naukowej i artystycznej wolności w poszukiwaniu prawdy. Akademia skupia ponad 2 tys. wybitnych ludzi nauki, kultury i religii, w tym 42 Polaków.

## Bezkonkurencyjni od lat

**WARSZAWA** Ministerstwo Sprawiedliwości przedstawiło wyniki egzaminów na aplikacje. W ub.r. przystąpiło do nich zaledwie 5806 osób, najmniej od 17 lat. Kandydaci reprezentowali 51 polskich uczelni, w tym 23 publiczne, 28 niepubliczne, a także 8 zagranicznych. Egzaminy zdało 2550 osób, czyli 44% ogółu. Do egzaminu na aplikację adwokacką przystąpiły 2173 osoby, z których zdało 911 (41,9%). O aplikację radcowską ubiegało się 2791 absolwentów, a zdało 1152 (41,3%). Notarialną ścieżkę kariery obrało 682 kandydatów, ale pierwszy etap pomyślnie zaliczyło 389 (57%). Wreszcie na egzamin na aplikację komorniczą stawiło się 160 osób, lecz zdało go 98 (61,3%). Najlepiej, jak przez ostatnie 15 lat, wypadli absolwenci Uniwersytetu Jagiellońskiego (82,6% zdawalności). W czołówce są: Uniwersytet Śląski (66,3%), Uniwersytet Gdański (66,1%), Uniwersytet Warszawski (59,3%), Uniwersytet Łódzki (57,8%).

## Virogenetics w sieci DURABLE

**PARYŻ/KRAKÓW** Działający w Małopolskim Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego zespół Virogenetics, kierowany przez prof. Krzysztofa Pajcia, został jedynym przedstawicielem w Polsce utworzonej właśnie Europejskiej Sieci Naukowej DURABLE. Ma ona stanowić wsparcie

dla instytucji Unii Europejskiej w przygotowaniach i reagowaniu na przyszłe zagrożenia biologiczne i zagrożenia zdrowia oraz w ocenie wpływu i wyborze optymalnych środków zaradczych. Sieć, zrzeszająca 18 najwyższej klasy europejskich laboratoriów, rozpoczęła działanie 1 lutego



Fot. Virogenetics

i otrzymała wstępne finansowanie w wysokości 25 mln euro. Projekt koordynuje paryski Instytut Pasteura. Główny nurt badań w Virogenetics dotyczy interakcji pomiędzy wirusem a komórką gospodarza. Członkowie zespołu poszukują receptorów komórkowych i czynników aktywujących, które określają specyfikę gatunkową i tkankową, wytyczają drogi internalizacji wirusa i rozszyfrowują interakcje wirusowe w komórce.

## Druha politechnika z medycyną?

**BYDGOSZCZ** Władze Politechniki Bydgoskiej zapowiedziały uruchomienie kierunków medycznych. To druga uczelnia techniczna (po Politechnice Wrocławskiej), na której będą się kształcić przyszli lekarze. Doce-



Fot. RP/WW

lowo jej struktura ma się powiększyć o Wydział Medyczny. Nowym prorektorem PBS z zadaniem uruchomienia kierunku lekarskiego został dr hab. inż. Szymon Różański. Plany ogłoszono podczas otwarcia nowego obiektu dydaktycznego. Na ponad 4600 m<sup>2</sup> zlokalizowano kilkanaście sal dydaktycznych i laboratoriów oraz multimedialną aulę na kilkaset osób i strefę co-workingową. Na wyposażeniu jest ponad 250 zestawów komputerowych. Z nowej infrastruktury korzystać będą pracownicy i studenci wszystkich wydziałów PBŚ. W budynku znajduje się także Studium Języków Obcych oraz Centralny Dziekanat, w którym można załatwić wszystkie sprawy związane ze studiowaniem. Inwestycja pochłonie blisko 49 mln złotych.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Iwona Cieślak, Iwona Czajkowska-Denek, Marcin Czyżniewski, Ewa Jankiewicz, Mariusz Kopiejka, Anna Modzelewska, Monika Rokicka, Szymon Różański, Paweł Śpiechowicz

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej [www.forumakademickie.pl](http://www.forumakademickie.pl) oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



# Światowy Kongres Kopernikański

W kularach obrad przy kawie polscy młodzi astronomowie z podnieceniem opowiadali mi, jakie to niezwykle spotkanie na jednej konferencji pięciu noblistów. A tak się stało podczas Światowego Kongresu Kopernikańskiego, zorganizowanego z okazji 550-lecia urodzin wielkiego astronoma. W sali na piętrze Ratusza Staromiejskiego, gdzie odbywały się obrady Izby Astronomii i Nauk Matematyczno-Przyrodniczych Akademii Kopernikańskiej, na jednej sesji obok astronomicznych noblistów (de facto otrzymali Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki) przedstawiali referaty z własnych badań młodzi polscy naukowcy. Każda izba Akademii miała swoje obrady. Zwykle po jednej sesji. Badacze nieba przez cały czas kongresu obradowali tłumnie. Ich program był tak napięty, że dyskusje przeciągały się i nie wystarczało czasu, żeby w przerwach między referatami wypić kawę. Żartowali, że to wina zbyt małej liczby ekspresów. . .

To nie dziwne, że na kongresie poświęconym Mikołajowi Kopernikowi najwięcej było astronomów. Gdyby na ulicy zapytać stu przechodniów, kim był Kopernik, zapewne 90% odpowiedziałaby, że astronomem. Struktura obrad odpowiadała temu potocznemu wyobrażeniu, choć sam bohater zapewne na badania nieba poświęcał znacznie mniej czasu niż na inne aktywności. Także w częściach plenarnych obrad dominowali astronomowie. W auli Uniwersytetu Mikołaja Kopernika wykład inauguracyjny o swoich osobistych doświadczeniach wynikających z badań naukowych wygłosił prof. James Peebles, kanadyjski laureat Nagrody Nobla z amerykańskiego Uniwersytetu w Princeton. Tenże podczas sesji plenarnej w Centrum Kongresowym Jordanki mówił o kształtach galaktyk. Prelekcję o tym, jak historycznie rozbudowa aparatury naukowej i jej możliwości obserwacyjnych zmieniały naszą wizję Wszechświata przedstawił szwajcarski noblista z Uniwersytetu Genewskiego prof. Michel Mayor. Te wystąpienia były bogato ilustrowane. Zaglądałem na obrady wszystkich izb Akademii Kopernikańskiej – referaty z astronomii, bardzo specjalistyczne,

dotyczące szczegółów rozmaitych badań i odkryć, były pod względem ilustracyjnym najbarwniejsze. Oprócz J. Peeblesa, jednego z pionierów teorii formowania się struktur kosmicznych, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 2019 roku i M. Mayora (Nobel w 2019 wraz z J. Peeblesem), na Kongresie Kopernikańskim występowali też: prof. Barry Clark Barish z CALTech, czołowy ekspert w dziedzinie fal grawitacyjnych, laureat Nagrody Nobla z fizyki z 2017 roku; prof. Arthur B. McDonald, fizyk z kanadyjskiego Queen's University w Kingston, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 2015 roku oraz prof. Didier Patrick Queloz, szwajcarski astronom, profesor Uniwersytetu Cambridge, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 2019 roku.

Podczas inauguracji obrad w auli Uniwersytetu Mikołaja Kopernika minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek mówił o jednym kongresie, którego obrady będą kontynuowane w kolejnych miesiącach w dwóch innych „kopernikańskich” miastach: Olsztynie i Krakowie. Z hotelu na obrady na toruńską Starówkę chodziłem pieszo, czasami w towarzystwie zagranicznych członków nowej akademii. Pytałem dyskretnie o upolitycznienie tego przedsięwzięcia, którego nie mogli dopatrzeć się na obradach, ale. . . o którym zostali przed kongresem powiadomieni przez „usłużnych”. Dlaczego zatem przyjechali? Zadecydował autorytet polskich naukowców, których znali, a którzy przyjęli członkostwo Akademii Kopernikańskiej. „Autorytet” dziennikarza – profesora, który kilka dni przed inauguracją kongresu wysłał przynajmniej do jednego z noblistów, którego wykład inaugurował obrady, maila z pytaniem, czy zdaje sobie sprawę, że równocześnie odbywają się dwie imprezy, naukowa i polityczna, nie okazał się wystarczający jako przeciwwaga dla opinii światowej sławy polskich badaczy, którzy swoją obecnością wsparli i kongres, i nową Akademię. Moi zagraniczni rozmówcy, członkowie Akademii Kopernikańskiej, wyrażali nadzieje na realny udział w decyzjach podejmowanych przez jej izby zarówno w kwestii grantów, stypendiów, jak i nagród.



Pewnie jedynym politycznym akcentem kongresu było podpisanie przez ministrów edukacji i nauki z dziewięciu państw Deklaracji Toruńskiej. Czytamy w niej: „Badania naukowe, których wynikiem są nierzadko zdumiewające ustalenia, mogą dokonywać się tylko w warunkach zapewnienia uczonym pełnej swobody prowadzenia takich działań”, ale także nieskrępowanej możliwości ogłaszania ich wyników oraz poddawania ich rzetelnej i krytycznej debacie naukowej. „Tylko w takiej atmosferze możliwy jest prawdziwy rozwój nauki, a w ślad za tym rozwój narodów i państw”. Sygnatariusze zapewniają, że będą „podejmować wszelkie działania, aby zapewnić wolność prowadzenia badań naukowych oraz swobodę krytyki i debaty naukowej”.

W swoim wystąpieniu inauguracyjnym prof. Andrzej Sokala, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, gospodarz i jeden z organizatorów kongresu, nawiązał do dewizy uczelni zaczerpniętej z listu Kopernika do papieża Pawła Trzeciego, w którym uczony jednoznacznie stwierdza, że najwyższym obowiązkiem człowieka nauki jest we wszystkim szukać prawdy: „Veritas in omnibus querenda est”. Rektor UMK podkreślał też praktyczny wymiar działalności patrona uniwersytetu, który nie podejmował jedynie zadań, które przysporzyłyby mu sławy, ale takie, które służyły innym. Rektor Sokala przypomniał też wypowiedź papieża Jana Pawła II, który w auli, gdzie inaugurowano kongres, powiedział niegdyś: „Każdy z nas prowadzących badania naukowe i publikujących ich efekty zmagają się z własnymi dylematami. Są one stałym elementem naszej pracy. Jednak poznanie i obrona prawdy, nawet jeśli wymagają odwagi, są naszym obowiązkiem”.

Inauguracji obrad towarzyszyły też dwie formalne uroczystości. Minister nauki Przemysław Czarnek wręczył nominacje pierwszym członkom Akademii Kopernikańskiej. Przypomnijmy, że chodzi o pięć izb: Astronomii i Nauk Matematyczno-Przyrodniczych, Nauk Ekonomicznych i Zarządzania, Filozofii i Teologii, Nauk Prawnych oraz Nauk Medycznych. Ustalono niecałą połowę składu AK – do każdej z izb nominowano 10 osób, za wyjątkiem Izby Nauk Ekonomicznych i Zarządzania, do której nominowano 8 osób (lista nominowanych na portalu [forumakademickie.pl](http://forumakademickie.pl)). Pozostałą część składu Akade-

mii wybiorą sami jej członkowie. Oficjalnie nominację na sekretarza generalnego Akademii Kopernikańskiej odebrał prof. Krzysztof Górski, astrofizyk z NASA i Uniwersytetu Warszawskiego (wywiad z nim ukazuje się w następnym numerze FA).

Odbyła się też Gala Nauki Polskiej. Ta uroczystość na cześć Mikołaja Kopernika została ustanowiona ustawą w 2019 roku na dzień urodzin astronoma, czyli 19 lutego, i po raz pierwszy odbyła się właśnie w Toruniu. Jej kontynuację przerwała epidemia. W tym roku do niej powróciliśmy. Minister nauki uhonorował nagrodami za osiągnięcia naukowe 74 osoby. Nagrody za całokształt dorobku naukowego trafiły w ręce 14 osób. Nagrody za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej i twórczości artystycznej bądź kierowanie zespołami badawczymi zdobyło łącznie 45 osób, w tym 5 w zespołach badawczych. Nagrody za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności organizacyjnej otrzymało 6 osób. Nagrody za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności dydaktycznej przyznano 6 osobom. Nagrody za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności wdrożeniowej otrzymały 43 osoby (pełna lista nagrodzonych na portalu [forumakademickie.pl](http://forumakademickie.pl)).

Obrady rozpoczętego w Toruniu Światowego Kongresu Kopernikańskiego będą kontynuowane w następnych miesiącach w kolejnych „kopernikańskich” ośrodkach akademickich w Krakowie i Olsztynie (czytaj w wypowiedź prof. Andrzeja Sokala na str. 15).

Elementem inauguracji kongresu był świetny koncert wypełniony muzyką nawiązującą do tematyki astronomicznej. Wypełniły go *Wschód słońca*, część pierwsza dzieła *Tako rzecze Zaratustra* op. 30. Ryszarda Straussa; *Sonata księżycowa* Ludwika van Beethovena w aranżacji Jakuba Kowalewskiego; *Planety* op. 32. Gustawa Holsta w aranżacji Pawła Pietruszewskiego oraz wisenka na torcie – *Taniec sfer niebieskich*, utwór skomponowany przez Adama Wesołowskiego z okazji 550. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Wykonawcą koncertu była Toruńska Orkiestra Symfoniczna pod dyktando Litwina Dainiusa Pavilionisa.

Piotr Kieraciński



Fotografie Andrzej Romański, Jacek Smarz, Akademia Kopernikańska



# Polska nauka w pigułce

W Polsce działa 608 instytucji naukowych. Pracuje w nich 124 600 badaczy. Pod tym względem jesteśmy na wysokim 5. miejscu w UE (za Niemcami, Francją, Włochami i Hiszpanią) – wynika z najnowszego raportu *Nauka w Polsce 2022* przygotowanego przez Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy. Publikacja przedstawia najważniejsze charakterystyki polskiej nauki do 2021 roku (tam, gdzie było to możliwe, zaprezentowano również statystyki z roku ubiegłego).

Według danych pochodzących z systemu POL-on działalność badawczo-rozwojowa prowadzona jest w naszym kraju w 369 szkołach wyższych (w tym 131 publicznych), 78 instytutach Polskiej Akademii Nauk, 102 instytutach badawczych (w tym należących do Sieci Łukasiewicz) oraz 59 innych podmiotach. W jednostkach tych personel B+R stanowi 95,8 tys. osób. Zdecydowana większość pracuje na uczelniach publicznych (73%), więcej niż co dziesiąty (12%) w instytutach badawczych, a w instytutach PAN – 8%. Najliczniej reprezentowani są doktorzy (44%), którzy przeważają zwłaszcza na uczelniach i w instytutach PAN. W instytutach badawczych oraz pozostałych podmiotach dominują osoby z tytułem zawodowym magistra lub magistra inżyniera, którzy w całym sektorze nauki stanowią ogółem 16%. Samodzielni pracownicy naukowcy, czyli osoby ze stopniem doktora habilitowanego i tytułem profesora, to odpowiednio: 27% i 13% kadry. Najwięcej pracowników B+R reprezentuje nauki inżynieryjno-techniczne, społeczne oraz ścisłe i przyrodnicze. Pracownicy uczelni publicznych stanowią zdecydowaną większość w dziedzinach: sztuki (97%), nauk humanistycznych (83%), społecznych (81%) i medycznych (78%). W instytutach badawczych dominują przedstawiciele nauk rolniczych (28%) oraz inżynieryjno-technicznych (24%). Z kolei pracownicy instytutów PAN są najliczniej reprezentowani w naukach ścisłych i przyrodniczych (25%).

Kobiety w nauce są w mniejszości (45%). Najliczniejsze ich grono występuje w naukach medycznych i rolniczych (po 58%). Im wyższy stopień naukowy, tym udział pań się zmniejsza. Wśród kadry profesorskiej jest ich tylko 27%.

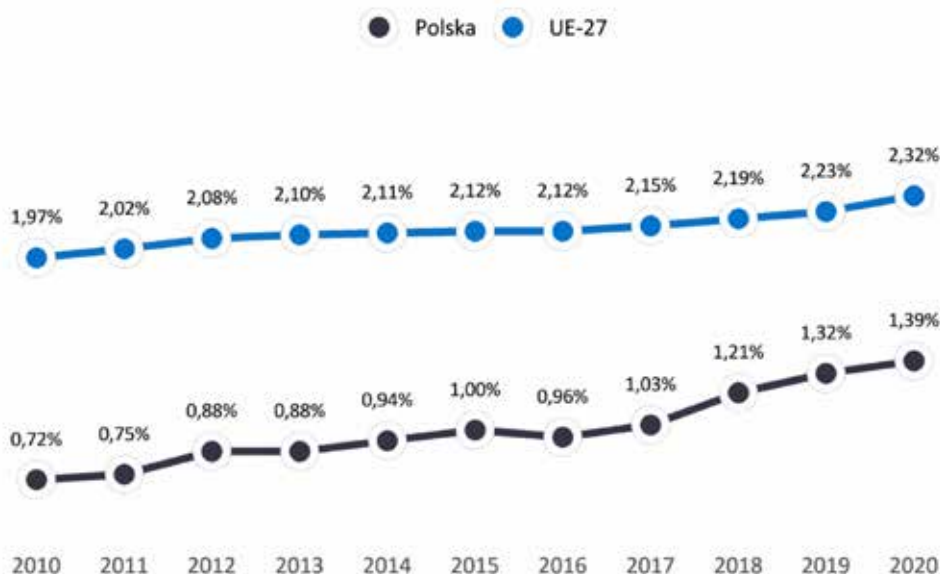
## Wsparcie finansowe

W 2021 roku MEiN przekazało prawie 16 mld zł subwencji na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego. Gros tych środków (88%) trafiło do uczelni publicznych. Jednostki naukowe otrzymały rów-

nież 293 mln zł na utrzymanie aparatury naukowo-badawczej lub stanowiska badawczego, unikatowych w skali kraju (SPUB) oraz na utrzymanie specjalnej infrastruktury informatycznej (SPUBI). Wartość brutto aparatury w instytucjach naukowych wynosiła na koniec 2020 roku 16 mld zł.

W roku 2021 do Narodowego Centrum Nauki wpłynęło łącznie 10 899 wniosków, a finansowanie w łącznej wysokości 1,8 mld zł otrzymało 2510 projektów (współczynnik sukcesu 23%). Najwięcej środków (69%) pozyskali przedstawiciele uczelni publicznych (1,2 mld zł). Pod względem liczby złożonych aplikacji prym wiodli badacze nauk ścisłych i przyrodniczych (3323), którzy otrzymali finansowanie na 882 projekty o wartości prawie 749 mln zł. Najskuteczniejsze w aplikowaniu o granty NCN były instytuty PAN (współczynnik sukcesu 28%). Do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju wpłynęło z kolei 3798 wniosków, a finansowanie otrzymało 926 projektów (współczynnik sukcesu 24%). Agencja przyznała 4,4 mld zł. Aż 87% tej sumy trafiło do przedsiębiorstw. O granty najczęściej aplikowali przedstawiciele nauk inżynieryjno-technicznych (2683 wnioski), którzy finalnie na realizację 679 projektów pozyskali prawie 3,4 mld zł. Również i tu najskuteczniejsze okazały się instytuty PAN (współczynnik sukcesu 31%).

Istotnym wsparciem były też programy ministerialne. W ciągu dziesięciu lat ze środków Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki sfinansowano 1198 projektów o wartości ponad 602 mln zł. Na stypendia dla wybitnych młodych naukowców w latach 2017–2022 wpłynęło 9247 wniosków, z których sfinansowano 1233 o łącznej wartości 6,6 mln zł. Głównie z nauk inżynieryjno-technicznych (294) oraz ścisłych i przyrodniczych (286). W pięciu edycjach programu „Doktoraty wdrożeniowe” wzięły udział 2184 osoby, z których 2060 podjęło kształcenie na uczelniach publicznych. Zdecydowana większość doktorantów reprezentowała nauki inżynieryjno-techniczne.



Udział nakładów krajowych brutto na działalność B+R (GERD) w PKB w Polsce i Unii Europejskiej w latach 2010–2020

W badanym okresie realizowano także inicjatywy, które efektywnie niwelowały skutki tzw. drenażu mózgow. W czterech konkursach programu „Polskie Powroty” Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej wyłoniono 67 laureatów. Najwięcej aplikacji złożyli wnioskodawcy z uczelni publicznych (70%), a najwyższym współczynnikiem sukcesu mogli poszczycić się przedstawiciele instytutów PAN (30%). Jako miejsce docelowego powrotu najczęściej wybierany był Uniwersytet Warszawski (15 naukowców). Najwięcej, bo aż 19 uczonych, wróciło z USA, 17 z Wielkiej Brytanii, a 9 z Niemiec.

Uczestnictwo zespołów z Polski w programach Horyzont 2020 i Horyzont Europa utrzymywało się na poziomie poniżej średniej unijnej. W latach 2017–2022 skierowano do finansowania 506 wniosków z udziałem polskich beneficjentów (w tym 93 w roli koordynatorów), którzy otrzymali w sumie 93 mln euro.

## Produkcja naukowa

Według Polskiej Bibliografii Naukowej w latach 2017–2021 opublikowano 619 tys. prac naukowych, z których większość (67%) stanowiły artykuły, 29% to rozdziały w monografiach, a pozostałe 4% monografie naukowe. Jedynie 3% artykułów naukowych zostało opublikowanych w czasopiśmie poza ministerialnej listy. W porównaniu do początku analizowanego okresu w 2021 r. opublikowano prawie 2,5 razy więcej artykułów w czasopiśmie za 140 punktów, co spowodowało zwiększenie ich udziału w całej strukturze artykułów o 13 p.p. Większy wzrost zaobserwowano jedynie w przypadku artykułów za 100 pkt. – o 16 p.p. W tym samym roku liczba artykułów wydanych zarówno w czasopiśmie, zmalała odpowiednio o 73% oraz 66% w porównaniu do 2019 r.

Najwięcej artykułów, w przeliczeniu na jednego pracownika, opublikowali badacze z uczelni publicznych (5,57) i instytutów PAN (5,43). Ci ostatni przewyższali pozostałych pod względem liczby artykułów opublikowanych w najwyższej punktowanych czasopiśmie. Publikacje anglojęzyczne stanowiły w tym okresie połowę prac naukowych. Największy ich odsetek odnotowano wśród artykułów naukowych (65%), z kolei publikacje w języku polskim przeważały wśród monografii naukowych (85%) i ich rozdziałów (71%). Im wyżej punktowany artykuł, tym większy odsetek autorów stanowili mężczyźni. Największą dysproporcję zanotowano w artykułach opublikowanych w czasopiśmie za 200 punktów, w których mężczyźni stanowili aż 70% autorów.

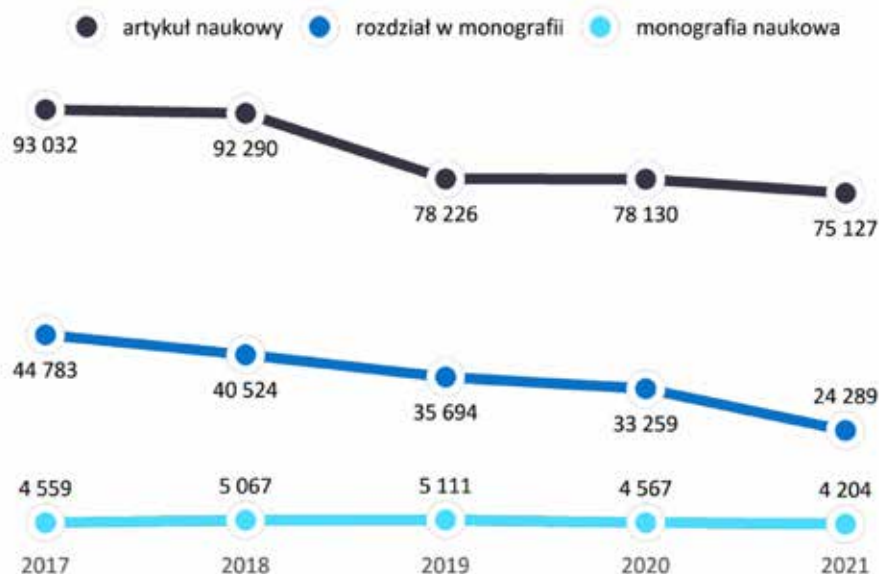
Według bazy Scopus w latach 2017–2021 naukowcy afiliujący do polskich instytucji naukowych opublikowali około 277 tys. prac, co przełożyło się na szóste miejsce Polski w UE (za Niemcami, Włochami, Francją, Hiszpanią i Holandią). Co jednak ważniejsze, prace te cechowały się najmniejszym poziomem wpływu i umiędzynarodowienia. Cytowano je zaledwie o 1% częściej niż przeciętną pracę na świecie (MNC = 1,01), a jedynie 1/3 z nich powstała w międzynarodowym współautorstwie.

W 2021 r. zanotowano spadek liczby zgłoszeń wynalazków (o 14%) i wzrost liczby udzielonych patentów (o 16%) w stosunku do lat poprzednich. Instytucje naukowe złożyły 41% wniosków do Urzędu Patentowego RP, ale były w przewadze, jeśli chodzi o przyznane patenty i prawa ochronne na wzory użytkowe (54%). Najwyższy wskaźnik zgłoszeń przypadających na instytucję naukową zanotowano w województwie lubelskim, zaś najwięcej patentów i praw ochronnych na wzory użytkowe uzyskała Politechnika Lubelska. W latach 2017–2021 podmioty z Polski zgłosiły do Europejskiego Urzędu Patentowego niemal 2,5 tys. wynalazków, z czego 1191 opatentowano.

Ważnym aspektem jest umiędzynarodowienie polskiej nauki, któremu sprzyja rozwijanie współpracy na szczeblu rządowym. Na koniec 2022 r. Ministerstwo Edukacji i Nauki posiadało aż 200 umów z 95 państwami o współpracy w obszarze nauki, szkolnictwa wyższego lub nauki i szkolnictwa wyższego. Najwięcej dwustronnych porozumień Polska podpisała z Niemcami (8), Austrią (6), Czechami i Słowacją (po 5), a także z Argentyną, Grecją, Gwineą, Izraelem, Rumunią, Słowenią i Ukrainą (po 4). Warto odnotować, że nasz kraj jest uczestnikiem wielu międzynarodowych organizacji i konsorcjów wykorzystujących tzw. big science. Nasi badacze należą do Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych (CERN), Europejskiego Obserwatorium Południowego (ESO), Europejskiego Laboratorium Biologii Molekularnej (EMBL) oraz Konsorcjum na rzecz Europejskiej Infrastruktury Badawczej (ERIC). Uczestnictwo w tych instytucjach umożliwia polskim naukowcom m.in. prowadzenie badań z wykorzystaniem unikalnego i zaawansowanego technologicznie zaplecza badawczego, a także udział w programach stażowych, doktoranckich i post-doktorskich. W 2021 roku najwyższe środki (prawie 138 mln zł) przeznaczone zostały na partycypację w CERN.

MK

Ilustracja: Raport Nauka w Polsce 2022, OPI-PIB



Liczba publikacji naukowych w latach 2017–2021

# Chleb nasz powszedni

Po pierwszym roku działania nowej kadencji Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego jej przewodniczący prof. Marcin Pałys z Uniwersytetu Warszawskiego, oraz wiceprzewodniczący: prof. Grażyna Borkowska z Instytutu Badań Literackich PAN i prof. Stanisław Kistryn z Uniwersytetu Jagiellońskiego przedstawiają kilka faktów z działalności Rady w 2022 roku oraz swoje refleksje dotyczące warunków opiniowania aktów prawnych, w których przyszło im funkcjonować.

W styczniu upłynął rok pracy XIII kadencji Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, ustawowego ciała przedstawicielskiego systemu szkolnictwa wyższego i nauki. Według przepisów jesteśmy organem opiniodawczym i doradczym dla władz publicznych, przede wszystkim dla ministra właściwego dla nauki i szkolnictwa wyższego, a członkowie Rady wyłaniani są przez konferencje rektorów, Prezydium PAN, Radę Główną Instytutów Badawczych, Sieć Łukasiewicz, Parlament Studentów RP, Krajową Reprezentację Doktorantów, związki zawodowe i związki pracodawców. Naszą wspólną troską stanowi organizacja i poziom wszystkich elementów szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce. Nie wnosimy do Rady własnych interesów, ale nasze indywidualne doświadczenia – przydatne, gdy debatujemy nad istotnej wagi problemami, proponując najlepsze, jakie potrafimy przygotować, rozwiązania.

Znaki rozpoznawcze Rady, nieodzowne dla jej prawidłowego działania i sensownego wypełniania jej funkcji, to wiedza, zaangażowanie na rzecz wspólnego dobra, niezależność jej członków od świata polityki, swoboda myślenia wolna od sugestii lub nacisków sprawujących władzę oraz zaufanie środowiska. Po upływie roku działania jesteśmy zgodni, że tak jak w poprzednich kadencjach, tak i w tej konsekwentnie i z przekonaniem trzymamy się tych pryncypiów.

Rada wypowiada się w sprawach aktów prawnych, przede wszystkim w postaci uchwał opiniujących projekty legislacyjne, których opracowaliśmy w minionym roku 42. Monitorujemy sektor szkolnictwa wyższego i nauki z różnych punktów widzenia, co umożliwia przemysłana organizacja wewnętrzna Rady, którą w sprawozdaniu za rok 2022 tak opisaliśmy: „skład Rady zapewnia unikalną kombinację wiedzy, doświadczenia, umiejętności, systemowego spojrzenia oraz szerokiej perspektywy, przy jednoczesnej swobodzie działania i niezależności, koniecznych do rzetelnego prowadzenia analiz i formułowania opinii w duchu interesu publicznego”. Ale namysł nad systemem nauki i szkolnictwa realizuje się także poprzez comiesięczne debaty, podejmowane w szerokim gronie ekspertów uzupełniających głosy członków Rady, a także w formie uchwał i stanowisk wyrażających ważne, w naszej ocenie, opinie na temat funkcjonowania systemu. Dyskutowane w mijającym roku tematy to m.in. ewaluacja szkół doktorskich, procedury nadawania stopni naukowych, mobilność międzynarodowa, finansowanie badań i kształcenia na poziomie wyższym, działalność NCN czy polityka naukowa państwa. Na posiedzenia zapraszani są przedstawiciele kierownictwa resortu nauki, którzy jednak nie zawsze korzystają z możliwości udziału w naszych dyskusjach.

Na początku listy spraw koniecznych do rozwiązania są bez wątpienia kwestie finansowania. Nakłady na szkolnictwo wyższe i naukę nie realizują planów, które towarzyszyły powstawaniu kompromisowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (PSWiN) z 2018 roku, zaś kryzysy i inflacja powodują, że nawet utrzymanie nominalnych kwot przeznaczanych dla różnych podmiotów na planowane przedsięwzięcia oznacza w praktyce zmniejszanie finansowania. Główne agencje zajmujące się finansowaniem nauki, NCN, NCBR, NAWA, otrzymały kwoty nominalnie bliskie zeszłorocznym, co oznacza wyraźnie odczuwalny spadek realnych środków. Uznanie należy się ministrowi nauki i środowisku za udane wysiłki, aby ten proces powstrzymać. Wszyscy są jednak świadomi, że warunkiem rozwoju, postępu i innowacji na znaczącą skalę jest znacznie większy przyrost nakładów. Rozumiemy złożoną sytuację finansową państwa, ale też jesteśmy przekonani, że pieniądze przeznaczone na edukację i badania stanowią inwestycję, która perspektywicznie pozwala odzyskać i pomnożyć poniesione koszty. W tych sprawach mówimy jednym głosem z wszystkimi instytucjami sektora nauki i szkolnictwa wyższego.

Równie ważne jak pieniądze są zmiany legislacyjne. Od 2018 roku uchwalono już ponad dwadzieścia nowelizacji ustawy PSWiN, a ciągle stoi przed nami perspektywa kolejnych poprawek. Część dotychczasowych zmian wynikała z pandemii, a potem wojny i podjęcia przez Polskę akcji pomocy dla napadniętej przez Rosję Ukrainy. Abstrahując od powszechnego poczucia, że bez przerwy działamy w warunkach zmieniających się przepisów i niepewnego prawa, sam fakt zmian można byłoby rozumieć, gdyby nie fundamentalnie inny – w porównaniu do przeszłości – sposób, w jaki są one wprowadzane. Z ułomnościami tych procedur spotykamy się w Radzie

Głównej nagminnie. Są one naszym chlebem codziennym, ale sygnalizują znacznie poważniejsze trendy i kumulujące się niebezpieczeństwa. Uważamy, że nie wolno ich lekceważyć ani tym bardziej pomijać milczeniem.

Pierwsze z takich zjawisk to zauważalny odwrót od zwyczaju dyskusji o proponowanych zmianach, od interaktywnego formułowania reguł, na rzecz komunikowania ich w gotowej formie, bez chęci zapoznania się z innymi argumentami i bez intencji uwzględniania odmiennych punktów widzenia. Widzimy to, kiedy projekty nowych aktów prawnych Rada Główna otrzymuje do zaopiniowania z bardzo krótkimi terminami (jeszcze opatrzone, mającym w tym kontekście ironiczny wydźwięk, dopiskiem „brak odpowiedzi w terminie uznaję za pozytywną opinię”), choć niektóre wymagają skrupulatnych analiz, przewidywań czy oszacowań, jeżeli sprawa ma być roz-



prof. Marcin Pałys



prof. Grażyna Borkowska

patrzona rzetelnie. Próbowaliśmy zmienić te niekorzystne warunki działania, ale bez sukcesu. Zwracaliśmy również uwagę, że przedstawiane uzasadnienia aktów legislacyjnych bywają nieprzekonujące, wątpliwe, a oszacowania skutków pomijają ewidentne i przewidywalne problemy. Nieskutecznie. Nasze uwagi do projektów są pomijane, traktowane jako spóźnione, niebudzące zainteresowania. Jako przykład posłużyć może nasza opinia w sprawie mnożenia dziedzin i dyscyplin naukowych. Wskazywaliśmy negatywne skutki takich działań, m.in. brak rzeczowych argumentów na rzecz wyodrębnienia i oddzielenia dziedziny i dyscypliny nauki o rodzinie od innych nauk (podczas kiedy jest to modelowy przypadek interdyscyplinarnego obszaru badawczego). Konsekwencje pospiesznych decyzji o zmianach dyscyplin, na przykład dla wewnętrznej organizacji uczelni, będą nam jeszcze długo towarzyszyły.

Drugie zjawisko to zmiany wprowadzane jako projekty poselskie, omijające konsultacje, choć nierzadko dotyczą fundamentów systemowych lub jedynie pozornie szczegółów, które mają jednak rozległe konsekwencje. Obserwujemy inicjatywy prowadzące do powołania szkół medycznych, działających bez zaplecza klinicznego i bez odpowiednich kadr dydaktycznych, ale wyposażonych w uprawnienia do kształcenia lekarzy. Zmiany nazw Państwowych Wyższych Szkół Zawodowych na Akademii nie podnoszą jakości kształcenia. Najświeższy przypadek ilustrujący tę tezę to inicjatywa poselska wnioskująca o zmianę nazwy Akademii Kaliskiej (do niedawna PWSZ w Kaliszu) na Uniwersytet Kaliski, mimo niespełnienia wymogów, jakie nakłada PSWiN. Zazwyczaj tempo prac parlamentarnych nad takimi projektami nie pozostawia szans na poważną, merytoryczną dyskusję o przedstawianych propozycjach, a tym bardziej na porządną ocenę ich skutków lub choćby zgodności z priorytetami polityki naukowej państwa. Szczególnie dotkliwą, niestety coraz częściej spotykaną formą działania są zgłaszane poprawki całkowicie wykraczające poza zakres oryginalnego przedłożenia, ale mimo to przyjmowane w komisjach sejmowych, jak to miało miejsce w przypadku najświeższej nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce. Mogłoby się wydawać, iż inicjatywa ustawodawcza parlamentarzystów pogłębia ustrojowe zasady demokracji, skraca dystans między władzą a społeczeństwem. Jednak w przypadku legislacji w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego tego rodzaju działania na ogół odbywają się kosztem jakości edukacji i nauki, poziomu wiedzy przyszłych absolwentów, zachęcając do równania w dół.

Trzecim zjawiskiem, które w ciągu ubiegłego roku zwróciło naszą uwagę, jest powoływanie różnych gremiów, których zadania dublują

kompetencje ciał już istniejących, zakotwiczonych w praktyce społecznej. Nierzadko skład osobowy tych nowych zespołów bywa zaskoczeniem. Prezydent, premier i minister mogą, oczywiście, współpracować z kim chcą i tak też tłumaczą swoje decyzje, jednak nie sposób zapominać o zasadzie, że nie wszystko, co dozwolone, jest zbieżne z optymalnymi rozwiązaniami. Jako Rada Główna dostrzegamy dokuczliwą nietransparentność działań, nieprzejrzyste procesy prowadzące do powstawania przepisów lub podejmowania decyzji wpływających na funkcjonowanie całego sektora. Nie jest też łatwo ocenić, jakim systemowym priorytetem podporządkowane są te działania. Tak jak całe grupy polskiej społeczności akademickiej, tak i my z niepokojem widzimy degradację mechanizmów systemowych, zmieniających się w atropy przesłaniające ręczne sterowanie. Zanika wzajemne zaufanie pomiędzy zarządzającymi a zarządzanymi; współpraca o charakterze partnerskim jest stopniowo wypierana przez kunktatorstwo.

Naszym zdaniem opisane zjawiska są na tyle poważne, że poświęciliśmy im stanowisko nr

6/2023, dotyczące trybu i procedur wprowadzania aktów prawnych w Polsce. Zależy nam na tym, by w tym obszarze nastąpiła zmiana.

Trafną ilustracją i „ikoniczną” kombinacją niedobrych trendów jest pomysł i sposób powołania Akademii Kopernikańskiej. Widać tu zarówno unikanie dyskusji o celach tej instytucji, chęć tworzenia rzeczywistości równoległych, pozbawioną wiarygodności ocenę skutków regulacji, fasadowość samej instytucji, która ma jakoby dokonać przełomu w nauce w Polsce, będąc od niej ustawowo starannie odseparowaną: z własnymi grantami i stypendiami, z własnym centrum badawczym, ze swoją szkołą doktorską czy wolnym od wymagań spełnienia warunków jakościowych prawem do nadawania wszystkich stopni naukowych. W tej sprawie Rada przyjęła, podobnie jak inne instytucje środowiskowe, jednoznacznie negatywną uchwałę nr 2/2022, która nie traci nic z aktualności.

Podsumowując działanie Rady Głównej w 2022 roku, ubolewamy, że nasza chęć partnerskiego współdziałania z władzami publicznymi, przede wszystkim kierownictwem Ministerstwa Edukacji i Nauki, nie spotyka się z wzajemnością. Naszą ambicją jest działanie, które trafi do środowiska i pozwoli zainteresowanym zabrać głos w dyskusji, wyrazić swoje poglądy, upomnieć się o wprowadzenie rozwiązań poprzedzonych środowiskową debatą, odwrócić trendy, które – w dłuższej perspektywie – nie przynoszą wspólnych korzyści. Będziemy przekazywać czytelnikom „FA”, jak nam się to udaje.



prof. Stanisław Kistryn

## Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



# Otwarte dane – kto za to zapłaci?

Prof. Piotr Kuśtrowski, chemik, prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego ds. badań naukowych i funduszy strukturalnych, mówi czym są dane naukowe oraz dlaczego należy je gromadzić i udostępnić.

Prowadząc badania naukowe gromadzimy wiele informacji, które wypływają z naszych eksperymentów, obserwacji, pomiarów. Te dane nie są usystematyzowane i są dostępne tylko dla uczestników badań. Gromadzimy je na dyskach czy macierzach. Musimy je starannie opisywać, aby były łatwe do zidentyfikowania: skąd pochodzą, czego dotyczą. W gruncie rzeczy chodzi o skrupulatne dokumentowanie badań we wszelkich postaciach. Rezultatem jest czysta informacja. To jednak dopiero początek długiej drogi do rozumienia i przekształcania tych informacji w użyteczną wiedzę. Wyróżniam zatem poziom informacji, które są wynikiem pomiaru, ale bez odpowiedniej interpretacji, „oprzyrządowania” intelektualnego, niewiele znaczą. Same w sobie nie poszerzają wiedzy. Te dane musimy zrozumieć w odpowiednim kontekście, połączyć ze sobą, znaleźć pewne korelacje, zinterpretować i dopiero wtedy tworzymy wiedzę – informacje wzmocnione i przetworzone przez intelekt stają się wiedzą. Przechodzimy wtedy z poziomu informacji i jej opisu na poziom wiedzy. Zdarza się oczywiście, że naukowcy piszą artykuły w postaci przypominającej raporty badawcze, czyli w zasadzie przedstawiają czyste wyniki eksperymentu. Trudno jednak takie podejście uznać za budowanie wiedzy, to jeszcze nie jest nauka, a wciąż poziom informacyjny.

Jeżeli społeczeństwo płaci podatki, które następnie państwo przeznacza na prowadzenie badań, utrzymanie infrastruktury, etaty kadry naukowej, to jako świat akademicki mamy obowiązek pokazać, co z tej pracy wynika, czyli rezultaty eksperymentów czy obserwacji, które nazywamy danymi badawczymi. Ale już niekoniecznie musimy bezwarunkowo ujawniać wszystkim i całkiem otwarcie to, co z tej informacji wynika, czyli nasze przemyślenia, a zatem wiedzę. Przyjętą formą prezentowania wiedzy są publikacje naukowe. Rozumiem, że np. widma, które chemicy uzyskali przy pomocy spektrometrów dla konkretnych związków chemicznych w określonym miejscu i czasie, przy zachowaniu zaplanowanych warunków mogą wejść do przestrzeni ogólnodostępnej, natomiast nie ma już prostego uzasadnienia dla ujawniania danych zinterpretowanych – one trafiają do publikacji naukowej oznaczonej nazwiskiem autora i chronionej prawami autorskimi jako produkt zaawansowanej pracy intelektualnej. Autor ma prawo czerpać z niej określone korzyści, np. budować swoją pozycję naukową.

Surowych danych jest generalnie znacznie więcej niż tego, co publikujemy. Ogromna część informacji uzyskanych w badaniach nigdy nie jest przez nas wykorzystywana. Zalegają gdzieś w zakamarkach komputerów lub po prostu są usuwane. Po co je ujawniać? Ano po to, żeby inni mieli do nich dostęp.

Bazujemy aktualnie na nieco archaicznym stereotypie. Budujemy naukę w instytucjach wyposażonych w odpowiedni sprzęt, infrastrukturę i tylko wtajemniczeni, ci, których uczelnia zatrudni bądź którym udostępni swoje zasoby, mogą skorzystać z tej bazy i z danych uzyskanych z eksperymentów. Dla reszty te zasoby, zgromadzone dzięki środkom publicznym, są niedostępne. Stanowią, według tego schematu, o sile instytucji, a nie o tym, czy i jak potrafi je ona – jej pracownicy – przetworzyć, wykorzystać. Chodzi tylko o ich posiadanie. To wartość sama w sobie. Nie jest to ani twórcze, ani uczciwe podejście.

Wydaje się, że świat nauki powinien podążać w kierunku udostępniania danych. Najpierw jednak wykorzystujemy dane, które zaplanowaliśmy zdobyć w naszym eksperymencie, publikujemy wyniki, a potem zarówno dane przez nas pokazane w zaawansowanej formie w publikacji, jak i te, z których nie skorzystaliśmy, udostępniamy zainteresowanym. Mamy zatem prawo pierwszeństwa w wykorzystaniu zgromadzonych przez nas danych. Później ci, którzy skorzystają z danych przez nas ujawnionych, pokazują w swoich pracach, jak weszli w ich

posiadanie, i w tym sensie nie tracimy niczego, bo źródło danych, czyli nasz udział w przeprowadzeniu eksperymentu i powstaniu informacji, jest znany i zostanie ujawniony. Oczywiście, dane te mogą też służyć do weryfikacji lub falsyfikacji naszych wyników, publikacji, a czasami wręcz eksperymentów. Ale to wszystko służy nauce i rozwojowi wiedzy ludzkiej.

Dane do udostępnienia muszą być odpowiednio przygotowane, zebrane w formie typowej dla danej dyscypliny i opisane w taki sposób, żeby było jasne, czego dotyczą, kto, gdzie i kiedy przeprowadził obserwację czy eksperyment, według jakich założeń czy przy jakich parametrach zostały pozyskane wyniki. To pomoże je zrozumieć, bo bez odpowiednich opisów, które umożliwiają racjonalne ich wykorzystanie, ujawnianie ich nie ma sensu. Informacje o źródle danych są wszędzie w metryczce plików, które trafiają do repozytorium. I wreszcie pojawia się to słowo. Gdzie przechowywać i udostępnić dane badawcze? W repozytoriach. Składamy w nich różnego rodzaju pliki: tekstowe, excelowe czy specjalistyczne z aparatury badawczej – dostępne w zasadzie tylko dla specjalistów, bo nikt inny nie ma odpowiedniego oprogramowania, by je odczytać. Oczywiście otwieranie danych i działalność repozytoriów dotyczą także danych z dziedziny humanistyki i nauk społecznych.

Postulat otwierania danych naukowych nie jest nowy i jest już realizowany. W projektach finansowanych przez Komisję Europejską, ale także Narodowe Centrum Nauki, jest wymóg udostępnienia danych wytworzonych w wyniku realizacji projektu. W NCN trwa to już od kilku konkursów, np. w ramach programów Opus i Sonata. W tej chwili kończą się pierwsze projekty, w których postawiono warunek udostępnienia danych po okresie ich realizacji. To jest wpisane do umów między NCN a wykonawcami projektów. Zatem kierownicy będą musieli wykazać, że dopełnili tego obowiązku i dane są dostępne. Inna sprawa, jak i gdzie będą oni mogli te dane deponować i udostępnić.

Niedawno w Bibliotece Jagiellońskiej uruchomiliśmy Repozytorium Otwartych Danych Badawczych Uczelni Krakowskich. Na razie jest skierowane do naukowców z sześciu krakowskich uczelni, które tworzą konsorcjum. Chętnie jednak w przyszłości przyjmujemy do swojego grona kolejne zainteresowane uczelnie. Otwartość danych polega na tym, że każdy może wejść, pobrać je i odtworzyć. Zapewne większość kierowników grantów NCN i europejskich z naszych uczelni będzie korzystać z nowego repozytorium, by wypełnić warunek umowy.

Widzę pewne trudności i zagrożenia tego rozwiązania, wynikające choćby z rozmiaru danych, które przyjdzie nam przechowywać



Fot. UJ

i udostępniać. Zwłaszcza dane z obrazowania przeróżnych obiektów, np. kosmicznych czy biologicznych, zajmują olbrzymią ilość miejsca na dyskach. Gdzie pomieścimy to wszystko, co należałoby zdeponować? Aby umieścić to, co posiadamy w lokalnych zasobach dyskowych w jakiejś chmurze, musielibyśmy mieć ekwiwalentną ilość miejsca. W skali kraju zmaterializowanie tego zalecenia będzie ogromnym wyzwaniem. Poza tym obsługa procesu wprowadzania danych wymaga zatrudnienia wyszkolonych pracowników – nazywamy ich

„data stewardami” – którzy pomogą depozytariuszom odpowiednio kodować dane, które zechcą wstawić do repozytorium. Zatem pojawiają się dodatkowe koszty uprawiania nauki, które być może zostaną zrekompensowane w przyszłości korzyściami z udostępniania danych badawczych.

Notował Piotr Kieraciński

## Zmniejszyć pensum

Dr Diana Dajnowicz-Piesiecka, z Wydziału Prawa Uniwersytetu w Białymstoku, członkini Rady Młodych Naukowców, zauważa, że wciąż za mało jest rozwiązań wyrównujących szanse kobiet w nauce.

Jedenastego lutego obchodzony był Międzynarodowy Dzień Kobiet i Dziewcząt w Nauce, ustanowiony w 2015 roku przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w celu podkreślenia roli kobiet w rozwoju nauki i technologii. Z jednej strony to ważna inicjatywa propagująca równość płci w nauce, z drugiej jednak zwraca uwagę na fakt, że owa równość wciąż w obszarze nauki nie została osiągnięta.

Chociaż prawo gwarantuje kobietom i mężczyznom równe szanse rozwoju pracy naukowej i kariery zawodowej, ich sytuacja różni się. Dysproporcje awansowe między kobietami i mężczyznami widoczne są np. w strukturze uzyskiwanych stopni i tytułów naukowych: o ile wśród uzyskiwanych stopni doktora dominują kobiety, pośród doktorów habilitowanych i profesorów większy udział mają mężczyźni. Przewaga mężczyzn dostrzegalna jest również w obszarze finansowania badań, składają oni więcej wniosków grantowych i na większe kwoty, są też częściej laureatami konkursów, a więc i kierownikami projektów.

W 2021 roku Narodowe Centrum Nauki przeprowadziło sondaż dotyczący funkcjonowania kobiet i mężczyzn w nauce (wyniki opublikowano w 2022). Biorące w badaniu panie oceniały swoje naukowe osiągnięcia gorzej niż mężczyźni, którzy wykazywali większe zadowolenie z własnego dorobku. Kobiety słabiej oceniały również swoje szanse na pozyskanie środków finansowych na pracę naukową. Ponadto częściej niż mężczyźni zgłaszały, że istotnymi barierami i spowalniającymi rozwoju zawodowego są dla nich obciążenia rodzinne, dydaktyczne i administracyjne.

Z sondażu NCN wynika, że kobiety wciąż borykają się z większymi trudnościami w rozwoju naukowym niż mężczyźni. Członkinie i członkowie Rady Młodych Naukowców już w poprzednich kadencjach w swoich uchwałach (a także na łamach „Forum Akademickiego”) zwracali uwagę na zróżnicowane szanse w osiągnięciu sukcesów w pracy zawodowej naukowczyń i naukowców. Ze względu na pełnione role społeczne kobiety mierzą się w swoich karierach naukowych z większą ilością przeszkód niż mężczyźni. Raport NCN przypomina, że ich sytuacja w nauce wciąż wymaga działań wyrównujących.

Jednym z rozwiązań, które istotnie wsparłoby kobiety w rozwoju naukowym, jest zmniejszenie ich pensum dydaktycznego po powrocie z urlopu macierzyńskiego albo innego związanego z opieką nad dzieckiem. Dydaktyka to jedno z największych obciążeń na stano-

wisku badawczo-dydaktycznym, a wagę tego obowiązku odczuwają zwłaszcza młodzi pracownicy nauki, w szczególności kobiety wracające do pracy po przerwie wynikającej z opieki nad dzieckiem. Kobieta musi wówczas zorganizować się w całkiem nowej rzeczywistości zawodowo-rodzinnej.

Na macierzyństwo decydują się przeważnie młode badaczki zatrudnione na stanowiskach asystenta albo adiunkta. Stanowiska te cechuje najwyższy roczny wymiar zajęć dydaktycznych. Ponadto na zajęcia prowadzone przez młodych pracowników nauki często składają się co roku inne przedmioty, wymagające rokrocznie nowego przygotowania się, a przez to konsumujące większość czasu młodej badaczki. W początkowym okresie macierzyństwa naukowa aktywność kobiet zostaje więc istotnie ograniczona, co powoduje spowolnienie ich rozwoju naukowego – w wielu przypadkach nie mają ani czasu, ani możliwości efektywnie łączyć pracy dydaktycznej, naukowej i obowiązków rodzicielskich.

Mając na względzie tę trudną sytuację matek wracających do pracy na uczelni po urlopie macierzyńskim, ustawodawca powinien zabezpieczyć ich sytuację, wprowadzając przepisy zobowiązujące uczelnie do zmniejszenia ich pensum dydaktycznego np. o 50% przez okres dwóch lat od powrotu (do czasu gdy dziecko nie osiągnie kolejnego stadium dojrzałości i nie zacznie uczęszczać do przedszkola).

Rozwiązania odciążające w obowiązkach dydaktycznych powinny wprowadzić również instytucje finansujące w Polsce badania naukowe. Cennym byłoby wprowadzenie rozwiązania prorodzielskiego, zgodnie z którym, jeśli kierownik projektu jest rodzicem dziecka młodszego niż 3 lata albo powracającym z urlopu macierzyńskiego czy innego związanego z opieką nad dzieckiem, w ramach projektu otrzymałby finansowanie jego zastępstwa w zakresie prowadzenia zajęć dydaktycznych (wsparcie analogiczne jak w konkursie Sonata NCN wobec młodych naukowców).

Ograniczony czas na pracę naukową, rezygnacja z prowadzenia badań naukowych na rzecz prowadzenia zajęć ze studentami, trudność w godzeniu obowiązków domowych i zawodowych, i w końcu frustracja związana z trudami łączenia roli matki i chcącego rozwijać się naukowca są wzmacniane niedostatecznym wsparciem systemowym naukowczyń w Polsce. Choć zarówno instytucje finansujące naukę, jak i uczelnie, przekonują, że wspierają kobiety nauki na każdej płaszczyźnie, działania te są wciąż niewystarczające.



Foto: DWB

# Praktyka interpretowania przepisów... o praktykach

Marcin Chałupka, radca prawny, specjalizujący się w problematyce szkolnictwa wyższego i awansu naukowego, kanclerz Akademii Zamojskiej, komentuje status studenckich praktyk zawodowych w dokumentach i praktyce Polskiej Komisji Akredytacyjnej.

Stanowisko interpretacyjne nr 4/2020 Prezydium Polskiej Komisji Akredytacyjnej z dnia 2 lipca 2020 r. w sprawie praktyk zawodowych wzbudziło kontrowersje i zaskoczenie w niektórych uczelniach. Czy jest przestrzeń prawna do odmiennej oceny poruszonego w nim zagadnienia? Czy nowelizacja Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce załatwiła problem?

Zdaniem autorów ww. stanowiska: „Ustawodawca zalicza praktyki zawodowe do zajęć. Weryfikacja działań uczelni, dotyczących osiągnięcia i weryfikacji efektów uczenia się przypisanych do praktyk zawodowych, powinna być dokonywana według tych samych norm prawa, co pozostałych zajęć”. Tymczasem w PSWiN nie ma regulacji, która potwierdza wprost zaliczenie praktyk do zajęć. Są natomiast przepisy pozwalające uzasadnić przeciwny wniosek do przejawionego w przywołanym stanowisku.

Np. art. 76 ust. 7 PSWiN in fine może wskazywać, że praktyki nie są częścią zajęć, skoro użyto w nim pojęcia praktyki, choć można było użyć ogólniejszego sformułowania „zajęć”. Gdyby bowiem „zajęcia” miały być kategorią obejmującą także praktyki, to przecież trudno założyć, że studia mogłyby się zakończyć po zaliczeniu ostatniej praktyki, a przed zaliczeniem ostatnich zajęć, innych niż praktyka. Dalej: art. 107 ust. 2 pkt 2 PSWiN przewiduje wyodrębnienie „odbywania praktyk” pomimo, iż w punkcie 1. tego ustępu przewidziano już „uczestniczenie w zajęciach”. Ten przepis wydaje się kluczowym wskazaniem, iż ustawodawca mógł wliczyć praktyki do zajęć (regulując np. jeden obowiązek „odbywania zajęć”), a nie zrobił tego, lecz dokonał wyodrębnienia. W uzasadnieniu stanowiska PKA powołano się z kolei na art. 67 ust. 1 pkt 3) PSWiN nakazujący przypisywać punkty ECTS do zajęć. Jednak nie w nim samym upatrują podstawy do takiego wniosku, a dopiero poprzez powiązanie go z § 3 ust. 1 pkt 8 rozporządzenia z dnia 27 września 2018 r. w sprawie studiów, który stanowi, „iż praktykom zawodowym należy przypisać punkty ECTS”. To – zdaniem autora stanowiska PKA – „wskazuje na zaliczenie ich do kategorii zajęć”. Jednak z faktu, iż także praktykom należy przypisać ECTS, równie dobrze można wywodzić wniosek, że rozporządzenie niezasadnie rozszerza obowiązek przypisania ECTS-ów (ustawowo przypisywanych zajęciom) na praktyki, niż że to, czemu przypisano ECTS, staje się zajęciami.

W stanowisku interpretacyjnym wskazano, iż także „Powołany przepis § 3 ust. 1 rozporządzenia z dnia 27 września 2018 r. w sprawie studiów, wśród elementów programu studiów wylicza m.in.: – zajęcia lub grupy zajęć, niezależnie od formy ich prowadzenia, wraz z przypisaniem do nich efektów uczenia się i treści programowych zapewniających uzyskanie tych efektów (pkt 3); – wymiar, zasady i formę odbywania praktyk zawodowych oraz liczbę punktów ECTS, jaką student musi uzyskać w ramach tych praktyk (pkt 8)”. Zdaniem autorów stanowiska „Jednak błędne byłoby wyprowadzanie wniosku tylko w oparciu o cytowane wyżej punkty, iż kategorie «zajęcia» i «praktyki zawodowe» są rozłączne. Przeciwnie, analiza dalszych przepisów ustawy

i rozporządzenia jednoznacznie potwierdza, iż intencją prawodawcy było zaliczenie praktyk zawodowych do kategorii zajęć”. Te „dalsze przepisy ustawy”, to w praktyce omówiony wyżej art. 67 ust. 1 pkt 3), który – bez „wsparcia” specyficznej argumentacji opartej na przepisie rozporządzenia – nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Gdyby jednak zastosować taki sposób argumentacji, jakiego użyto w tym przypadku (tj. w skrócie: zajęciom ustawa nakazuje przypisać ECTS, więc skoro rozporządzenie każe przypisać ECTS praktykom, to praktyki są zajęciami) do np. decyzji administracyjnych, to można by wywodzić, że skoro „Odmowa przyjęcia na studia następuje w drodze decyzji administracyjnej” (art. 72 ust. 3 PSWiN), a przyznanie stypendium także wymaga decyzji administracyjnej (art. 86 ust. 2 PSWiN), to przyznanie stypendium jest... odmową przyjęcia na studia.

Dalsze uzasadnienie tezy ze stanowiska oparto na § 17 ust. 1 pkt 4 rozporządzenia do art. 81 PSWiN stanowiącym, iż „karty okresowych osiągnięć studenta zawierają nazwy zajęć, w tym praktyk, w semestrze lub roku”. W stanowisku stwierdzono, że „Przepis ten nie pozostawia miejsca na luz interpretacyjny, skoro prawodawca jednoznacznie wymienił praktyki zawodowe wśród zajęć”. Jednak fakt, że w danym miejscu tego rozporządzenia włączono praktyki do zajęć nie znosi tego, że w innym miejscu tego samego rozporządzenia (par. 3 ust. 1 pkt 3 i 8) obie te kategorie... rozłączono. Więc rozporządzenie nie daje jednoznacznej odpowiedzi, zaś zgodnie z § 70 Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 20 czerwca 2002 r. w sprawie „zasad techniki prawodawczej” – „Nie przekazuje się do uregulowania w rozporządzeniu spraw niewyjaśnionych lub nasuwających trudności przy opracowywaniu ustawy”. Więc nie należy poszukiwać odpowiedzi na pytanie o relację zajęć i praktyk w rozporządzeniach. Zaś przepisy ustawowe – w mojej ocenie – zawierają dwa wskazania na rzecz odrębności (art. 76 ust. 7 oraz art. 107 ust. 2 pkt 2), wobec jednego (art. 67 ust. 1 pkt 3), który interpretowany jest i tak poprzez rzutowanie na jego brzmienie wybranych treści rozporządzenia. Wreszcie załącznik 3 do rozporządzenia przewiduje (we wzorze suplementu) odrębny punkt, gdzie przewidziano miejsce na informacje o praktykach (nr 6), którego nie przewidziano przy „zrealizowanych zajęciach” (pkt 4.3).

Praktycznym skutkiem stanowiska PKA jest ograniczenie, jakoby z przyczyn treści regulacji, możliwości zaliczania pracy zawodowej jako praktyki. W stanowisku czytamy: „Nie znajduje żadnego umocowania prawnego, rozpowszechnione w odniesieniu do wielu kierunków studiów, działanie w postaci „zaliczania” praktyk zawodowych na podstawie indywidualnej, zawodowej aktywności studenta, wykazywanej przed rozpoczęciem studiów, lub w ich trakcie, realizowanej w całości poza zajęciami w postaci praktyk zawodowych, organizowanych przez uczelnię. Działanie to stanowi naruszenie dyspozycji norm ustawy, które stanowią jednoznacznie, iż odmienne sposoby osiągnięcia i weryfikacji efektów uczenia się, niż typowe, a zatem



Fot. Barbara Buzdyńska

oparte na udziale studenta w zajęciach ujętych w programie i planach studiów, zorganizowanych przez uczelnię oraz na weryfikacji jego wysiłku przez osobę prowadzącą zajęcia, w trakcie tych zajęć oraz po ich zakończeniu, mogą być stosowane przez uczelnię tylko na podstawie przepisów szczególnych. W przypadku praktyk zawodowych, takich szczególnych przepisów brak, pomijając przepisy dotyczące kierunków studiów objętych standardami kształcenia oraz sytuacji nadzwyczajnych”.

Tymczasem – jak starałem się wykazać – normy ustawy nie stanowią wcale „jednoznacznie”, co więcej także art. 446 PSWiN wprost nakazuje zaliczyć jako praktykę „Służbę kandydacką strażaka lub funkcjonariusza Służby Więziennej będącego studentem”, co może wskazywać, że taka możliwość znana jest ustawodawcy, a w tym przypadku jest nakazana, nawet więc gdyby ją uznać za „sytuację nadzwyczajną”, to dlaczego w innych obszarach miałyby być zakazana. Tym bardziej jeśli uwzględniamy także art. 28 ust. 1 pkt 13) PSWiN, gdzie do zadań Senatu wpisano „określanie sposobu potwierdzania efektów uczenia się”. Jego wiązanie jedynie z potwierdzaniem efektów, o którym mowa w art. 71, może być przedwczesne o tyle, o ile w art. 71 PSWiN chodzi o „efekty uczenia się uzyskane w procesie uczenia się poza systemem studiów”, a nie np. o efekty uczenia się uzyskane... poza procesem uczenia się. Czy więc uwzględnienie przez Senat piętnowanej w stanowisku praktyki jako jednego ze sposobów potwierdzania efektów uczenia się rozwiązuje problem?

Ustawą z dnia 1 grudnia 2022 r. o zmianie ustawy – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce oraz niektórych innych ustaw w art. 67 dodano ust. 7 w brzmieniu: „W przypadkach i na warunkach określonych w regulaminie studiów uczelnia, na wniosek studenta, może zaliczyć na poczet praktyki zawodowej czynności wykonywane przez niego w szczególności w ramach zatrudnienia, stażu lub wolontariatu, jeżeli umożliwiły one uzyskanie efektów uczenia się określonych w programie studiów dla praktyk zawodowych” (na marginesie „umożliwiły one uzyskanie”, a nie doprowadziły do uzyskania). Czy w ten sposób, bez względu na to, czy praktyki to przypadek szczególny zajęć, czy nie, możliwy będzie legalny powrót do (nomen omen) praktyki właśnie, jaką kontestowano w oparciu o kontestowane tu stanowisko Prezydium PKA? Bez względu na odpowiedź, pojawia się ważniejsze pytanie: czy warto było?

Decyzje w danych stanach faktycznych powinny być konsultowane z pełnomocnikami.

## Uniwersytet kopernikański w Roku Kopernika

Prof. Andrzej Sokala, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, mówi o związkach swojej uczelni z jej patronem.

Jako uniwersytet, którego patronem od 1945 roku jest najwybitniejszy polski uczony, już kilka lat temu rozpoczęliśmy przygotowania do obchodów jubileuszu 550-lecia urodzin Mikołaja Kopernika. Postanowiliśmy zorganizować Światowy Kongres Kopernikański. Zaprosiłem do współpracy rektorów dwóch uniwersytetów związanych w różnych sposób z postacią wielkiego astronoma. Chodzi o Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, gdzie Kopernik studiował oraz Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, gdyż jego siedziba, Olsztyn, jest stolicą Warmii, a Kopernik nie dość, że kierował obroną olsztyńskiego zamku przed Krzyżakami, to przez wiele lat był kanonikiem warmińskiej kapituły katedralnej. Obchody jubileuszu zainaugurowaliśmy zatem w Toruniu w dniu święta UMK, które przypada 19 lutego, w rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika. Potem obrady kongresu przeniosą się do Krakowa i Olsztyna, gdzie w maju i czerwcu odbędą się kolejne sesje, a na podsumowanie uroczystości i debat znów wrócimy we wrześniu do Torunia, gdzie zakończymy świętowanie tego wspaniałego jubileuszu.

W 550 rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, 19 lutego w auli UMK na Bielanach dokonaliśmy symbolicznego otwarcia Światowego Kongresu Kopernikańskiego. Wspaniałym wykładem uświetnił ten moment pochodzący z Kanady prof. James Peebles, astronom z Uniwersytetu Princeton, laureat Nagrody Nobla w 2019 roku w dziedzinie fizyki. Nasze obchody rozpoczęliśmy od mszy św. w Katedrze św. Janów, bo tam znajduje się chrzcielnica, w której, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, był chrzczony Mikołaj Kopernik. Jest tam kaplica rodziny Kopernika, w której najpewniej modlił się młody Mikołaj Kopernik zanim wyru-

szuł w świat, kształcić się najpierw w Krakowie, a potem na słynnych uniwersytetach włoskich. Złożyliśmy też – jak co roku – wiązanki kwiatów pod pomnikiem Kopernika na toruńskim Starym Rynku.

Nasz uniwersytet związany jest z Kopernikiem nie tylko w ten sposób, że jest on jego patronem, ale także przez badania nad życiem i dziełem tego wybitnego uczonego. W strukturze uniwersytetu jest Centrum Badań Kopernikańskich, kierowane przez prof. Krzysztofa Mikulskiego, badacza życia i dzieła Kopernika. W Piwnicach pod Toruniem mamy Obserwatorium Astronomiczne z radioteleskopem, który niedawno został odmalowany specjalną farbą wzmacniającą jego możliwości obserwacyjne. Astronomia to ważny element łączący uniwersytet w dziedzictwie kopernikańskim. Uprawiamy też badania w innych dziedzinach, w których pracował nasz patron, choćby medycynę czy prawo.

Najbardziej jednak widocznym elementem wskazującym nasze związki z patronem uniwersytetu jest dekoracja budynków kampusu bielańskiego, który powstał w pięćsetną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika. Chodzi mi o paneau na ścianie budynku, w którym mieści się nasza aula stworzone przez Stefana Knappa, polskiego malarza i rzeźbiarza z Londynu. Ma ono postać kilkudziesięciu wielobarwnych płyt z kolistymi kompozycjami, nawiązującymi do symboliki astralnej, z portretem Kopernika w lewym górnym narożniku. Nie pozwala to na jakąkolwiek wątpliwość co do tego, gdzie podróżny odwiedzający Toruń się znajduje. Artystycznych elementów kopernikańskich jest na uniwersytecie więcej.

Notował Piotr Kieraciński



Fot. A. Romański

# W świecie drapieżników

Jolanta Szczepaniak, dziennikarka, autorka wielu artykułów na temat systemu publikacji naukowych, nierzetelnych i podejrzanych praktyk publikacyjnych i wydawniczych w nauce, do niedawna dyrektorka Wydawnictw Politechniki Łódzkiej, komentuje uznanie wszystkich czasopism grupy wydawniczej MDPI za drapieżne.

Strona Predatory Reports (<https://predatoryreports.org/news/f/list-of-all-mdpi-predatory-publications>), która udostępnia listę drapieżnych wydawców i czasopism, dodała do niej 422 tytuły czasopism MDPI. Czy wszystkie tytuły z portfolio tego wydawcy. Czy przypisanie drapieżnego charakteru tytułom firmowanym przez MDPI to dobre posunięcie? Zdecydowanie nie.

Niewątpliwie model biznesowy MDPI budzi kontrowersje, ale o ile pewne zachowania mogą mieć — i z pewnością mają — drapieżny charakter, to nie można, kolokwialnie mówiąc, wrzucać wszystkiego do jednego worka. Naukowcy na całym świecie, publikujący z MDPI albo współpracujący w roli recenzentów lub redaktorów, mają różne doświadczenia. Niektóre czasopisma MDPI cieszą się dobrą reputacją i są dokładnie recenzowane. Zawartość innych sugeruje drapieżny charakter (zwłaszcza przy gwałtownym wzroście liczby publikacji czy lawinie numerów specjalnych). Jakość procesu wydawniczego także zależy od konkretnego tytułu i redaktora — ale niekoniecznie od wydawcy.

Oczywiście trzeba jeszcze zwrócić uwagę na wiarygodność samego źródła. Strona Predatory Reports to w zasadzie blog, prowadzony przez nieznaną grupę naukowców, którzy chcą pomagać innym badaczom w identyfikowaniu zaufanych czasopism i wydawców. Nie wiemy, czy stoi za nim jakaś instytucja lub firma, ani kim są

ci naukowcy. Nawet dane dotyczące zarejestrowanej domeny ukryto dla zachowania prywatności (<https://whois.domaintools.com/predatoryreports.org>). Taki blog może prowadzić każdy i według własnego uznania dodawać tytuły lub wydawców. Jednoznaczne określenie danego wydawcy lub czasopisma mianem drapieżnych powinno być obudowane transparentnym wykazem kryteriów do oceny, a druga strona powinna otrzymać możliwość zaprezentowania własnych argumentów. Tutaj tego zabrakło. Dodam jeszcze, że nawet Jeffrey Beall, twórca bazy z drapieżnymi czasopismami, wydawcami i konferencjami, w tytule bloga stosował określenie „Potential, possible, or probable”. I podpisywał się pod swoją bazą — co z jednej strony naraziło go na ataki i pozwy, ale z drugiej uwiarygodniało jego pracę. Anonimowy blog nie jest wiarygodny — niezależnie od tego, czy umieszczona na nim lista drapieżnych wydawców i czasopism jest zasadna, czy też nie.

Generalnie problemem nie jest samo MDPI, ale cały system publikowania akademickiego. Korumpuje go nie tylko monopol tradycyjnych wydawców akademickich, ale i preinaczona idea Open Access w modelu opierającym się na opłatach za publikację (APC). Dopóki to się nie zmieni, każdy wydawca jest w jakimś stopniu drapieżny. Czy działając na większą skalę w środowisku otwartej nauki, czy kryjąc się za paywallem...



Fot. z archiwum Autorki

## Skąd takie emocje, czyli dlaczego nie lubimy darmowych obiadów

Nasze zachowania kontrolują emocje i racje. Emocje to gwałtowne stany psychiki o kluczowym znaczeniu dla przetrwania gatunku. Za emocje odpowiada część umysłu determinowana ewolucyjnie, która w dużej mierze pozostaje poza świadomą kontrolą. Staramy się tonować zachowania emocjonalne racjonalnością, ale i tutaj współczesna nauka wykryła wiele samo-manipulacji. Nasz umysł woli manipulować faktami, czyli racjonalizować obraz świata, by minimalizować dysonanse poznawcze. Innymi słowy raczej dopasowuje obraz świata do naszych przekonań niż waży faktyczne racje. Słodka cytryna lub kwaśne winogrono to zidentyfikowane przez psychologię przykłady obronnych mechanizmów racjonalizujących. Na przykład spóźniamy się na samolot, tracimy kosztowny bilet. Emocja, a za nią racja, mówi: to tragedia. Racjonalizacja podpowiada: wcale nie muszę tam jechać, musiałbym jeszcze sporo wydać na hotel (kwaśne winogrono).

Bez wątplenia dyskusja wokół MDPI budzi emocje. Krytycy podkreślają, że oficyna spełnia definicję wydawnictwa drapieżnego (Szczepaniak, „Forum Akademickie”, 11/2022). Publikowanie tam pochłania środki publiczne. Recenzje są zbyt szybkie i przez to pobieżne. Publikacje często kiepskie, źle zredagowane. Jednocześnie MDPI ma też zalety.

Czasopismom tego wydawcy udało się uzyskać wysokie wartości parametrów naukometrycznych, które pomimo zastrzeżeń, pozostają podstawowym miernikiem jakości naszej pracy (Polanski, „Forum Akademickie”, 9/2022). Publikacja MDPI nie jest też tak kosztowna, jak mogłoby się wydawać przy pobieżnej analizie. Przeanalizujemy argumenty podnoszone w dyskusji o MDPI, korzystając z metody naukowej, która polega na stawianiu hipotez i ich falsyfikacji.

Moja pierwsza hipoteza brzmi: MDPI jest wydawnictwem drapieżnym. Niestety, nie da się jej rozstrzygnąć w kategoriach naukowych — nie można jej sfalsyfikować. Podobnie jak nie można zweryfikować hipotezy „metan jest piękną cząsteczką”. W dyskusji o MDPI pojawia się szereg pochodnych hipotezy 1., np. staramy się tak racjonalizować drapieżność, by pasowała do MDPI.

Dylematy MDPI ilustrują, moim zdaniem, konkurencję na rynku czasopism, gdzie obserwujemy inflację publikacji. Dużej podaży nie towarzyszy wzrost popytu na publikacje w topowych czasopismach (Polanski, FA, 9/2022). Współczesna nauka to ważny biznes. Przypomina w dużej mierze sport. Dziś nauka jest fabryką publikacji. Kolekcjonujemy je jak medale sportowe. Profity z dobrej kolekcji to finan-

sowanie grantów rozdzielanych wg rankingów publikacji oraz finanse na nowe publikacje. Publikowanie stwarza olbrzymie problemy. Trwa długo. Wymaga znacznych nakładów. Musimy prowadzić badania naukowe, mimo tych trudności. Im lepszy zespół, sprawniejsza organizacja nauki, wyższe finanse, tym łatwiej radzimy sobie w kolekcjonowaniu trofeów publikacyjnych, pomimo trudności rosnących wraz z rosnącą renomą czasopisma, w którym publikujemy. W doborze naturalnym tłumaczy to hipoteza upośledzenia (Wiki: Dobór płciowy). Medale publikacyjne to nasza reklama reprodukcyjnego potencjału memów naukowych. Publikowanie powinno być wobec tego kosztowne i trudne. Nacisk doboru naturalnego działa na przykład w kierunku przyrostu rozmiaru rogów jelenia. W skrajnym wypadku znane są sytuacje, gdy rozmiar rogów utrudniać może poruszanie się między drzewami. To bardzo komplikuje życie jelenia, ale samice preferują duży rozmiar rogów. I o to właśnie chodzi. Silne geny przetrwają mimo tych trudności. Mężczyźni lubią szybką jazdę na motocyklach. To tutaj prezentują jakość swoich genów. Szybka jazda jest niebezpieczna i często kończy się tragicznie. I o to właśnie chodzi.

Prezentacja reprodukcyjnego potencjału memów naukowych jest bardzo wymagająca. Po pierwsze finanse. *Trudno spodziewać się wygranej Legii Warszawa z londyńskiej Chelsea* (FA 9/2022). Liczba publikacji w „Nature” oraz miejsce w uniwersytetów w rankingach ARWU koreluje z nakładami finansowymi i budżetami (Bogocz, Bak, Polanski, *No free lunches in Nature*, „Scientometrics”, 2014, 101, 547-568). Kontynuując sportowe analogie, Adam Proń pisze w „Przeglądzie”: „Prędzej Legia wygra Ligę Mistrzów niż pracujący w kraju polski naukowiec dostanie Nobla z chemii, fizyki czy medycyny”. Analizując nominacje noblowskie, znajduje niewiele polskich („Przegląd” 10.2022).

Z reguły same pieniądze nie wystarczą, by zdobyć nagrodę Nobla czy nawet opublikować pracę w „Nature”. Potrzeba wielu lat, by zdobyć uznaną pozycję. A to wymaga m.in. rozpoznawalności i znajomości branżowych. To tak zwany networking (usieciowienie). Finanse i usieciowienie budują naszą renomę. Szybka jazda na motocyklu to też nie wszystko. Rynek reprodukcyjny znacznie wyżej ceni Harleja niż jego podróbkę. Harley prezentuje naszą wysoką pozycję w sieci społecznej. To nasza renoma. Podróbka to jazda na gapę, mimikra. Renoma wymaga stałego dopływu zasobów i usieciowienia. Na przykład kiedy nie stać nas na nowy model Harleja, nasza renoma znacznie cierpi.

Stawiam wobec tego hipotezę 2., że pozycja MDPI wynika z niskiej wartości upośledzenia. MDPI nie wymaga aż tak wysokich nakładów finansowych, jakich wymaga współczesna nauka na poziomie „Nature” czy Nagrody Nobla. Koszty open access są ułamkiem koniecznych nakładów na badania, które spełniałyby wszystkie kryteria topowych czasopism o IF podobnych do MDPI. Publikowanie w MDPI jest proste. Koszty open access nie są wysokie, jeżeli porównamy je z kosztami prenumeraty klasycznych czasopism (Skrendo, FA, 11/2022), nie mówiąc o kosztach open access w tradycyjnych czasopismach, które są o wiele wyższe niż MDPI. Koszty klasycznych czasopism jeszcze bardziej rosną, jeżeli wliczymy bazy danych, swoisty spis treści do tradycyjnych czasopism. MDPI to jak jazda na motocyklu, lecz nie Harleyu. Jak zatem wyjaśnić wysokie IF MDPI?

Stawiam hipotezę 3.: czasem mimikra się opłaca. MDPI realizuje popyt na publikacje autorów, krajów i uczelni o niższej renomie.

Wysokie IF dowodzi, że artykuły takie pełnią ważną rolę w nauce. Na renomę składają się finanse i usieciowienie. Publikacje MDPI w mniejszym stopniu uwzględniają renomę. Zastanówmy się, skąd tak wysokie parametry IF czasopism MDPI. Na przykład IF „International Journal of Molecular Sciences” wynosi ponad 6. Przeciwnicy tłumaczą to manipulacjami, dużą liczbą wydawnictw tematycznych. Wydaje się jednak, że nie da się osiągnąć tak wysokiego współczynnika wpływu jedynie w wyniku manipulacji. MDPI ma wiele samocytowań. „Nature” Springera jest jednak w rankingu samocytowań również bardzo wysoko. Pierwsze miejsce w rankingu samocytowań Scimago zajmują USA. Klasyczne czasopisma też stosują wiele manipulacji, by podnieść IF. Przykładem są wieloautorskie prace, udostępnianie artykułów z datami ustawionymi do przodu itp. IF ulega, używając języka sieci, optymalizacji podobnie jak pozycjonowanie stron internetowych. IF jest przecież podstawowym miernikiem jakości czasopism (kwartale, percentyle itp.). Pełna weryfikacja hipotezy 3. wymagałaby szczegółowych analiz. Pewne argumenty nasuwają się jednak automatycznie. Bywa, że nie do końca perfekcyjnie napisane publikacje zawierają ważne i ciekawe idee i informacje. Na przykład stwierdzono przekłamanie w publikowanych fundamentalnych badaniach Newtona. Znany jest efekt przejmowania wyników mniej znanych autorów spoza kręgu anglosaskiego przez literaturę anglojęzyczną (M. Shermer, *Rynkowy umysł*, CIS, 2009). Często niskie finanse nie pozwalają na dopracowanie publikacji do standardów topowych czasopism. Takie publikacje ukazać się jednak mogą w MDPI i mimo swobodnego bojkotu są cytowane, o czym świadczy wysoki IF tych czasopism; czasami, bo nieprawdą jest, że MDPI drukuje wszystko. Wysoki IF MDPI zapewnia stałą podaż nowych, stosunkowo atrakcyjnych publikacji, ponieważ uczelnie i agencje rozdzielające granty domagają się publikacji z wysokim IF. Znaczenie takich publikacji zdaje się także dostrzegać „Nature”, zwiększając popyt na mniej renomowane publikacje poprzez tworzenie wielu odmian, np. „Nature Biotechnology” czy „Nature Synthesis”. Redaktorami w tych czasopismach są bardzo młodzi naukowcy, z reguły Brytyjczycy. Dlaczego? Najpewniej młody wiek obniża znaczenie usieciowienia. Taka polityka stara się wyciągnąć z rynku bardziej atrakcyjne publikacje, zmniejszając znaczenie renomy autorów.

Podsumowując, starałem się udowodnić, że emocje związane z MDPI można uzasadnić upośledzeniową rolą publikacji we współczesnej nauce. Koncepcja upośledzenia w doborze naturalnym to hipoteza. Podobnie przedstawione tu analizy są hipotezami. MDPI to swoista jazda na gapę dla słabiej finansowanych krajów i jednostek. Rankingi i podporządkowanie głęboko tkwią w naszej ewolucyjnej świadomości, wyznaczając porządek dziobania. Oznacza to, że dla efektu motocyklowego powinniśmy użyć Harleja. Jazda na gapę wzburza. Nie lubimy darmowych obiadów. Wiele procedur w nauce – kategoryzacja, uczelnie badawcze, sposób rozdzielania grantów – ma za zadanie wzmacnianie tego porządku. Mamy dużo, mamy mieć więcej, mamy mało, mamy mieć mniej. MDPI, naruszając te reguły, uderza w jedną z podstawowych reguł emocjonalnych determinowanych ewolucją. Prowadząc do dysonansu poznawczego, wzbudza emocje.

Jarosław Polanski

## Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja

# Odmienione AMP-y

Tradycyjnie już od rywalizacji futsalistek i futsalistów rozpoczął się w styczniu nowy sezon Akademickich Mistrzostw Polski. W regulaminie cyklu wprowadzono kilka kluczowych zmian.

Przede wszystkim zwiększono dopuszczalny wiek uczestników z 28 do 30 lat. Oznacza to w praktyce, że w zawodach mogą brać udział sportowcy urodzeni po 30 września 1992 roku. Ten pomysł dyskutowany był już od dawna. – Postanowiliśmy zwiększyć limit wieku, aby dostosować nasze regulacje do zasad obowiązujących w systemie rozgrywek międzynarodowych organizowanych przez EUSA, a zatem Akademickich Mistrzostw Europy i Europejskich Igrzysk Akademickich – komentuje Tomasz Wróbel, wiceprezes AZS ds. upowszechniania kultury fizycznej.

Novum wprowadzono także w podziale na typy uczelni. Od tego roku publiczne uczelnie zawodowe będą klasyfikowane z uczelniami społeczno-przyrodniczymi. Aby takie zestawienie powstało na poszczególnych zawodach konieczne będzie sklasyfikowanie co najmniej pięciu zespołów w każdym z typów uczelni. – W moim przekonaniu uporządkowanie podziału na typy uczelni jest konieczne. To pewnie nie koniec zmian w tym obszarze, ale ważne, że wykonaliśmy pierwszy krok, który sportowcom z PUZ-ów gwarantuje praktycznie medale w niemal każdym zawodach – dodaje Wróbel.

W regulaminie doprecyzowano także obowiązki organizatorów AMP w zakresie promocji, m.in. prowadzenie profilu imprezy na Facebooku, zaczynając co najmniej dwa tygodnie przed jej startem, publikowanie na bieżąco wyników zawodów czy zapewnienie obsługi fotograficznej. Unormowano również kwestie dotyczące dopingowania: kibicowanie jest dozwolone jedynie w strefach wskazanych przez organizatora, tak aby nie przeszkadzało w żaden sposób zawodnikom biorącym udział w rozgrywkach.

Modyfikacji uległ też czas trwania zawodów półfinałowych: AMP w tenisie stołowym i piłce nożnej potrwają 2 dni, zaś w badmintonie,

tenisie i pozostałych grach zespołowych 3 dni. Jednocześnie wydłużono o jeden dzień rozgrywki w koszykówce 3x3 i piłce nożnej kobiet.

Ponadto dokonano zmian w regulaminach technicznych poszczególnych dyscyplin. W badmintonie i koszykówce kobiet wyrównano liczbę drużyn w strefach, przywracając Łódź do strefy północnej. Z kolei w snowboardzie w tym samym celu Łódź przepisano ze strefy wschodniej na zachodnią. Zmieniono także konkurencję z giganta na slalom. W kolarstwie górskim połączono punktację drużynową kobiet i mężczyzn. W lekkiej atletyce dodano zapis o konieczności ukończenia danej konkurencji przez minimum 20 zawodników/zawodniczek reprezentujących uczelnię, by punkty z tej konkurencji liczyły się do klasyfikacji drużynowej. W piłce ręcznej kobiet i mężczyzn uszczegółowiono zapisy dotyczące kar oraz klasyfikacji spotkań w grupie.

Niektórych pływaków z pewnością ucieszy wprowadzenie do programu nowych konkurencji: 200 m stylem dowolnym i 200 m stylem zmiennym. W siatkówce plażowej zmieniono system rozgrywek – turnieje półfinałowe będą się odbywały tylko do etapu wyłonienia finalistów, bez spotkań o dalsze miejsca. Istotny zapis pojawił się w regulaminie trójboju siłowego, który od tego sezonu dopuszcza wprowadzenie podmian osób lub zmian w kategoriach wagowych po zgłoszeniu ostatecznym, podobnie jak w innych dyscyplinach. Wzrost zainteresowania Akademickimi Mistrzostwami Polski w inihokeju spowodował, że rozegrane zostaną dwa turnieje półfinałowe, które wyłonią finalistów.

Na kolejny rok zaplanowano zmiany w futsalu i koszykówce kobiet. Od sezonu 2023/2024 awans do turniejów półfinałowych AMP w tych dyscyplinach będzie odbywał się na podstawie wyników rozgrywek środowiskowych.

MK

## Najlepsi w futsalu, snowboardzie i narciarstwie alpejskim

Zwycięstwem Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zakończyły się finały Akademickich Mistrzostw Polski w futsalu. O pierwsze w tym roku medale mistrzostw walczone w obiektach Politechniki Gdańskiej. W zawodach rywalizowało ponad czterystu zawodników i zawodniczek z 24 uczelni. Wśród kobiet ponownie triumfowały zawodniczki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (na fot.). Ekipa trenera Wojciecha Weissa, prowadzącego na co dzień żeńską reprezentację Polski, w meczu o złoto pokonała 3:0 zespół Akademii Nauk Stosowanych w Tarnowie. Spotkanie o brązowy medal zakończyło się zwycięstwem Uniwersytetu Gdańskiego, który pokonał 1:0 drużynę Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego w Częstochowie.

Wśród mężczyzn triumf odnieśli futsaliści Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy, którzy po dogrywce okazali się lepsi od Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, wygrywając 5:4. Brązowe medale przypadły studentom Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, którzy pokonali Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie 2:1.

Snowboardziści walczyli o medale w Szczawnicy. Dwudniowa impreza zgromadziła blisko 270 uczestników. Klasyfikację kobiet wygrała Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie przed Uniwersytetem Warszawskim i Politechniką

Krakowską. Te same uczelnie, tylko w innej kolejności, utworzyły podium w męskiej drużynówce. Tutaj UW wyprzedziła PK i AGH.

Narciarze alpejscy toczyli z kolei boje na zakopiańskiej Harendzie. W rywalizacji brało udział blisko 400 osób z 43 uczelni. W klasyfikacji kobiet zwyciężyła katowicka AWF przed Uniwersytetem Warszawskim i Śląskim Uniwersytetem Medycznym. Wśród mężczyzn dominowały uczelnie z Małopolski: Politechnika Krakowska, Uniwersytet Jagielloński i AWF w Krakowie.

MK



Fot. Marcin Gadoński

# Technologia Salesforce

## W jaki sposób technologia Salesforce może zwiększyć skuteczność działań w branży edukacyjnej

Salesforce jest liderem na rynku rozwiązań chmurowych i największym na świecie dostawcą aplikacji dla biznesu. Platforma nawiązała współpracę z już ponad 150 tys. klientów na całym świecie, a swoimi rozwiązaniami wspiera takich gigantów jak Sony, Coca-Cola, Apple czy Facebook. Rozwiązania Salesforce pomagają specjalistom z działów marketingu, sprzedaży, czy usług w budowaniu relacji biznesowych i realizacji celów sprzedażowych. Odpowiednio dobrane narzędzia mogą także zwiększyć skuteczność codziennych działań szkół i uczelni wyższych.

Salesforce jest wykorzystywany w branży edukacyjnej już od wielu lat do wspierania kilku kluczowych obszarów.

**Rekrutacja** – narzędzia Salesforce w znacząco ułatwiają zarządzanie procesem rekrutacji – umożliwiają zbieranie najważniejszych danych na temat studentów, takich jak informacje kontaktowe czy historia edukacji. Zwiększa to skuteczność rekrutacji, jednocześnie zapewniając potencjalnym studentom łatwy dostęp do informacji na temat oferowanych programów i usług.

**Zarządzanie studentami** – platforma Salesforce dostarcza miejsce w systemie oparte na tzw. widoku 360. Dzięki temu działy administracji zyskują łatwy dostęp do istotnych danych na temat uczniów, możliwość śledzenia danych historycznych oraz zarządzanie postępami studentów – ułatwiając w tym samym komunikację między uczniami a pracownikami administracji.

**Zarządzanie programami** – rozwiązania Salesforce pomagają w przechowywaniu i zarządzaniu programami, kursami

oraz szkoleniami, oferując łatwy dostęp do danych na temat zapisów i rentowności usług oraz możliwość budowania raportów na podstawie aktualnych i historycznych portfolio uczelni.

**Zarządzanie zasobami ludzkimi** – Salesforce znacznie ułatwia procesy związane z zarządzaniem rekrutacją, szkoleniem pracowników czy śledzeniem wynagrodzeń, jednocześnie oferuje automatyzację wielu procesów i odciążenie kadry pracowniczej.

**Obsługa klienta** – dzięki Salesforce można łatwo śledzić kontakty z klientami, zarządzać pytaniami i reklamacjami, a także ułatwić procesy administracyjne związane z przetwarzaniem wniosków i dokumentów.

Według badania przeprowadzonego przez platformę w 2018 roku, aż 73% badanych uczelni wykorzystuje rozwiązania Salesforce do zarządzania rekrutacją i procesami aplikacyjnymi, a aż 64% decyduje się na wykorzystanie ich do zarządzania kontaktami z klientami/studentami. Natomiast z badań przeprowadzonych w 2020 roku wynika, że uczelnie, które wykorzystują Salesforce, osiągają znaczące korzyści, takie jak zwiększenie skuteczności procesów rekrutacyjnych i usprawnienie zarządzania programami edukacyjnymi.

Narzędzia Salesforce otwierają przed uczelniami wiele możliwości – usprawniają i automatyzują wiele codziennych procesów i pozwalają skupić się na realizacji głównych celów uczelni wyższych i szkół.



# Fundacje wspierające naukę

Prof. Maciej Żylicz, prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, przedstawia perspektywę osobistego, bezinteresownego wsparcia instytucji pożytku publicznego, działających obszarze badań naukowych, w postaci odpisu podatkowego, w tym roku powiększonego do 1,5% należnego podatku.

Naczelnym motywem każdej społecznej interwencji powinno być wsparcie lub niesienie pomocy członkom społeczeństwa. W krajach, w których społeczeństwo obywatelskie istnieje już od wielu lat, z inicjatywy oddolnej tworzone są fundacje i inne organizacje pozarządowe (tzw. NGO – non-governmental organizations), które tam, gdzie to najbardziej potrzebne, inicjują działania przyczyniające się do rozwoju społecznego.

W przypadku nauki powstają nieskierowane na zysk organizacje wspierające badania naukowe, np. nad zaburzeniami neurodegeneracyjnymi, autoimmunologicznymi, onkologicznymi i innymi społecznie dolegliwymi chorobami. Nie jest to działalność marginalna. W Wielkiej Brytanii ok. 60% budżetu na badania w zakresie onkologii jest subsydiowana przez fundacje, które na swoją działalność dostają fundusze od państwa, ale także czerpią środki z dobrowolnych datków obywateli. Organizacje pozarządowe odgrywają także istotną rolę w finansowaniu badań nad chorobami rzadkimi, które pozostają poza obszarem zainteresowania dużych firm farmaceutycznych.

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej odgrywa aktywną rolę w europejskiej sieci Philea Research Forum, która skupia fundacje wspierające naukę i naukowców, dając im możliwości prowadzenia badań i rozwoju, np. tworząc centra doskonałości naukowej, gdzie się tę naukę tworzy według najlepszych światowych standardów. W nowoczesnych społeczeństwach tego typu inicjatywy „bottom-up” często zastępują lub uzupełniają wysiłki państwa w ważnych dla społeczeństw kwestiach, gdyż działają sprawniej, są bliżej obywateli, trafniej identyfikują ich potrzeby i elastycznie na nie reagują. Na tym opiera się przyjęta przez te społeczeństwa zasada subsydiarności (zapisana zresztą także w naszej konstytucji), którą można ująć w następujących słowach: „tyle społeczeństwa, ile można, tyle państwa, ile jest konieczne”. W idealnym świecie władza polityczna powinna pełnić rolę wspierającą (pomocniczą) w stosunku do wysiłków podejmowanych przez samych obywateli. Obywatele, łącząc swoje wysiłki, tworzą organizacje, np. fundacje, które powinny być autonomiczne, samodzielne i – co ważne – niezależne od państwa, a tym bardziej od partii politycznych.

Pamiętajmy o tym, że państwo nie powinno odbierać społeczeństwu władzy, którą jest ono w stanie sprawować zgodnie z własną wolą i za pomocą własnych środków (w tym pochodzących z naszych podatków). Są przecież sprawy, z którymi – z różnych względów – państwo sobie nie radzi lub którymi w ogóle nie powinno się zajmować. W przypadku nauki nasze państwo sobie nie radzi. Mimo licznych prób od 30 lat nie udało się zbudować spójnego projektowego systemu finansowania nauki i szkolnictwa wyższego, który umożliwiłby skuteczne relacje pomiędzy akademią i społeczeństwem oraz gospodarką. Swoje zdanie na ten temat wyraziłem w artykule *Debata o nauce i szkołach wyższych* („PAUza Akademicka”, 2023, nr 633). Mówię o ostatnich 30 latach, nie dlatego, by twierdzić, że przedtem było lepiej, bo nie było. Ale przedtem nie byliśmy wolnym krajem i nie mogliśmy budować społeczeństwa obywatelskiego.

Sejm RP w 1990 roku postanowił stworzyć Fundację na rzecz Nauki Polskiej (FNP) w celu wspomaganie najlepszych naukowców pracujących w Polsce. W ciągu ponad 30 lat istnienia FNP pomogliśmy, poprzez przyznawanie stypendiów, nagród i subsydiów, już przeszło 10 tysiącom naukowców, którzy tworzą w naszym kraju naukę na najwyższym poziomie.



Fot. FNP

Jednym z programów FNP są roczne stypendia dla młodych badaczy (stypendia START), którzy są w stanie pochwalić się znaczącymi i solidnie udokumentowanymi wynikami naukowymi. Wspieramy w ten sposób wszystkie dziedziny nauki – od humanistyki do nauk inżynierskich. Od 30 lat co roku przyznajemy przynajmniej 100 takich stypendiów tym młodym, wspaniałym ludziom, aby wspomóc ich działania naukowe w czasie, gdy wykonują prace doktorskie lub rozpoczynają staże podoktorskie. Na ten cel wydaliśmy z własnych funduszy przeszło 90 mln zł. Takie wsparcie uzyskało przeszło 3,3 tysiąca doktorantów lub młodych doktorów. Traktujemy stypendia START jako nagrodę za dotychczasowe osiągnięcia. Stypendyści programu mogą wydać otrzymane środki zgodnie z własnym uznaniem – także na

opiekę nad dziećmi, opłatę przedszkolną, na zakup książek, pieluch czy wyjazdy. Przede wszystkim nie muszą szukać innych sposobów zarobkowania i mogą skupić się na robieniu dobrej nauki. Obserwujemy rozwój ich karier i widzimy, że to założenie się potwierdza. Nasi stypendyści znacznie szybciej – w porównaniu do innych młodych naukowców w naszym kraju – osiągają samodzielność naukową, zyskują impet i motywację do podejmowania ambitnych wyzwań badawczych. Wielu z nich jest już dzisiaj profesorami, członkami PAN i PAU, laureatami nagród FNP i grantów ERC. Stale przekonujemy się o tym, że stypendia START to świetna inwestycja.

Stypendia dla młodych badaczy przyznawane są w wyniku otwartego konkursu, opartego na bardzo pracochłonnym systemie oceny wniosków z udziałem najlepszych w naszym kraju ekspertów, m.in. laureatów Nagrody FNP czy innych naszych programów. Troszczymy się o obiektywną ocenę, wolną od konfliktu interesu. Każdy wniosek, który uzyskuje finansowanie, jest oceniany na dwóch etapach przez przynajmniej sześciu ekspertów, a na kolejnym etapie Rada Fundacji, składająca się z wybitnych badaczy z różnych dziedzin nauki, zatwierdza listy rankingowe w poszczególnych obszarach nauki. Proces selekcji, który prowadzi do wyłonienia zazwyczaj nie więcej niż 10% najlepszych wniosków, trwa przeszło pół roku i jest kontrolowany przez Zarząd Fundacji. W systemie oceny nie bierzemy pod uwagę tak zwanych „punktów ministerialnych”, „impact factorów” i tego rodzaju pseudoparametrów. Nasi recenzenci oceniają przede wszystkim poziom naukowy osiągnięć wskazanych przez składającego wniosek oraz ich oryginalność.

Poważną pomoc w finansowaniu stypendiów START stanowią wpłaty pochodzące z 1% odpisu podatku dochodowego (od tego roku 1,5%; link: <https://start.fnp.org.pl/przekaz-1/>). Ja od wielu lat osobiście 1% swojego podatku przekazuję na ten cel. Wiem, że całość zebranej w ten sposób kwoty trafi do naszych stypendystów i wierzę, że jest to najlepsza inwestycja.

Rozmowa z dr. Dawidem Kosteckim, dyrektorem Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej

# Solidarni z Ukrainą

Zakładamy, że ukraiński uczestnik naszego programu będzie w stanie po powrocie do swojego kraju efektywnie włączyć się w odbudowę tamtejszej nauki i kształcenia wyższego w oparciu o doświadczenia współpracy europejskiej. W ten sposób równoważymy kwestie związane z brain drain oraz realnej pomocy na rzecz ukraińskiego środowiska akademickiego.

## W związku z wybuchem wojny na Ukrainie na agencję spadły dodatkowe zadania.

Wszystko zaczęło się 15 marca, kiedy uruchomiliśmy program Solidarni z Ukrainą. Wojna wybuchła 24 lutego, zatem responsywność NAWA była bardzo wysoka, jak na uwarunkowania funkcjonowania administracji publicznej. Program stypendialny Solidarni z Ukrainą zakładał pomoc indywidualnym beneficjentom, uchodźcom ze środowiska akademickiego: studentom i doktorantom. Współpracując z uczelniami nadzorowanymi przez ministra edukacji i nauki oraz ministra zdrowia, chcieliśmy przekazać w formie stypendiów 26 milionów złotych, z czego 24 miliony sfinansowało Ministerstwo Edukacji i Nauki, a 2 miliony Ministerstwo Zdrowia.

## Czy na ten program dostaliście dodatkowe środki, czy był on realizowany z normalnego rocznego budżetu NAWA?

To były dodatkowe dotacje celowe z obu resortów, przeznaczone na realizację tego konkretnego programu.

## Ile osób skorzystało z tych stypendiów i jak wyglądała realizacja programu?

Indywidualnymi beneficjentami tej formy pomocy było ponad półtora tysiąca uchodźców ukraińskich. Celem było jak najszybsze wsparcie studentów i doktorantów z Ukrainy, którzy pojawili się w Polsce. Wobec przedłużającej się wojny nastąpiła ewolucja naszego podejścia do kwestii wsparcia Ukraińców. I tak powstała druga forma tego programu: Solidarni z Ukrainą – Uniwersytety Europejskie. Gdy zastanawialiśmy się, jak w sposób najbardziej efektywny przekazać środki na pomoc ukraińskim naukowcom, najpewniejszym i najbardziej elastycznym rozwiązaniem wydała się współpraca z uniwersytetami zrzeszonymi w sojuszach europejskich, których partnerami są uczelnie ukraińskie. Uczelnie, które spełniały wówczas kryteria programu, było osiemnaście. Nasze podejście było takie: jeśli jesteś członkiem sojuszu i dostałeś już środki europejskie, weźmiesz udział w pilotażu programu NAWA Solidarni z Ukrainą – Uniwersytety Europejskie. Taka forma to gwarancja jakości działań.

## Jak ten program będzie realizowany?

Zaproponowaliśmy bardzo szeroką paletę możliwości: wspólne projekty badawcze, organizacja wymiany studentów, doktorantów i pracowników instytucji, udział w wizytach studyjnych, stażach, szkołach letnich i zimowych, seminariach,

warsztatach, szkoleniach lub intensywnych kursach, opracowanie nowoczesnych materiałów dydaktycznych, przygotowanie wspólnych publikacji naukowych, możliwość uzyskania podwójnych dyplomów – w sumie jest to 13 działań kierunkowych. Każdy uczestnik – podmiot polskiego systemu szkolnictwa wyższego – sam zdecydował, jak zechce pomóc ukraińskim akademikom. Zamysł był następujący: aby dokonać włączenia uczelni ukraińskich w europejską przestrzeń badawczą oraz europejski obszar szkolnictwa wyższego, studenci i doktoranci przyjeżdżają na semestr na uniwersytet polski, a drugi semestr spędzają na uczelni zagranicznej należącej do określonego sojuszu. Następnie wracają na Ukrainę, aby tam kontynuować kształcenie lub pracę naukową. Zakładamy, że ukraiński uczestnik naszego programu będzie w stanie po powrocie do swojego kraju efektywnie włączyć się w odbudowę tamtejszej nauki i kształcenia wyższego w oparciu o doświadczenia współpracy europejskiej. W ten sposób równoważymy kwestie związane z brain drain oraz realnej pomocy na rzecz ukraińskiego środowiska akademickiego. Ten program został sfinansowany w pełni ze środków Ministerstwa Edukacji i Nauki kwotą blisko 16 milionów złotych. Zweryfikowaliśmy propozycje poszczególnych uniwersytetów i okazało się, że każda uczelnia dostanie na realizację swoich propozycji ok. 700-800 tys. złotych.

## Ta forma wsparcia wydaje się trudniejsza do realizacji niż poprzednia.

Zdecydowanie. Trudniej jest zaprosić do Polski np. doktorantów, gdyż na Ukrainie obowiązują ograniczenia wyjazdowe, zwłaszcza dla mężczyzn. Kobiety jest w tym wypadku łatwiej. Mimo tych trudności wiemy, że współpraca już się rozpoczęła. Na przykład Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, która jest uczestnikiem sojuszu UNIGREEN, już przeprowadziła szkołę zimową. Podobnie Politechnika Warszawska. Liczymy na to, że przełomowym wydarzeniem podczas realizacji projektu będzie konferencja *Focus on Ukraine*, która odbędzie się w dniach 3-4 kwietnia w murach Uniwersytetu Gdańskiego, która z jednej strony będzie okazją do pochwalenia się tym, co już zostało zrobione w programie, z drugiej zaś umożliwi wymianę doświadczeń między uniwersytetami zaangażowanymi w realizację programu. To w Gdańsku wypłynął gen „Solidarności”, zatem to miejsce wydaje się naturalnie predysponowane do debaty nad tym, jak pomagać w odbudowie szkolnictwa wyższego na Ukrainie i włączyć je w euro-



Fot. NAWA

Dr **Dawid Kostecki** (ur. w 1990 r.), dyrektor Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, jest absolwentem prawa i historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II. Ukończył też studia Executive Master Business of Administration oraz Doctor Business of Administration w Wyższej Szkole Menedżerskiej w Warszawie. Na macierzystej uczelni pracował w Katedrze Teorii i Filozofii Prawa KUL. Naukowo zajmuje się aksjologią, relacją prawa i moralności oraz filozofią prawa. Jest członkiem Stowarzyszenia Filozofii Prawa i Filozofii Społecznej (IVR), Naukowego Towarzystwa Tomistycznego. Był członkiem Rady Młodych Naukowców. Współpracował w Zakładem Analiz Społecznych i Ekonomicznych Fundacji Polskiej Akademii Nauk w Lublinie. Jest autorem książek „Kultura organizacyjna good governance w jednostkach administracji publicznej. Podręcznik dobrych praktyk” oraz „Filozofia prawa Mariana Ignacego Morawskiego” (na podstawie doktoratu), za którą otrzymał Nagrodę im. Anieli hr. Potulickiej za wybitne osiągnięcie z zakresu chrześcijańskiego humanizmu. Pracował w jednostkach administracji publicznej różnego szczebla.

pejską przestrzeń badawczą (ERA) oraz europejski obszar szkolnictwa wyższego (EHEA), a taki jest cel tego programu. Ponieważ możliwych działań jest wiele, każda uczelnia stowarzyszona, czyli ukraińska, decyduje, w jakich formach współpracy chce uczestniczyć. Np. udział we wspólnych projektach badawczych na razie planuje pięć czy sześć uczelni ukraińskich, ale już wymianą akademicką jest zainteresowanych 58. Nasze uczelnie robią rozeznanie, jakie jest zapotrzebowanie na różne formy współpracy, a potem ze swoimi koalicjantami w Europie szukają możliwości zaspokojenia potrzeb ukraińskich partnerów. Daliśmy formę, a rolę uniwersytetów jest wypełnienie jej treścią. Umowy z uczelniami zostały podpisane w grudniu 2022. Realizacja zadań ma miejsce przez cały obecny rok, zaś rozliczenie projektów nastąpi w roku 2024.

#### **Czy pieniądze NAWA trafią też do zagranicznych uniwersytetów, członków sojuszy europejskich, które np. umożliwią doktorantom ukraińskim pobyt u siebie?**

Dysponentem środków jest uczelnia polska, która odpowiada za kooperację z zagranicznymi uczelniami. Zatem beneficjentami tych środków będą również uczelnie zagraniczne, jednak nadrzędnym celem jest inkluzja partnerów ukraińskich. Dla polskich uczelni też jest to duża szansa. Otrzymują narzędzie, które umożliwia zajęcie pozycji łączników między partnerami ukraińskimi i zachodnimi, którzy często chcą poma-

gać, ale nie mają odpowiedniej wiedzy, a w tym wypadku także środków, by w taką inicjatywę się włączyć.

#### **Przejdźmy zatem do kolejnego programu – Partnerstwa Strategiczne NAWA.**

To program instytucjonalny, którego celem jest wsparcie instytucji szkolnictwa wyższego i nauki w wypracowaniu trwałych rozwiązań w zakresie współpracy dydaktycznej, naukowej i wdrożeniowej realizowanej w ramach strategicznych partnerstw międzynarodowych. To ważny i potrzebny program, którego oczekuje środowisko akademickie. Ogłosimy go w roku 2023, ale jego finansowanie i realizacja planowane są na rok 2024. Wynika to z tego, że nasz tegoroczny budżet został utrzymany na poziomie 250 milionów złotych, czyli takim samym, jak w ubiegłym roku. Tymczasem sytuacja gospodarcza, inflacja sprawiają, że musimy w dużej mierze postawić na umiędzynarodowienie w domu – to jedyna szansa na to, żeby zagwarantować owskażnikowanie i monitoring programów na tym samym poziomie, jak w latach ubiegłych.

#### **Na czym polega „umiędzynarodowienie w domu”?**

To działania generujące mniej kosztów, np. zaproszenie profesora z zagranicy na rodzimą uczelnię z serią wykładów (ang. visiting profesor), promowanie mobilności wirtualnej poprzez współpracę online z uczelniami partnerskimi. Obecnie nowo-

czesne technologie sprzyjają wykorzystaniu rozwiązań hybrydowych. W ten sposób przy niskich kosztach możemy uzyskać interesujące efekty w zakresie kształcenia międzynarodowego. Jesteśmy w trakcie ogłaszania tegorocznych naborów, które kształtują ofertę programową Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej.

### Jak ona wygląda przy takim budżecie?

Faktycznie jest utrzymana na poziomie roku ubiegłego. Zatem mamy Polskie Powroty, Programy im. Mieczysława Bekkera (Bekker NAWA) oraz program im. Stefana Banacha (Banach NAWA) opiewające w sumie na kwotę 10 milionów złotych. W tym ostatnim przypadku będziemy negocjować nową perspektywę. Środki na realizację tego zadania pochodzą z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Po posiedzeniu Rady NAWA w lutym otrzymaliśmy rekomendację dotyczącą rozszerzenia odbiorców tego programu o Ukraińców, którzy skończyli studia pierwszego stopnia w Polsce. Będą oni mogli starać się w NAWA o stypendia na kontynuację kształcenia w naszym kraju. U źródeł tego programu tkwi założenie pomocy rozwojowej dla państw rozwijających się. Z powodu sytuacji zewnętrznej w ostatnich latach mieliśmy sporo rezygnacji. Dlatego ta modyfikacja i otwarcie na osoby, które już tu są, czyli Ukraińców po pierwszym etapie kształcenia, przyczyni się do pełnego wykorzystania alokacji programowej oraz umożliwi dotarcie z ofertą do nowych grup docelowych. Po okresie pandemii wracamy do trybu stacjonarnej pracy Agencji. Chociaż, nie ukrywam, że zarówno wojna na Ukrainie, jak i pandemia zmieniły charakter naszego działania.

W 2017 roku ustawodawca postawił przed NAWĄ cele związane z inicjowaniem współpracy międzynarodowej, promocją polskiego systemu szkolnictwa wyższego, a także rozpowszechnianiem wiedzy na temat nauki języka polskiego jako obcego. Okazało się jednak, że upływ czasu i niespodziewane zewnętrzne okoliczności pozwalają wypełnić misję NAWA nowymi programami, będącymi reakcją na zewnętrzne zapotrzebowanie środowiska akademickiego. Doskonałym przykładem potwierdzającym tę tezę są programy Solidarni z Ukrainą.

### Przypomnę podobny starszy program Solidarni z Białorusią.

Nie mówiłem o nim dotąd, bo w ubiegłym roku był już wygaszony. Ale to również dobry przykład odpowiedzi NAWA na dynamiczną i złożoną rzeczywistość. Innym programem, który miał odpowiedzieć na zdarzenia nagłe, nietypowe, które należy zbadać bardzo szybko, są Granty Interwencyjne. Daje on możliwość sfinansowania badań międzynarodowej grupy projektowej. Nabór jest prowadzony w trybie ciągłym. Zostanie on ogłoszony w marcu. Pierwotnie miał być on niszą dla nauk ścisłych i inżynierskich oraz medycznych, tymczasem najwięk-

sze grono odbiorców pochodzi z nauk społecznych. Wcześniej dominowała tematyka covidowa, obecnie zaś badacze skupiają się na różnych aspektach i skutkach wojny na Ukrainie.

### Spotykamy się na Kongresie Kopernikańskim dosłownie w wigilię uruchomienia naboru wniosków do kolejnego konkursu programu stypendialnego im. Stanisława Ulama.

To program przyjazdowy dla zagranicznych naukowców, ale rezerwujemy 10 procent miejsc dla Polaków pracujących w zagranicznych ośrodkach naukowych. Mogą oni uzyskać stypendium na pobyt w polskiej instytucji na okres od 6 do 24 miesięcy. Z reguły mamy około 50 stypendystów, a kosztuje on 10 mln złotych. Wysokość stypendium to 10 tys. zł plus dodatek mobilnościowy, który pozwoli na pokrycie kosztów organizacji podróży. Mamy opiekunów stypendystów programu Ułam NAWA. To oni przyciągają nowych badaczy do programu.

Dyskusja podczas wspomnianego panelu była bardzo twórcza i inspirująca. Nasi stypendyści podkreślali potrzebę kontynuacji tego rodzaju wsparcia oraz podkreślali bardzo dobre warunki do uprawiania nauki w Polsce. W takim tonie wypowiedzieli się zarówno pani profesor Lynne Bowker z Kanady (University of Ottawa) jak i profesor Munish Kumar Gupta, pracujący obecnie na Politechnice Opolskiej. Profesor Grzegorz Królczyk przybliżył perspektywę budowania międzynarodowych zespołów badawczych, które pozwalają na dynamiczny rozwój nauki i są akceleratorem postępu naukowego. Z kolei prof. Grzegorz Węgrzyn, przewodniczący Rady Doskonałości Naukowej, zwrócił uwagę na to, że zagraniczni uczeni zmieniają polski świat nauki. Jego zdaniem dzieje się to zarówno w naukach ścisłych, jak i społecznych oraz humanistycznych. Na zakończenie panelu z udziałem dr. Tomasza Rzymkowskiego, sekretarza stanu w MEiN, uruchomiona została specjalna animacja inauguracyjna nabór wniosków do programu ULAM NAWA. Równolegle w Warszawie serwery były gotowe na przyjęcie pierwszych zgłoszeń do programu.

### Czy w obecnej sytuacji NAWA nadal organizuje wyjazdy polskich uczelni na międzynarodowe targi edukacyjne?

Powracamy do uczestnictwa w międzynarodowych targach edukacyjnych. W marcu realizujemy wspólnie misję edukacyjną do Brazylii i Argentyny. Będziemy również obecni na trzech największych światowych wydarzeniach: APAIE, NAFSA i EAIE, gdzie będziemy promować polską naukę oraz zachęcać do studiowania w Polsce. Ponadto jesteśmy w trakcie cyklu spotkań Polonia Meetings, podczas którego popularyzujemy ofertę programową NAWA wśród diaspory polskiej (USA, Wielka Brytania, Irlandia).

Rozmawiał Piotr Kieraciński

## Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



# Czym są otwarte dane badawcze?

## Do czego ich potrzebujemy i jak się z nimi obchodzić?

Niezależnie od dziedzin nauki i ich dyscyplin, wspólnym mianownikiem dokumentowania prowadzonych w ich ramach badań są dane, które współcześnie najczęściej przyjmują formę cyfrową. Ich upublicznianie stanowi miły krok w stronę poprawy jakości i tempa rozwoju badań naukowych. Znajomość podstawowych zasad obchodzenia się z tymi danymi oraz stosowanie się do tych zasad powinny więc cechować każdego człowieka nauki.

Choć samo pojęcie „danych badawczych” (ang. scientific data, częściej: research data) ukute zostało dopiero pod koniec XX wieku w wyniku rozwoju technik analiz obliczeniowych, to jego nieformalne narodziny nastąpiły niewątpliwie już dużo wcześniej, bo w epoce oświecenia wraz z rozwojem idei empiryzmu głoszącej, że prawdziwe jest tylko to, co można poznać (czyli również opisać) doświadczalnie. Obecnie dane badawcze definiuje się ogólnie jako zbiór jakichkolwiek informacji gromadzonych, składowanych i przetwarzanych na potrzeby prowadzonej działalności naukowej i rozwojowej lub, nieco bardziej precyzyjnie, jako dane wejściowe procesów badawczych lub wytworzone na którymś z etapów ich prowadzenia, a gromadzone w celu dokumentowania oryginalnych wyników badań i umożliwienia ich weryfikacji.

Na obserwowany ostatnio światowy wzrost nacisku na zapewnienie możliwości weryfikacji wyników badań na jak najwcześniejszym etapie ich upowszechniania (najczęściej na etapie recenzowania opisu wyników badań zgłoszonych do publikacji) bezpośredni wpływ miało zapewne narastające zjawisko tak zwanego kryzysu powtarzalności badań naukowych (ang. research replication/replicability/reproducibility crisis), będącego aktualnie trwającą zapaścią metodologiczną, wobec której wyniki wielu badań naukowych są trudne lub niemożliwe do odtworzenia. A ponieważ odtwarzalność wyników empirycznych jest immanentną cechą metody naukowej, takie przeszkody podważają wiarygodność teorii na niej opartych, a co za tym idzie potencjalnie kwestionują znaczną część wypracowanej do tej pory wiedzy naukowej. Termin określający kryzys powtarzalności badań powstał w okolicach 2010 r. w ramach rosnącej świadomości problemu, a rozpoczęte wtedy rozważania na temat przyczyn i środków zaradczych dały początek odrębnej gałęzi nauko-

wej zwanej metanauką (ang. metascience), w ramach której wykorzystuje się empiryczne metody naukowe do badania empirycznej praktyki badawczej. Kryzys powtarzalności badań jest szczególnie często przywoływany w odniesieniu do psychologii i medycyny, w których podjęto znaczne wysiłki skoncentrowane wokół ponownego badania ugruntowanych już wyników, aby zweryfikować ich wiarygodność, a w przypadku jej braku określić przyczyny tego stanu rzeczy. Prowadzone badania wskazują jednak, że problem jest szerszy i dotyczy także innych nauk przyrodniczych i społecznych, a nawet technicznych. Być może skala występowania problemu tylko pośrednio zależy od dziedzin czy dyscyplin, a bardziej od obszarów badawczych i wykorzystywanych w nich konkretnych metod.

Dobrym przykładem może być dynamicznie rozwijający się ostatnio obszar sztucznej inteligencji zwany głębokim uczeniem (ang. deep learning) korzystający z technologii wielowarstwowych sieci neuronowych. W bardzo dużym uproszczeniu zagadnienie to polega na maszynowym uczeniu systemu cyfrowego transformującego wejściowy wektor danych (prześlanki, przyczyny, wymuszenie) w wektor wyjściowy (konkluzje, skutki, odpowiedź), w oparciu o zbiór danych opisujący również przyczynowo-skutkowe zachowanie się modelowanego systemu/mechanizmu/zjawiska wyrażone jako zbiór identycznie skonstruowanych wektorów odpowiedzi na wektory wymuszeń. Zbiór ten zawiera więc pewną liczbę obserwacji opisujących przyczyny i skutki, a samo uczenie systemu polega na takim doborze wartości/wag poszczególnych neuronów, aby wiedza zgromadzona w zbiorze uczącym była dobrze uogólniana na przypadki wcześniej nieznanne. Problemem nie jest więc wyuczenie systemu dającego najmniejszą, jakkolwiek definiowaną wartość błędu odpowiedzi dla przypadków znanych. Postęp w poszczególnych obszarach dziedzinowych głę-

bokiego uczenia mierzony jest jednak liczbowymi wskaźnikami jakości w oparciu o predykcję systemu dla przypadków nieznanymi systemowi w czasie procesu uczenia, ale w celu zapewnienia porównywalności skuteczności uczenia, znanych badaczowi, gdyż musi się on na końcu podjąć oceny uzyskanych wyników. Polega to na tym, że zbiór danych opisujący zjawisko (zawierający wiedzę) dzieli się na podzbiór danych uczących i testowych. Jak już wspomniałam, nie jest problemem uzyskać wysoki wskaźnik jakości, gdy w procesie uczenia wykorzystany zostanie pełny zbiór danych, tak więc weryfikacja wyników jedynie w oparciu o efekt końcowy (wartości wagi nauczonej sieci) nie może wykazać, jakie wektory danych zostały systemowi przedstawione w procesie uczenia, a więc nie dowodzi rzetelności naukowej badania. Aby to zrobić, konieczne jest powtórzenie całego procesu uczenia systemu, a więc znajomość użytego zbioru danych, jego podziału na część uczącą i testową, dokładny opis architektury i przyjętych parametrów systemu oraz kroki, w jakich realizowano cały proces uczenia.

Niestety nawet w przypadku tej stosunkowo młodej gałęzi, jaką jest uczenie głębokie, istnieje bardzo duże zróżnicowanie oraz dostępność wzorcowych zbiorów danych w obrębie poszczególnych obszarów dziedzinowych, a większość publikacji skupia się jedynie na przedstawieniu wyników końcowych (wskaźników jakości) oraz dość pobieżnie przedstawionej architekturze systemu, pomijając wartości wagi i dokładny opis procesu uczenia, co uniemożliwia weryfikację deklarowanych wyników.

### Drogi do zmiany przyzwyczajzeń naukowców

Nauki techniczne współcześnie również nie są wolne od zagrożeń płynących ze strony kryzysu replikacyjnego, co w połączeniu z presją wynikającą z parametrycznych kierunków rozwoju ewaluacji postępów badań naukowych nie sprzyja samo z siebie motywowaniu badaczy do zachowywania transparentności i powtarzalności prowadzenia procesów badawczych. Dodatkowe zagrożenia rodzi również niewątpliwie ciągły wzrost możliwości produkcyjnych naukowego przemysłu wydawniczego, zwłaszcza w dobie jego komercjalizacji, oraz skracanie czasu cyklu wydawniczego prac naukowych wynikające głównie z przestawiania go na tory elektronicznej formy wydawniczych. Choć uwarunkowania te na ogół są korzystne, to jednak sprzyjają również budowaniu ślepych frontów badawczych, które bez wczesnej weryfikacji mogą skutkować marnowaniem potencjału badawczego. Dlatego właśnie tak ważne jest zapewnienie odpowiednich mechanizmów weryfikacji wyników badań na jak najwcześniejszych etapach, a możliwość powtarzalności badań w oparciu o udokumentowane dowody naukowe w postaci danych badawczych stanowi tutaj najlepszy oręż.

Drogi do zmiany przyzwyczajzeń naukowców i motywowania ich do większej dbałości o zapewnienie powtarzalności badań leżą na dwóch przeciwnych biegunach. Pierwszy to metoda nakazowa, która zaczyna już być coraz powszechniej wdrażana, a instytucje finansujące badania oraz poszczególni wydawcy mogą wymusić odpowiednie standardy publikacji naukowych. Druga to przekonanie świata nauki, że na zapewnieniu powtarzalności badań zyskać mogą sami autorzy publikacji, gdyż łatwiej przechodzi ona proces recenzji, a trafiając do obiegu, przyciąga większe zainteresowanie innych badaczy, którzy w oparciu o dorobek w niej wypracowany, mogą stosunkowo łatwo odtworzyć zastosowany tam warsztat badawczy i skupić się na ulepszaniu wyników tam uzyskanych, potencjalnie zwiększając tym samym ogólne zainteresowanie świata nauki wytyczonymi kierunkami.

Rozważając znaczenie danych badawczych, nie sposób pominąć drugiej fundamentalnej funkcji, jaką pełnią one dla rozwoju nauki, a mianowicie enkapsulacji procesów badawczych. Dotyczy to sytuacji, w których prowadzone badania cechują się charakterem interdyscyplinarnym, ale sposób ich prowadzenia ma przebieg potokowy. Dla przykładu prace nad automatyzacją diagnostyki medycznej dotyczą obszaru samej diagnostyki (wiedza kliniczna), budowy urządzeń diagnostycznych (wypracowywania sygnałów obrazujących stan pacjenta) oraz systemów eksperckich (automatyzacja wnioskowania na podstawie wypracowanych sygnałów i wiedzy klinicznej). Dzięki odpowiednim badawczym zbiorom danych (rozpoznane/oznaczone klinicznie sygnały obrazujące stan pacjenta) praca zespołu rozwijającego system ekspercki może przebiegać w pewnym oderwaniu od pozostałych. Widać więc, że w ogólnym obrazie przenikania dziedzin naukowych dane badawcze pełnić mogą funkcje szkieletu, wokół którego rozwijając się będą coraz to nowe gałęzie, a dane wyściowe wypracowywane w ramach jednych badań będą mogły zacząć pełnić rolę danych wejściowych bądź też walidacyjnych dla badań innych.

### Ustawa o otwartych danych

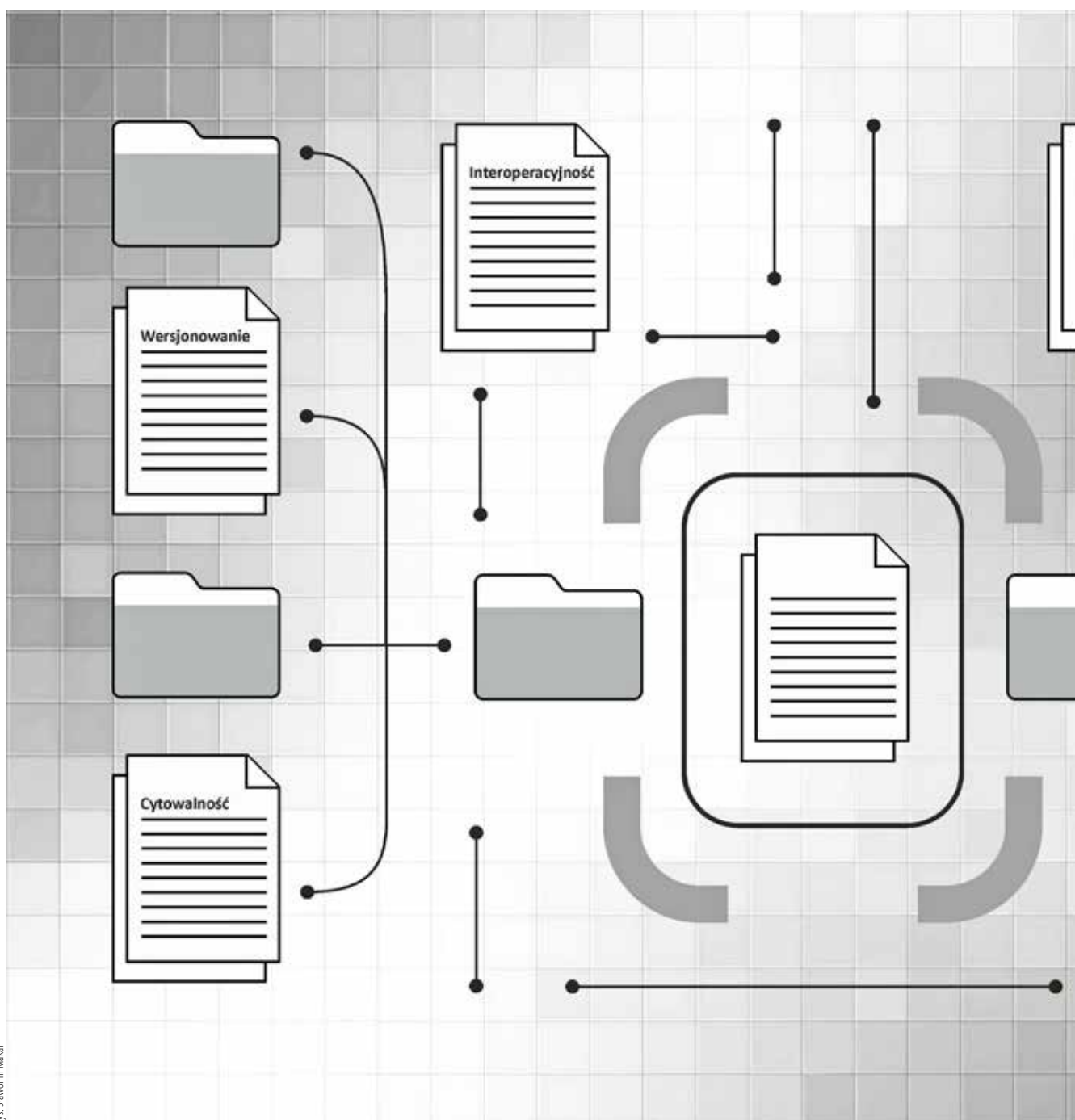
Wzrost zainteresowania dobrymi praktykami związanymi z danymi badawczymi zaobserwować można również ostatnio w dyskursie krajowym, kiedy to od września 2019 r. zaistniał obowiązek dołączania do wniosków o finansowanie projektów badawczych przez Narodowe Centrum Nauki skróconego planu zarządzania danymi badawczymi, który stanowił odpowiedź na wcześniejsze wytyczne Komisji Europejskiej zawarte w zaleceniach z 17 lipca 2012 r. w sprawie dostępu do informacji naukowej i jej ochrony, a także na dyrektywę Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2019/1024 z 20 czerwca 2019 r. w sprawie otwartych danych i ponownego wykorzystania informacji sektora publicznego. Ostatecznie w Polsce dyrektywa ta została wdrożona ustawą z 11 sierpnia 2021 r. o otwartych danych i ponownym wykorzystywaniu informacji sektora publicznego. Od tego momentu na witrynach internetowych bibliotek większości uczelni w Polsce zaczęły pojawiać się podstrony informujące kadre naukową o konieczności wdrażania odpowiednich procedur związanych z obsługą danych badawczych, a zawierające w większości informacje o podstawie prawnej oraz odwołania do wytycznych FAIR (ang. Findable/Accessible/Interoperable/Reusable) opublikowanych w 2016 r. i opisujących dobre praktyki postępowania z takimi danymi (<https://www.gov.fair.org/fair-principles/>). Niestety poziom ogólności opisów tam zamieszczanych, wynikający z jednej strony często z braku doświadczenia w praktykach badawczych kadry bibliotecznej, z drugiej zaś z bardzo dużej specyfiki przetwarzania danych badawczych o różnych postaciach w ramach poszczególnych obszarów badawczych dziedzin naukowych, może powodować, że stosowanie się do nich pozwoli jedynie na formalne spełnianie najbardziej podstawowych regulacji prawnych, a może nie mieć wiele wspólnego z rzeczywistym wkładem w rozwój przejrzystości badań naukowych. Zagrożenia te zostały już dostrzeżone i zaowocowały również krajowymi inicjatywami na rzecz dzielenia się wiedzą i dobrymi praktykami w ramach poszczególnych obszarów badawczych (np. IV Pomorska Konferencja Open Science – udostępnianie danych badawczych).

Jednak pomimo dużej specyfiki przetwarzania danych badawczych w poszczególnych obszarach warto zwrócić uwagę, że obecnie, choć często w domyśle, mówi się już tylko i wyłącznie o danych cyfrowych, czyli takich, które utwa-

lane są w postaci pliku lub zbioru plików komputerowych. To spostrzeżenie powala na nieco głębszą refleksję nad różnymi aspektami, jeśli chodzi o dobre praktyki, również w kontekście wytycznych FAIR. Należy też zauważyć, że pozostawanie w zgodzie z tymi praktykami nieś może mniejszy lub większy narzut, czyli wymagać dodatkowych wysiłków ze strony wdrażających je badaczy, dlatego też momentem ich wdrażania powinien być etap publikacji wyników (czyli „otwierania” danych badawczych), zaś w fazie prowadzenia badań można rozważyć fakultatywne wykorzystanie wybranych zasad, jeśli pozwoli to poprawić jakość procesu badawczego bez generowania nadmiernych dodatkowych obciążeń. Powinno to być opisane w planie zarządzania danymi badawczymi, jednak ponieważ ten artykuł koncentruje się na publikowaniu danych badawczych, zagadnienia związane z samym planem zarządzania zostają pominięte.

### Metadane (ang. metadata)

Najlepszą wskazówką dla wszystkich przedstawionych tu praktyk, ale dla wymiaru metadanych w szczególności, byłyby: „pozostaw (opublikuj) swoje dane w taki sposób, w jaki sam chciałbyś je zastać (otrzymać)”. Oznacza to, że dane powinny być w jednoznaczny sposób opisane co do ich struktury, pochodzenia, sposobu gromadzenia i utrwalenia w postaci plików końcowych. Jeśli chodzi o strukturę czy też inaczej użyte paradygmaty do opisu modelowanej dziedziny, ważne jest wskazanie, czy dane mają charakter dokumentowy (obiektowy), relacyjny, grafowy, hierarchiczny, tekstowy czy inny. W przypadku złożonych pojęciowo modeli należy opisać zależności występujące między poszczególnymi pojęciami oraz wskazać, gdzie w strukturze plików występują poszczególne pojęcia oraz powiązania z innymi. Wygodne może się okazać sięgnięcie po któryś z graficznych języków modelowania struktural-



Rys. Sławomir Makal

nego/obiekowego, jak na przykład diagram klas czy diagram obiektów standardu UML (ang. Unified Modeling Language). Mimo że język ten postrzegany jest jako zdefiniowany szczególnie na użytek nauk technicznych, to znajduje on zastosowanie również w wielu innych obszarach, a przy jego opracowywaniu przyswiewcał cel maksymalnej użyteczności, czyli w przypadku nieskomplikowanej struktury jej modele w nim wyrażone są również bardzo proste. Opis zbioru danych powinien również zawierać informacje, w jaki sposób i przy jakich warunkach zostały one pozyskane, przy użyciu jakich narzędzi były gromadzone i wreszcie, jak zostały przetworzone w celu ich utrwalenia do postaci końcowej.

Mimo że wiele formatów plików zawiera w sobie pewne metadane (np. pliki zawierające treści multimedialne), to jeśli wartości tych metadanych mogą mieć znaczenie w procesie badawczym, warto rozważyć, czy nie wyspecyfikować

ich dodatkowo, gdyż narzędzia wykorzystywane przez innych badaczy mogą takie wewnętrzne zapisy interpretować inaczej niż narzędzie użyte przez upubliczniającego dane. Jeżeli wolumen danych jest na tyle znaczny, że pobranie archiwum mogłoby się wiązać z zaangażowaniem znacznych środków technicznych lub czasowych, warto rozważyć opublikowanie również reprezentatywnej próbki danych (ang. sample), tak aby zainteresowani mogli w łatwy sposób zweryfikować, czy dany zbiór spełnia ich oczekiwania.

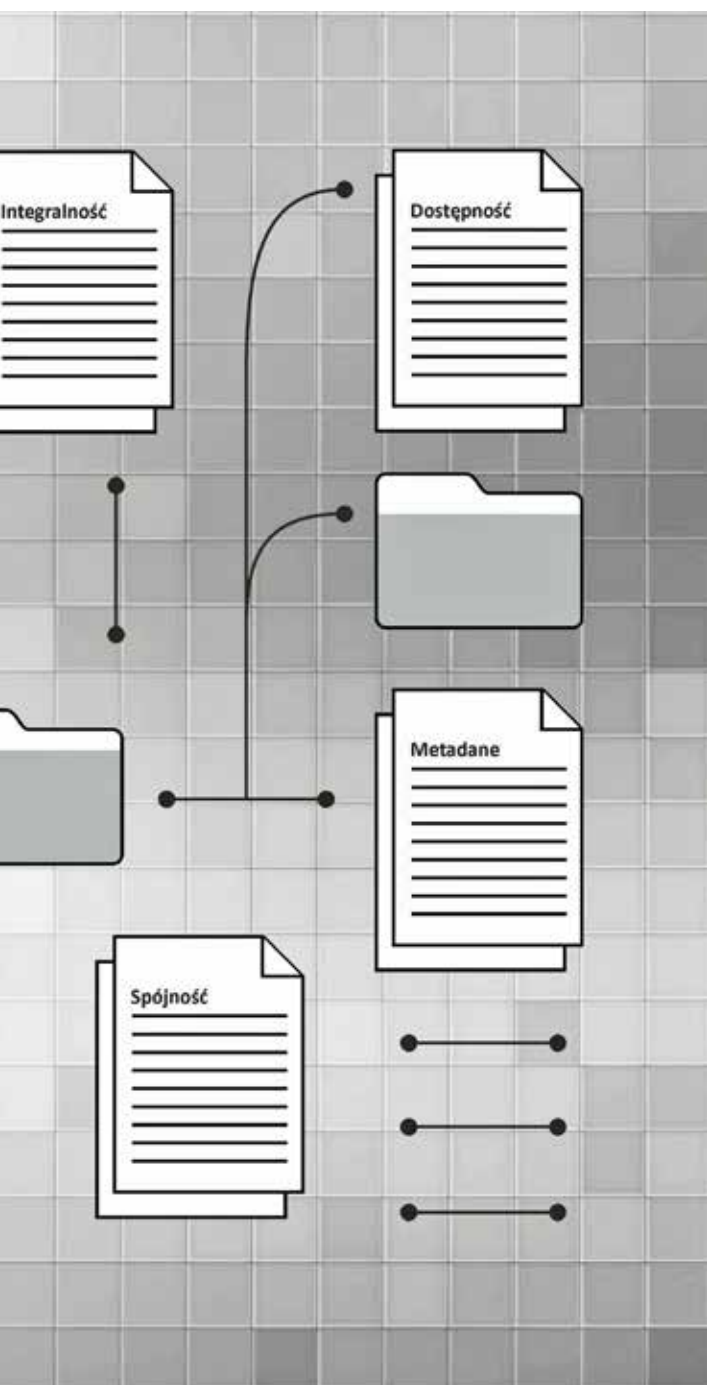
### Interoperacyjność (ang. interoperability)

Formaty danych stanowią pewnego rodzaju standardy cyfrowego kodowania plików, w których przechowywane są opisy obiektów wybranej dziedziny na zadanym poziomie abstrakcji. Niestety współcześnie – z powodów takich jak różnorodność architektur komputerowych, różnice kulturowe społeczeństw, długa już obecność technologii cyfrowych zarówno w świecie komercyjnym, jak i nauki czy wreszcie konkurowanie między sobą poszczególnych dostawców oprogramowania – istnieje cała mnogość formatów danych przeznaczonych do różnych zastosowań. Nie trzeba sięgać daleko, aby dojrzeć wynikające z tego problemy, gdyż wystarczy przyjrzeć się jednemu z najstarszych formatów danych – plikom tekstowym. Początkowo istniejący standard ASCII (ang. American Standard Code for Information Interchange) okazał się niewystarczający do kodowania znaków diakrytycznych alfabetu wielu języków, co zaowocowało powstaniem szeregu jego rozszerzeń. Jednak dalej nie umożliwiała to posługiwania się znakami diakrytycznymi pochodzącymi z różnych alfabetów w jednym pliku równocześnie. Zaowocowało to powstaniem całej rodziny standardów UTF (ang. Universal Coded Character Set Transformation Format), z którego największą popularność zdobył UTF-8. Standard nie precyzuje jednak kolejności kodowania bajtów dla znaków kodowanych słowem dłuższym niż jeden bajt, stąd potrzeba używania dodatkowego znacznika BOM (ang. byte order mark). Dodatkowo najbardziej popularne systemy operacyjne – Linux i Windows – w odmienny sposób kodują znaczniki końca linii. Aby jednak nie ograniczać rozważań tu prowadzonych jedynie do identyfikacji zagrożeń, a rozszerzyć je o wskazówki praktyczne, zaproponować można używanie standardów otwartych w miejsce prawnie zastrzeżonych, na przykład dla plików programów pakietów biurowych używanie formatu OpenDocument (znany również jako ODF oraz ISO/IEC 26300), co nie będzie zmuszało przyszłych użytkowników publikowanych dokumentów do kupowania własnościowych pakietów oprogramowania biurowego.

Kolejna wskazówka dotyczy wyboru formatu opisującego dane na najwyższym możliwym poziomie abstrakcji, np. jeśli badaniu podlegały rękopisy, ale badano jedynie treści zapisów, a ich forma nie miała znaczenia, lepiej będzie udostępnić je jako pliki tekstowe niż graficzne. Podobnie jeśli dane miały układ relacyjny i wykorzystywano konkretny system zarządzania bazą danych, korzystniej będzie nie zmuszać przyszłych użytkowników tych danych do zastosowania tego samego systemu, a dać im możliwość wyboru spośród wielu dostępnych platform SQL (ang. structured query language). Sprzyjać będzie temu udostępnienie danych w postaci plików CSV (ang. comma separated values) eksportowanych dla każdej relacji z osobna.

### Integralność (ang. integrity)

Integralność danych to ważna cecha pozwalająca mieć pewność, że wcześniej zdeponowany w repozytorium zbiór danych jest identyczny z tym, którego ktoś używa ponownie do innych badań. Współczesne technologie składowania i teletransmisji danych nie są niezawodne i mogą powo-



dować przekłamania polegające na tym, że fragmenty pobieranych plików będą inne niż plików źródłowych. Aby temu zapobiec, powszechnie stosowane są mechanizmy sum kontrolnych wyliczanych przy pomocy znanych algorytmów implementujących funkcje skrótu (ang. hash functions). Polega to na tym, że dla źródłowego zbioru plików wyliczana jest wartość wybranej funkcji skrótu (będąca niczym innym jak pewnym łańcuchem znakowym) i publikowana w repozytorium razem z danymi. Badacz zainteresowany danym zbiorem pobiera go z repozytorium, a następnie ma możliwość wyliczenia wartości tej funkcji w swoim lokalnym środowisku. Jeśli łańcuchy znaków będą identyczne, istnieje duże prawdopodobieństwo (graniczące z pewnością), że jego kopia danych jest identyczna ze źródłową. Powszechnie wykorzystywanym obecnie przez wiele repozytoriów danych standardem jest MD5 (ang. Message-Digest algorithm 5).

### Spójność (ang. consistency)

O ile wcześniej opisana integralność jest cechą pozwalającą na uniknięcie błędów powstałych na poziomie infrastruktury technicznej, o tyle spójność dotyka warstwy logicznej, a konkretnie sytuacji, kiedy dane opisują struktury złożone lub zależne. Prosty przykładem może być opisująca artykuły naukowe baza danych, w której w osobnym pliku przechowywane są dane dotyczące artykułów, a w osobnym dane dotyczące autorów. Brak opisu atrybutów autora, mimo że figuruje on w jednym z artykułów, stanowi niespójność mogącą świadczyć o utracie kontroli nad procesem badawczym albo błędach w procesie transformacji danych do postaci sprzyjającej ich publikacji. Dlatego też po przygotowaniu danych do postaci, w której zamierza się je opublikować, warto wykonać transformację odwrotną, czyli zasilić nimi środowisko badawcze i zweryfikować, czy otrzymano stan bliźniaczy z danymi wyjściowymi.

### Cytowalność (ang. citability)

Mimo że historycznie w literaturze naukowej spotkać można różne podejścia do cytowania danych badawczych, w których często autorzy poszczególnych zbiorów danych, udostępnianych czy to na instytucjonalnych stronach internetowych, czy w repozytoriach, sugerują, w jaki sposób użytkownicy tych danych powinni zaznaczać w tekstach fakt ich wykorzystania, to współcześnie wytyczonym, wdrożonym i doskonale się już sprawdzającym standardem identyfikacji „produktów” naukowych, czy są nimi artykuły, czy właśnie zbiory danych, jest mechanizm DOI (ang. digital object identifier). Konsekwentne stosowanie DOI, a w przypadku większości poważanych repozytoriów danych DOI jest nadawane przez nie automatycznie, pozwoli w krótkim czasie i w łatwy sposób zweryfikować i kontrolować popularność poszczególnych zbiorów danych, co z kolei pozwoli badaczom dokonywać bardziej świadomych wyborów w przypadku istnienia zbiorów alternatywnych. Warto tutaj zaznaczyć, że w interesie samych autorów zbiorów badawczych ważne jest zadbanie o identyfikację jednoznaczną, czyli posługiwanie się tylko jednym DOI dla konkretnego zbioru. Chcąc zwiększyć popularność publikowanego zbioru, można ulec pokusie publikowania go w wielu repozytoriach niezależnie, ale warto wtedy zadbać, żeby każde z repozytoriów nie nadało innego identyfikatora DOI. Zwykle podczas deponowania zbioru danych w repozytorium istnieje możliwość nadania mu identyfikatora przez repozytorium albo zarejestrowania identyfikatora nadanego wcześniej.

### Wersjonowanie (ang. versioning)

W wielu przypadkach badanie prowadzi się na danych odzwierciedlających stan przedmiotu badań (np. populacji)

w danym czasie. Wypracowana metodyka może zostać zaaplikowana ponownie po upływie pewnego interwału czasu do uaktualnionego zbioru danych, a uzyskane wyniki przedstawiać nowszy stan wiedzy naukowej na dany temat. Jest to najczęstszy, choć niejedyny, powód do zastosowania techniki wersjonowania danych, którą wspierają już niektóre repozytoria. W takich przypadkach powinno się nadać identyfikator DOI każdej wersji badawczego zbioru danych oraz dodatkowo wszystkim wersjom, jako pewnemu conceptowi reprezentującemu podobną metodę zbierania danych czy celowi badaczemu przyświecającemu powołaniu tych zbiorów do życia. Daje to przyszłym użytkownikom zbioru danych możliwość jego identyfikacji na poziomie konkretnej wersji lub też/i niezależnie od niej.

### Dostępność (ang. availability)

Dostępność danych upublicznionych w sieci Internet rozumiana być może w wymiarach fizycznym i prawnym. Pierwszy oznacza m.in. gwarancję możliwości dostępu do danych niezależnie od zdarzeń losowych mogących negatywnie wpłynąć na infrastrukturę, w której są one przechowywane. Najlepszą metodą uniezależnienia się od takich zdarzeń jest replikacja danych pomiędzy geograficznie oddalonymi centrami przetwarzania danych. Choć podejście takie mogłoby być trudne i kosztowne w implementacji przez mniejsze instytucjonalne repozytoria danych, które wdrażają rozwiązania w oparciu o infrastrukturę własną, to duże ogólnoeuropejskie i ogólnoświatowe repozytoria szczerą się już takimi właśnie mechanizmami. Czynnikiem ten powinien więc być brany pod uwagę, oczywiście jako jeden z wielu, przy wyborze miejsca deponowania własnych danych.

Wymiar prawny dostępności danych określa z kolei ramy, w jakich możemy dysponować czyjąś własnością intelektualną, którą stanowią dane przez kogoś zebrane i opracowane. O ile charakter udostępnianych danych nie powoduje naruszeń innych regulacji prawnych czy etycznych, istnieje tutaj pełna dowolność w wyborze modelu licencjonowania danych, a najczęściej wybiera się te, które również towarzyszą publikowaniu prac naukowych w formie open access.

\*\*\*

Proces „otwierania i kurowania” danych badawczych rozpoczął się w kraju stosunkowo niedawno, ale w dość gwałtownym i nakazowym trybie, co przy braku odpowiedniej kampanii uświadamiającej mogło w nas budzić uśpione dziecięce instynkty buntownicze. Mam nadzieję, że w tym artykule udało mi się przedstawić dobre intencje „rodzica” i korzyści płynące dla nas samych z dodatkowego wysiłku, który należy włożyć w odpowiednie przygotowanie danych badawczych do ich upublicznienia.

Mam świadomość poziomu ogólności przedstawionych rozważań, ale też uważam, że na takim należało pozostać, a dalsze prace nad rozwojem dobrych praktyk pozostawić już społecznościom poszczególnych dziedzinowych obszarów badawczych. Koleżanki i kolegów z mojej dyscypliny, którzy szukają odpowiedniego miejsca do publikowania swoich danych, zapraszam natomiast do repozytorium Zenodo, gdzie od roku 2017 skupiam społeczność zainteresowaną tematyką bibliometryczną (<https://zenodo.org/communities/bibliometrics>).

*Dr Anna Małgorzata Kamińska, adiunkt Instytutu Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego. Jej zainteresowania badawcze obejmują problematykę komunikacji naukowej, naukometrii oraz bibliotekoznawstwa i informacji naukowej. Teorię z praktyką pozwala jej łączyć praca w Bibliotece Politechniki Śląskiej w Gliwicach.*

Dariusz Seweryn

# Szarża lekkiego brygadiera

czyli epizod z dziejów „wojen o naukę”. Cz. II

Heller, wykształcony matematycznie, potrafiący kontemplować złożone supersymetrie współczesnej fizyki, przechodząc w domenę humanistyki konstruuje równanie z jedną (!) zmienną („piękno”), sugerując, że to w zasadzie wyczerpuje właściwą problematykę studiów humanistycznych, z naukami społecznymi włącznie.

Na pytanie sformułowane w tytule książki Michała Hellera *Czy fizyka jest nauką humanistyczną?* odpowiedzią jest stanowcze „tak”. Jest nauką humanistyczną, co można wykazać w sposób niezbity, racjonalny i ostateczny, w razie potrzeby odwołując się nawet do wyrafinowanych narzędzi psychoanalizy, co sygnalizuje już tytuł jednego z podrozdziałów, wymierzony w zgraję postmodernistów: *Kompleks niższości?* „[...] interesuje mnie (podobnie jak Sokala i Bricmonta) jedynie stosunek postmodernistów do nauki. Czy jest on również reakcją na dominację nauk ścisłych w naszym stuleciu? Jeżeli tak, to jest to reakcja bardzo specyficzna. Można się w niej bowiem dopatrzyć elementów kompleksu niższości, a więc specyficznego szacunku wobec nauk”. Humanistą, który zauważy, że jest to stereotypowy przejaw popkulturowej recepcji psychoanalitycznego terminu ‘kompleks autonomiczny’, nie należy się przejmować. Prawdziwa nauka dawno bowiem ustaliła, że kompleks to nic innego niż objaw szacunku, jaki osobniki gorszego sortu żywią wobec lepszych od siebie, choć wstyd im się do tego przyznać.

Punktem wyjścia rozważań Hellera jest bowiem problem rozziwienia między kulturą humanistyczną a kulturą nauk przyrodniczych, stąd wstępne nawiązania do *Dwóch kultur* Charlesa Snowa i zbiorowej publikacji *Trzecia kultura* pod redakcją Johna Brockmana. Ta poszerzająca się przepaść jest oczywiście twardym faktem społecznym, diagnoza Snowa pozostaje zatem trafna i niekontrowersyjna; gorzej z propozycjami terapii. Redukcyjna stronnictwość Brockmana Hellerowi się nie podoba: deprecjonowanie humanistyki nie budzi wprawdzie jego entuzjazmu, ale i nie wywołuje spektakularnego oburzenia; lecz Brockman podniósł rękę także na teologię, a na to już zgody być nie może. Dlatego Heller przeciwstawia mu własny pomysł na „trzecią kulturę” – syntezę wartościowych elementów kultury humanistycznej (choć nie tak łatwo je wskazać) z kulturą naukową. Tak jak nie ma zgody na ostateczną bani-

cję teologii z domeny nauk, tak też nie ma zgody na ekspulsję fizyki z dziedziny, którą próbują zawłaszczyć samozwańczy koryfeusze humanistyki. „Nie chcę oczywiście zacierać różnic pomiędzy dyscyplinami, które potocznie nazywają się humanistycznymi, a fizyką. [...] Protestuję jedynie – i to stanowczo – przeciwko wyłączeniu fizyki, i w ogólności nauk ścisłych, z tzw. obszaru kultury”.

Wyłania się tu wszakże niejaka sprzeczność. Oto bowiem im mocniej socjologowie próbują włączać nauki ścisłe w „tzw. obszar kultury”, tym mocniej protestują co bardziej bojowo nastawieni przedstawiciele nauk ścisłych. „Stwierdzenie «fizyczna rzeczywistość jest społecznym i lingwistycznym konstruktem» to po prostu głupota, natomiast powiedzenie «społeczna rzeczywistość jest społecznym i lingwistycznym konstruktem» to niemal tautologia” – oznajmia radośnie Sokal w posłowie do *Modnych bzdur* (wydobyła tę perełkę już Barbara Tuchańska).

Obserwacja wstępna, która się w tym miejscu nasuwa, jest następująca: humanista, chcąc zadowolić Sokala (czyli zostawić w spokoju fizykę), naraża się Hellerowi; chcąc zadowolić Hellera (traktować fizykę jako fakt kulturowy, zatem eo ipso społeczny), naraża się Sokalowi. Zgoda, to jeszcze nie dramat. Ale Heller, z entuzjazmem wspominając o książce Sokala i Bricmonta, jako pogromcach „autorów postmodernistycznych”, których wypowiedzi „choć pozornie brzmią bardzo uczenie, są całkowicie pozbawione sensu”, podsumowuje uroczyście: „W trosce o dobro współczesnej kultury trzeba to było zrobić”. Jeśli dołączyć do tego opinię Sokala i Bricmonta na temat teologii, implikowaną w sposób jednoznaczny ich stosunkiem do „religii” (zwłaszcza pierwszego z nich), i zestawić to z obroną teologii za pomocą fizyki, czyli inicjatywą Hellera, to okaże się wówczas, że iloczyn mnogościowy (wspólny zakres) poglądów i postulatów wszystkich tych autorów spektakularnie się kurczy.

### Co rozśmiesz antropologów?

Wyjaśnienie tej spektakularnej różnicy postulatów formułowanych pod adresem humanistyki tkwi w terminologii. W dyskursie Hellera nazwa 'kultura' występuje w znaczeniu potocznym i niezobowiązującym, czyli tak, jak nazwa 'społeczna rzeczywistość' w dyskursie Sokala. Autorzy ci wychodzą z założenia, iż o ile nie każdy, o ile nie każdy, wie, co to 'lagranżjan', to przecież każdy wie, co to 'rzeczywistość społeczna', tak jak każdy wie, co to 'kultura'. Wiedza ta nabywana jest wszak bezkosztowo. Programy zatytułowane „Magazyn kulturalny” emitują regionalne telewizje; „Magazyn bardzo kulturalny” do niedawna można było znaleźć w trzecim programie Polskiego Radia. Zebrani w studiu toczą sympatyczne, niezobowiązujące pogawędki o książkach, płytach, spektaklach. Informacji dostarcza też środowisko językowe. Przykładem relewantnych wypowiedzi są zdania w stylu średnim ozdobnym: „Jaki to kulturalny człowiek!” (resp. 'człowiek ten nie popełnia rażących błędów ortofonicznych, nosi marynarkę i nie używa wulgaryzmów'); w stylu oralnym potocznym, niskim: „Weź się, \*\*\*\*\*, zachowuj kulturalnie”. Dzięki nabytej w ten sposób wiedzy racjonalny umysł dysponuje już wszystkim co potrzebne, aby ustalić, jaki jest interes współczesnej kultury i co należy czynić dla jej dobra. Cała reszta to postmodernistyczne „modne bzdury”. Sprowadza się to do żądania: fizyka ma być traktowana jako dziedzina aktywności kulturalnej, ale nie dziedzina aktywności społecznej. Jeżeli chodziło o to, żeby wymyślić coś, co na pewno rozśmieszy antropologów i socjologów, to pewnie trudno by wymyślić coś lepszego.

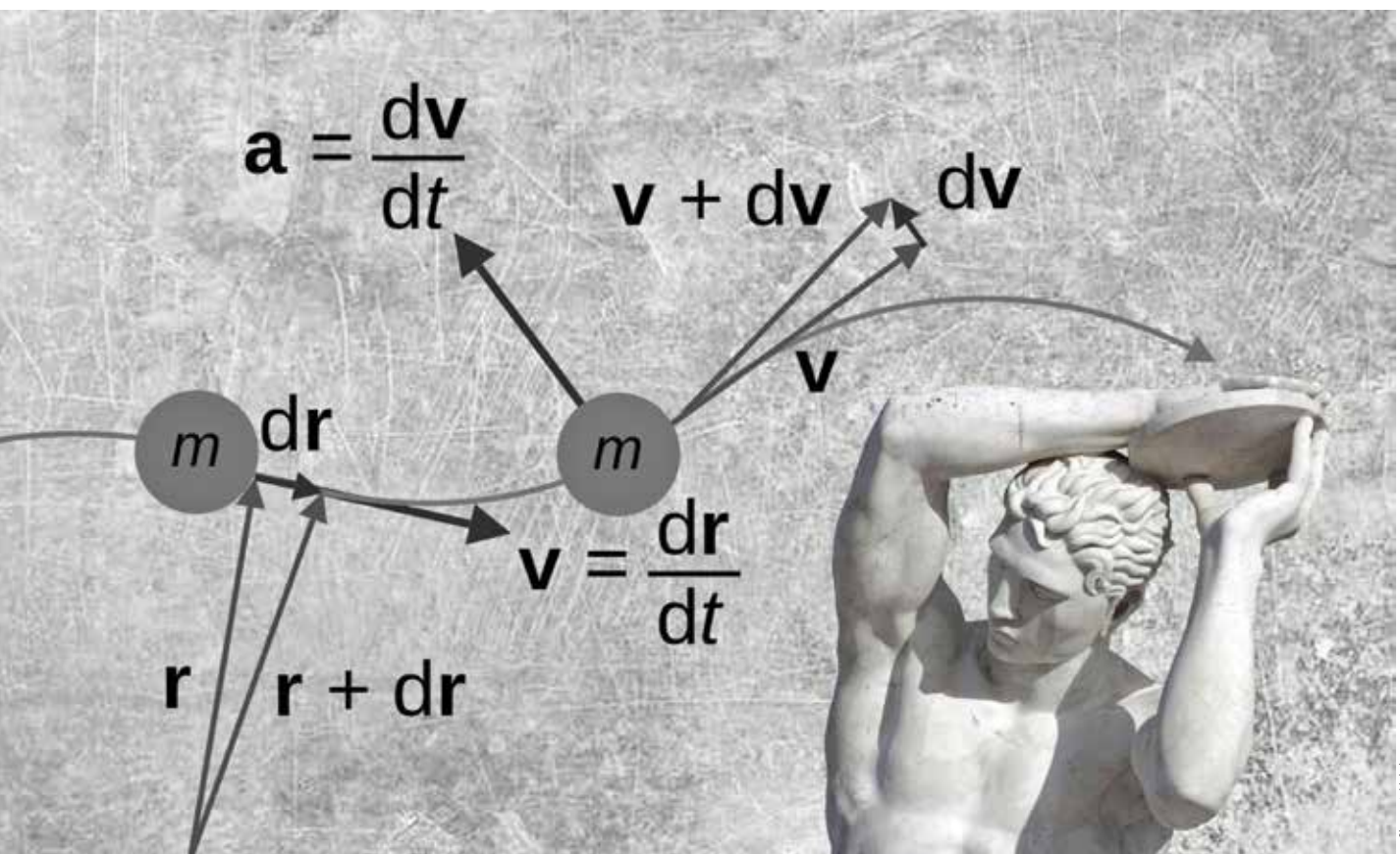
Myśl nieoswojona cytowanego autora (osobliwie korespondująca z pojęciem 'la mentalité prélogique' Lévy-Bruhla) nie dostrzega związku między pojęciem 'kultury' a pojęciem 'rzeczywistości społecznej', a dostrzec go nie może, bo nie wie, że są to przyzwocie (i wielowariantowo) opisane terminy nauk spo-

lecznych, nie zaś tylko nazwy potoczne jak 'bułka' czy 'opona'. Z okoliczności tej wypływają dość drastyczne konsekwencje. Podkreśliwszy, że „przepaść między naukami ścisłymi i humanistycznymi pogłębiają próby niekompetentnego dialogu”, na szczęście „bezlitośnie zdemaskowane” przez Sokala i Bricmonta, Heller wskazuje światło w tunelu: „Humanisci nadal nie potrafią porozumieć się z fizykami czy matematykami. Szczęśliwie przedstawiciele nauk ścisłych zaczęli porozumiewać się bezpośrednio z szeroką publicznością”. Przykładową propozycją porozumienia z szeroką publicznością, w tym przypadku kompetentnego, staje się zatem wyłożona przez autora teoria dzieła sztuki.

### Mógłbym udowodnić cokolwiek

„Gdybym chciał odwołać się do współczesnych nauk humanistycznych w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, co to jest dzieło sztuki, miałbym do dyspozycji tyle i tak różnorodnych określeń, że mógłbym udowodnić cokolwiek. Pozostaną więc przy określeniu najbardziej tradycyjnym, zgodnie z którym warunkiem koniecznym bycia dziełem sztuki jest to, by było ono piękne. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że we współczesnej krytyce artystycznej również pojęcie piękna rozplywa się w niejasnościach, bywa redukowane do zbioru subiektywnych doznań lub w ogóle odmawia mu się jakiegokolwiek sensu. W takiej sytuacji najlepiej odwołać się do dziejów pojęcia” (Heller, *Czy fizyka...*).

Pseudohumanistyczna transpozycja tego stanowiska byłaby taka: „Gdybym chciał odwołać się do współczesnej fizyki w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób obiekty kwantowe oddziałują z otoczeniem opisywanym przez fizykę klasyczną, miałbym do dyspozycji tyle i tak różnorodnych określeń (wykładnia kopenhaska Bohra, zmienne ukryte, fala pilotująca Bohma, dynamiczny wieloświat Everettta, statyczny, predefiniowany wieloświat Davida Deutscha,



rys. Sławomir Makal

kwantowy darwinizm Żurka i parę innych), że mógłbym udowodnić cokolwiek. W takiej sytuacji najlepiej odwołać się do fizyki Arystotelesa”.

Anachroniczne wyobrażenie, jakoby właściwym przedmiotem humanistyki miało być ‘piękno’ (wzorcowy przykład tego, co hermeneutyka nazywa alienacją estetyczną), byłoby rozczulająca, gdyby wrazenia nie psuło udzielanie dobrych rad współczesnym teoretykom sztuki: „Myślę, że refleksja nad pięknem teorii fizycznych może być przestrożą dla tych wszystkich teoretyków sztuki, którzy chcieliby pojęcie piękna zredukować tylko do subiektywnych doznań lub całkowicie wyeliminować je z myślenia o sztuce. Byłaby to – nie pierwsza już zresztą – przysługa, jaką nauka wyświadczyła sztuce”. Średniowieczni teoretycy „piękna” nie znali ikonologii ani semiotyki, zatem żaden myśliciel, który humanistyczną kulturę nabył raz a dobrze, na przykład na teologicznych studiach, znać tych wymysłów też nie musi; zresztą zalatuje to wszystko na miłą postmodernizmem, więc tym bardziej. Jeśli idzie o standardy naukowe – choćby uwzględniając tylko nauki historyczne – to właśnie znaleźliśmy się w miejscu, z którego rozpościera się rozległa panorama Imperium Lechitów. Toteż przestrogi adresowanej do teoretyków sztuki (nie śmiećcie sprowadzać „piękna” do subiektywnych doznań) sam autor ani myśli przestrzec.

„Chciałbym [...] skupić swoją uwagę na fizyce uprawianej przez prawdziwych artystów, takich jak: Newton, Maxwell, Einstein, Schrödinger; wówczas humanistyczne walory tej nauki staną się bardziej oczywiste. Co więcej, pewien stopień artystycznego ducha jest niezbędny także po stronie odbiorcy dzieła sztuki. Głuchemu trudno zachwycić się muzyką Bacha. Aby docenić piękno fizycznych teorii, potrzebne jest minimum wrażliwości na intelektualną harmonię” (Heller, *Czy fizyka...*).

Można to zreasumować, korzystając z formy dialogowej.

– Dlaczego fizyka jest w istocie nauką humanistyczną? – Ponieważ jest (a przynajmniej bywa) „uprawiana przez fizyków-artystów”. – A dlaczego fizykom (przynajmniej niektórym) przysługuje miano artystów? – Tylko humanista może zadać tak głupie pytanie: fizycy bywają artystami, bo fizyka bywa nauką humanistyczną, zaś artyści, którzy generują piękno, to humaniści w dobrym tego słowa znaczeniu, czyż nie? – To jakie jest wobec tego kryterium piękna w fizyce? – To równie oczywiste: jest nim „intelektualna harmonia”, którą emanują równania, ale tu już niestety, żeby ją uczuć, potrzebne jest „minimum wrażliwości”. – Czy odwoływanie się do „wrażliwości” nie jest właśnie redukowaniem piękna „do subiektywnych doznań”? – Nie, o ile ta wrażliwość dotyczy symetrii zawartych w równaniach, które odwzorowują rzeczywistość, są więc obiektywne jak sama obiektywność, zatem wrażliwość na nie też jest absolutnie i bezwarunkowo obiektywna. – Ale, (pomijając już nawet psychomechanistyczną redukcję problemu sądów estetycznych do konceptu receptorów „intelektualnej harmonii”) wobec tego, iż żaden humanista, zakładając, że w ogóle miałby chęć, nie zbliży się do poziomu hipotetycznej „wrażliwości” na harmonię równań, jaką ponoć rozporządza wykwalifikowany matematycznie fizyk, co właściwie mają do roboty nauki humanistyczne? – No jak to „co”? Przecież, jak zostało już niezbitnie wykazane, wzorcową nauką humanistyczną jest właśnie fizyka, a fizyk wie, co ma robić, bo myśli racjonalnie, a nie jak jakiś, za przeproszeniem, Derrida. A poza tym, no cóż, powiatowe urzędy pracy mają szeroką ofertę szkoleń zawodowych. Tyle jest pożytecznych zawodów... Dobrych hydrauliczków nigdy za wiele, czego nie można niestety powiedzieć o humanistach w ogóle, a „postmodernistach” w szczególności.

## Wdziawszy szorty i korkowy kask

Do przejawów konsekwentnej dezorientacji w zakresie zagadnień, jakimi zajmuje się humanistyka, należy oświadczenie Hellera: „Niestety, tu nie ma symetrii: fizyk może z dobrym rozumieniem czytać teksty humanistyczne [...]; humanista natomiast, niemający przygotowania w dziedzinie fizyki, jest praktycznie bezradny wobec publikacji z zakresu fizyki”.

To akurat podlega testom empirycznym. Byłoby niewątpliwie interesujące śledzić, jak ów ikoniczny fizyk czyta „z dobrym (!) zrozumieniem” takie na przykład teksty humanistyczne jak: *Towards a Chronological Framework for Significant Dialectal Tendencies in Indo-European F.C.* Woudhuizena, *A Panorama of Indo-European Linguistics since the Middle of the Twentieth Century: Advances and Immobilism* F. Aradosa czy *More Material on the Urartian Substratum in Armenian* J.A.C. Greppina.

Heller wie, czym się nauki humanistyczne nie zajmują, choć jego zdaniem powinny – nie zajmują się mianowicie „pięknem”; a jeśli już się zajmują, to „pojęcie piękna rozplywa się w niejasnościach”, więc w sumie nie wiadomo, co gorsze. Wnioskując na podstawie wywodów zawartych w omawianej książce, autor ów nie ma natomiast kompletnie żadnego wyobrażenia, czym się te nauki rzeczywiście zajmują. Co nie przeszkadza mu utyskiwać na hipokryzję głosicieli dialogu: „[...] żyjemy w czasach, w których tak dużo mówi się o dialogu, że już niewiele czasu pozostaje na to, by go uprawiać”. W tym przypadku oferta dialogu zaczyna się i kończy wejściem w rolę białego Kulturtrügera na Czarnym Łądzie. Z tej pozycji, wdziawszy szorty i korkowy kask, można przystąpić do objaśniania dzikim tybłcom, jak się prawidłowo nawleka szklane paciorki, czyli – sformułować ogólną, poprawną i racjonalną teorię dzieła sztuki. Z zachowaniem błogiej nieświadomości powodów, dla których współcześni teoretycy sztuki raczej unikają tego rodzaju przedsięwzięć. Albowiem dla ludzi, którzy o „dziełach sztuki” mają istotnie jakieś pojęcie, pozostaje zupełnie jasne, że problematyka „dzieła sztuki” to zaledwie aspekt różnorodnie warunkowanego i historycznie zmiennego systemu kulturowej komunikacji. Wiedzą oni także, iż nawet zawężając perspektywę do konceptu „dzieła sztuki” – który sam w sobie jest historyczny i lokalny (wielu społecznościom ten koncept był w ogóle nieznanym) – należy uwzględnić ogromną ilość wielorako ze sobą powiązanych zmiennych, które trzeba by włączyć do „układu równań” opisujących tak zwane dzieło sztuki w synchronii i diachronii. Heller, wykształcony matematycznie, potrafiący kontemplować złożone supersymetrie współczesnej fizyki, przechodząc w domenę humanistyki konstruuje równanie z jedną (!) zmienną („piękno”), sugerując, że to w zasadzie wyczerpuje właściwą problematykę studiów humanistycznych, z naukami społecznymi włącznie. Jest to oczywiście proceder spełniający kryteria Bergerowsko-Luckmannowskiego uprawomocnienia przez nihilację, lecz doprowadzony do stadium klinicznego. Pod pozorem wkładu w „trzecią kulturę” znajdujemy zatem utopijnie irracjonalną próbę magicznego skasowania całej społeczniekulturowej rzeczywistości, wystającej poza sformalizowany model fizyczno-matematyczny, z pozostawieniem niewielkiego marginesu dla zmatematyzowanej in spe „teologii stworzenia”, tudzież reliktywów średniowiecznej estetyki. Jest to w zasadzie równoważne wezwaniu do proklamacji matematyczno-fizycznego kalifatu. Natomiast niewątpliwą zaletą tej propozycji jest uświadomienie zainteresowanym, że struktura zjawiska „science wars” jest bogatsza niżby się można spodziewać, skoro nawet przeprowadzanie czegoś, co jest odpowiednikiem – toutes proportions gardées – czystek etnicznych, okazuje się w tych wojnach najzupełniej wykonalne.

Prof. dr hab. Dariusz Seweryn, Katedra Literatury Oświecenia, Romantyzmu i Krytyki Artystycznej, Wydział Nauk Humanistycznych KUL

# Nie takie NCN straszne

Patrząc na NCN oczyma młodych naukowców, widzimy, że agencja ta ze swoją ofertą i kryteriami oceny daje wyjątkową szansę na utrzymanie pracy naukowej lub powrót do niej osobom bez etatu w akademii. Warto rozmawiać o korektach działania NCN, ale konieczne do tego są rzetelna argumentacja i uwzględnianie perspektywy wszystkich zainteresowanych stron.

Czy porównywanie NCN i pracowników administracji uczelnianej do głów hydry lernejskiej, z którą walczyć mają osamotnieni naukowcy, może przysłużyć się rzetelnej dyskusji o działaniu Centrum oraz o finansowaniu nauki poprzez system grantowy? Tak opisali problem profesorowie Wojciech Czakon i Ewa Bogacz-Wojtanowska (FA 12/2022). Naszym zdaniem takie postawienie sprawy jest szkodliwe i nieprawdziwe. Tego porównania trudno nie uznać za próbę dezawuowania NCN, pomimo zastrzeżeń Autorów, że nie taki był ich cel. Ich tekst bardziej zaszkodził sprawie niż przyczynił się do konstruktywnej dyskusji na temat funkcjonowania Centrum. Jest to tym bardziej smutne, że Autorzy mają cały wachlarz kompetencji, by dokonać wartościowej oceny działania NCN oraz spojrzeć szeroko na wszystkich uczestników systemu grantowego w Polsce. Miał tego jednak ograniczyli się do krytyki nieuzasadnionej, niepogłębionej, a miejscami chybionej. Co więcej, nie przedstawili konkretnych propozycji zmian, co jeszcze potęguje wrażenie, że nie było ich celem otwarcie dyskusji. Podzielamy opinie wyrażone przez prof. Michała Tomzę (FA 2/2023) i w naszych dwóch tekstach polemizujemy z argumentami Autorów grudniowego artykułu oraz prezentujemy spojrzenie na działanie tego systemu z bliskiej nam perspektywy młodych naukowców oraz pracowników administracji uczelnianej.

## Projekty naukowe jako zło konieczne?

System finansowania nauki w Polsce nie opiera się na grantach. Według planowanego budżetu państwowego w 2022 r. finansowanie NCN miało stanowić ledwie 5,12% budżetu na naukę, na rok 2023 to już tylko niespełna 3,87%, co świadczy o tym, że badania naukowe nie są priorytetem w zakresie polityki naukowej państwa. NCN jest najważniejszą agencją finansującą badania podstawowe, ale jednocześnie jest tylko jednym z kanałów finansowania badań. W związku z tym to, że NCN nie chce lub nie może finansować jakiegoś konkretnego projektu, nie oznacza, że naukowcy mają ograniczoną swobodę pracy naukowej albo nie mogą realizować swoich badawczych marzeń, ten system jest znacznie bardziej złożony. Naszym zdaniem NCN działa dobrze, ale z powodu coraz większego niedofinansowania system grantowy w Polsce przestaje być atrakcyjny dla naukowców. Granty to tylko wycinek nauki w Polsce i uzależnianie od nich jakości polskiej nauki czy przyszłości poszczególnych dyscyplin jest ukazaniem sprawy w krzywym

zwierciadle, w którym NCN urasta do roli agencji decydującej o krajowej polityce naukowej. Tak jednak nie jest: NCN ma bardzo korzystny wpływ na tę politykę, ale jest to wpływ ograniczony.

W konsekwencji nie jest również tak, że granty są wszystkim naukowcom niezbędne do życia i do rozliczania działalności. Trafniej można chyba powiedzieć, że od naukowca należy oczekiwać efektów (zwłaszcza bardzo dobrych publikacji), a z nimi – jeśli naukowiec będzie tym zainteresowany – przyjdą granty. Niestety sposób finansowania nauki w Polsce często nie zapewnia naukowcom wystarczających środków na prowadzenie innowacyjnych badań, przez co trudniej o bardzo dobre publikacje, co w punkcie wyjścia sprawia, że system jest wadliwy. Oznacza to, że badacze, pozyskując na badania środki w ramach grantów, jednocześnie zapewniają ciągłość swojej pracy naukowej i budują dorobek publikacyjny.

Wydaje się, że samo zjawisko „projektzacji nauki” ma także wiele zalet. Formułowanie wobec naukowców precyzyjnych oczekiwań dotyczących planowania badań i ich kosztów, konieczność składania raportów i wykazywania efektów realizacji badań naukowych czy wytyczne dotyczące opisu podziału zadań i obowiązków w ramach pracy zespołowej powinny być wymogami, które dotyczą prawie każdej pracy badawczej. Naturalnie nie zawsze i nie wszędzie możliwa jest jednakowa precyzja dotycząca harmonogramu czy kosztorysu, ale to nie zmienia faktu, że większość badań dzięki takiemu uporządkowaniu może tylko zyskać. Chyba właśnie organizacja pracy badawczej jest jednym z najcenniejszych doświadczeń wynoszonych przez polskich naukowców z badań prowadzonych za granicą. Takie są przynajmniej nasze doświadczenia.

Szereg zarzutów podniesionych przez krakowskich Autorów nie jest adresowanych w ogóle do NCN. Zarzuty dotyczące kosztów pośrednich czy procedury zamówień publicznych pokazują, że strategia Autorów polegała na zestawieniu wszelkich argumentów, które wiążą się z projektami, mogą łączyć się z NCN i budują negatywne skojarzenia. Co więcej, Autorzy słowem nie wspominają o tym, że uczelnie publiczne są zobowiązane do przestrzegania dyscypliny finansowej. Również nie pomagają to w dyskusji na temat samego NCN. Podobnie nietrafionym argumentem jest kwestia wynagrodzeń w projektach (zapewne chodziło w tym miejscu o wynagrodzenia dodatkowe, ale krytyka była nieprecyzyjna). Zwiększenie budżetu wynagrodzeń

dotychczasowych może w bezpośredni sposób wpłynąć negatywnie na współczynnik sukcesu, co chyba nie powinno być celem żadnej ze stron w dyskusji o NCN, zatem i ta kwestia wymaga bardziej złożonej analizy i dyskusji.

Inne wątki zostały przedstawione przez Autorów w sposób niedostatecznie precyzyjny. Tytułem przykładu: nie wiadomo, na jakich podstawach opiera się wzmianka o licznych procesach między uczelniami a NCN. Z naszych doświadczeń wynika, że Centrum jest bardzo elastyczne: nie stanowi problemu przesuwanie – zgodnie z zapisami umowy – części środków między pozycjami budżetu, wydłużanie okresu realizacji projektu, przesunięcie w czasie rozpoczęcia realizacji projektu albo oceny raportu końcowego. Są to kwestie o istotnym znaczeniu, które bardzo ułatwiają realizację projektu i jego pozytywne rozliczenie. Reguły gry są znane od samego początku i niezmiennie, zawsze bowiem w dokumentacji konkursowej znajduje się projekt umowy o dofinansowanie przyznanych w danym konkursie projektów. Oznacza to, że naukowiec przygotowujący wniosek grantowy dokładnie wie, jakie będą zasady jego realizacji i co musi uwzględnić podczas planowania działań projektowych i pozycji w kosztorysie. Podobnie ocena „sztywności” NCN w zakresie współpracy z podmiotami realizującymi jest nieoparta dowodami. Taka opinia, nawet rzucona mimochodem, jest jednym z wielu przykładów stawiania NCN w negatywnym świetle bez poparcia tego stosownym wyjaśnieniem czy dowodami.

### Kryteria oceny: szczegóły mają znaczenie

Zarzuty dotyczące kryteriów oceny można uznać za skierowane wobec właściwego adresata. Nie oznacza to, że z nimi się zgadzamy, zwłaszcza że jest to temat, który zawsze będzie kontrowersyjny. Krakowscy profesorowie chyba jednak podjęli krytykę zbyt ogólnikową. Dlaczego w swojej krytyce sięgnęli do regulaminu z marca 2021 roku? Wybierając akurat tę wersję regulaminu wzięli pod uwagę jedną z kilku eksperymentalnych edycji konkursów, w której osobną pulę punktów w ocenie za dorobek powiązano z udziałem kierownika projektu w konkursach „europejskich”. Ten eksperyment samo NCN uznało za nieudany, stąd też szybko się z niego wycofano, a ślady po dyskusji na ten temat można łatwo znaleźć w protokołach z posiedzeń Rady NCN. Same kryteria oceny też podlegają drobnym poprawkom, zatem lepiej skupić się na ostatnich aktualnych kryteriach oceny wniosków w konkursie Opus (według załącznika do uchwały Rady NCN nr 60/2022 z 9 czerwca 2022 r.) jako najbardziej typowego konkursu.

Podstawowy zarzut Autorów wobec kryteriów oceny projektu brzmi: nie spełniają one warunku rozłączności, jednoznaczności oraz kompletności. Nie jest to chyba jedyna droga do mierzenia jakości kryteriów oceny, nie jest też być może najlepsza, ale nie ma to tak wielkiego znaczenia, zwłaszcza jeśli przyjrzeć się w szczególności kryteriom oceny stosowanym przez NCN. Większa część oceny wniosku w konkursie Opus to ocena samego projektu (60%), która składa się z trzech elementów: poziomu naukowego projektu (30%), potencjalny wpływ projektu badawczego (15%), możliwość wyko-

nia projektu badawczego (15%). Każdy z tych elementów ma przypisaną szczegółową charakterystykę, która naszym zdaniem precyzyjnie wskazuje, jakie elementy czy cechy projektu są oceniane w danym punkcie. Naturalnie można sobie wyobrazić bardziej szczegółowe pytania i wytyczne, ale wydaje się, że byłoby to stosowanie zbyt sztywnych wymogów do krajowej procedury konkursowej, której sformalizowanie już teraz naukowcy (w tym Autorzy) krytykują. Jednocześnie wskazane w tych szczegółowych opisach elementy projektu, które podlegają ocenie, wyczerpują istotne naszym zdaniem elementy działania badawczego, choć – znów – można sobie wyobrazić pytania dotyczące także innych cech projektu. Kryteria te spełniają zatem warunki jednoznaczności i kompletności. Co zatem z rozłącznością?

Faktycznie pobieżna lektura kryteriów oceny czy recenzji wniosków mogą wskazywać na to, że dorobek kierownika projektu jest oceniany co najmniej dwukrotnie, a oceny projektu z jednego kryterium są przenoszone na drugie, tak jak podnoszą to krakowscy profesorowie. Oczywiście należy w tym punkcie oczekiwać większej konsekwencji ze strony ekspertów czy podnoszenia wymagań im stawianych (zwłaszcza przez koordynatorów dyscyplin), ale wydaje się, że sięgając do tych szczegółowych wytycznych, można tych zagrożeń uniknąć, zwłaszcza jeśli uwzględni się fakt, że eksperci i recenzenci oceniają wniosek na podstawie całości danych w nim zawartych. W przypadku oceny kierownika projektu czym innym jednak jest ocena dorobku, a czym innym ocena kompetencji w kontekście wykonalności projektu. Trudno przy tym odmówić zasadności oceny dorobku naukowca przy ocenie wniosku o finansowanie badań. Jest to niejako rękopięta wykonalności projektu, która ma niwelować ryzyko problemów z jego realizacją. Warto przy tym dodać, że liczba punktów za ocenę dorobku kierownika projektu słusznie jest zmienna w zależności od rodzaju konkursu i etapu kariery naukowej. Co więcej, z wyjątkiem konkursu Opus, który jest otwarty dla wszystkich naukowców, poszczególne typy konkursów, począwszy od Preludium, a na Maestro kończąc, skierowane są do badaczy na różnych etapach rozwoju, co powoduje, że ich dorobek może zostać obiektywnie porównany w ramach danej dyscypliny czy dziedziny. Twierdzenie, że poprzez ocenę kompetencji kierownika procedura NCN skazana jest na wpadanie w pułapkę efektu św. Mateusza, jest według nas nietrafne.

## NCN w liczbach

### Konkursy krajowe rozstrzygnięte w 2021 r.



\* Liczbowy wskaźnik sukcesu określa stosunek liczby wniosków zakwalifikowanych do finansowania do liczby wniosków złożonych, wyrażony w procentach.

Autorzy wskazują także, że w zakresie doboru ekspertów i recenzentów wniosków grantowych NCN również zawodzi. Nie wiadomo, dlaczego dwa wskazane modele (model czasopism i model RDN) mają być lepsze od modelu stosowanego w ERC, na którym jest wzorowany system NCN. W przypadku Centrum o doborze ekspertów i recenzentów również decydują naukowcy: to uczeni z Rady NCN decydują o doborze ekspertów do danego panelu, to oni także rozstrzygają konkursy na koordynatorów dyscyplin (naukowców co najmniej ze stopniem doktora), którzy z kolei koordynują prace zespołu ekspertów w zakresie doboru recenzentów wniosków. Na każdym etapie jedyny i decydujący głos należy do naukowców. Oczywiście koordynatorzy w ramach pracy w NCN nie wykonują pracy *stricte* naukowej, ale z uwagi na wymagane od nich kompetencje można uznać, że także ich naukowe doświadczenie korzystnie wpływa na cały proces oceny wniosków. Wiadomo, że pośród setek recenzji trafiają się błędne czy nietrafione, ale globalnie poziom recenzji w ocenie wniosków NCN jest coraz wyższy, co jest dobrym i obiecującym trendem.

Niejasny jest dla nas zarzut dotyczący nierównomiernej dystrybucji środków między czołowe uczelnie badawcze a mniejsze uczelnie. Miejsce realizacji projektu nie stanowi kryterium oceny i poza wyjątkowymi przypadkami nie wpływa na ocenę jego wykonalności. Zarzut ten jest raczej oceną dysproporcji w zasobach i możliwościach naukowych różnych ośrodków, co nie jest winą NCN i trudno od agencji oczekiwać systemowego wpływu na ten stan rzeczy. Niemniej niektóre aspekty działania Centrum sprzyjają decentralizacji nauki w Polsce, np. limity co do liczby realizowanych grantów czy zdługołowe efekty konkursu Miniatura (zob. np. FA 1/2023).

Wreszcie zupełnie nie przekonują nas negatywne oceny działania NCN wystawione w porównaniu z ERC czy z innymi agencjami zagranicznymi. Procedura oceny wniosków w NCN jest wzorowana na ERC, jest od niej daleko bardziej szczegółowa, oddolne podejście do finansowania badań jest takie samo jak w ERC, wskazówki dotyczące kwestionariusza etycznego również są dostępne w krajowej agencji. Kwestia budowania zespołów badawczych w NCN jest otwarta, ale napotyka niekiedy na trudności (np. z powodu relacji między wielkością zespołu a ograniczonymi zasobami finansowymi). Skoro zresztą stawiamy ERC za wzór, to automatycznie rodzi się pytanie o małą liczbę projektów ERC realizowanych w Polsce. Niestety to pytanie sprowadza się do oceny polskiej nauki, a wypada zauważyć, że akurat NCN przyczynia się do coraz lepszych wyników Polaków w konkursach ERC (choćby przez trening planowania badań). Wśród laureatów ERC, którzy realizują granty w polskich jednostkach, trudno znaleźć naukowca, który wcześniej nie był kierownikiem przynajmniej jednego grantu NCN, a warto wspomnieć i o konkursie Uwertura, którego bezpośrednim celem było wzmocnienie naukowego profilu kandydatów do grantów ERC.

NCN jest również sygnatariuszem DORA, umożliwia prezentację narracyjnego CV i promuje Open Science (jak agencja luksemburska). Nie wydaje nam się również, by NCN kontrolowało szczegółowo każdy aspekt wszystkich realizowanych projektów (podobnie jak nie czyni tego agencja szwedzka). Wreszcie ze strony NCN widać duże zaufanie do aplikujących. Nie są wymagane (poza szczególnymi przypadkami) żadne certyfikaty czy dokumenty (np. w zakresie znajomości języków, ukończonych studiów, odbytych staży, przebywania na urloпах rodzicielskich itd.), co jest normą w polskim systemie nauki w innych postępowaniach. Kulturze zaufania w akademii szkodzi raczej według nas pozbawione rzetelności porównywanie Centrum do innych agencji, które nie zostało oparte na łatwych do ustalenia faktach.

## Szansa dla młodych naukowców

Perspektywa ma znaczenie. Otóż, patrząc na NCN oczyma młodych naukowców, widzimy, że agencja ta ze swoją ofertą i kryteriami oceny daje wyjątkową szansę na utrzymanie pracy naukowej lub powrót do niej dla osób bez etatu w akademii. Warto rozmawiać o niwelowaniu potencjalnych skutków efektu św. Mateusza, ale nie zmienia to faktu, że w krajowych realiach często młody naukowiec prędzej ma szansę na etat badawczy w granice niż na typowy etat dydaktyczno-badawczy. Granty są wyjątkową okazją do utrzymania zainteresowania młodych badaczy nauką, najpierw poprzez tymczasową pracę w projekcie, ale z nadzieją na etat bez ograniczeń czasowych w dalszej perspektywie. Większość krajowych stypendiów oferowanych dla młodych badaczy uzależniona jest od tego, czy mają etat. Stypendium dla młodych naukowców MEiN, udział w programach NAWA, nie wspominając o środkach przyznanych w ramach Inicjatywy Doskonałości poszczególnym uczelniom – wszystko to jest dostępne tylko dla wybranych, którzy są już na etacie. Zasada jest prosta: wszystko albo nic. Tymczasem NCN daje nadzieję pozostałym, którzy z różnych względów nie mieli szans na etat. Dzięki systemowi grantowemu mogą mieć przynajmniej nadzieję na powrót do pracy badawczej. Warto przy tym dodać, że zatrudnienie na pełen etat do realizacji projektu, poza oczywistą wadą tymczasowości, ma szereg zalet, a zwłaszcza gwarantuje godziwą pensję.

Cenne byłoby zweryfikowanie ocen opartych na doświadczeniach jednostkowych poprzez systemowe zbadanie tego, czy efekt św. Mateusza jest faktycznie istotnym problemem. Dane z wniosków składanych do NCN i z wyników ich oceny z pewnością mogą pozwolić na zbadanie tego, w jakim zakresie np. laureaci Preludium wypadają lepiej w Sonacie albo laureaci Preludium i Sonaty w konkursie Opus. Mając dostęp do uzasadnień oceny wniosków, można by pójść o krok dalej i w razie ustalenia, że laureaci wcześniejszych konkursów cieszą się pewnymi przywilejami, można by zbadać, w jaki sposób przejawia się to w recenzjach. Wzmiankowana już wyżej analiza konkursu Miniatura pokazuje, że tego typu badania mogą pomóc w weryfikacji prawdziwości popularnych opinii. Warty zbadania w szerszej perspektywie byłby również wpływ uzyskanego finansowania na jakość publikowanych efektów badań (np. ślad za badaniami z Wrocławia autorstwa prof. Przemysława Kazienki i Macieja Dzierżycza).

Młodzi naukowcy bez etatu naukowego, dzięki adresowanemu do nich konkursom, jasnym kryteriom oceny i sprawnemu funkcjonowaniu Centrum, mogą w nim upatrywać szansy na pozostanie w akademii. Ponadto system grantowy wspiera planowanie przez młodych badaczy indywidualnej ścieżki naukowej, w którą zwykle wpisane są zarówno staże naukowe, jak i niezbędne dofinansowanie badań. Dzięki realizowaniu własnych projektów z finansowaniem zewnętrznym łatwiej można kształtować swoją drogę naukową.

## O rzetelną dyskusję

Warto rozmawiać o poprawianiu **różnych elementów** systemu finansowania nauki przez projekty, zwłaszcza o konkretnych propozycjach korekty działania NCN. Ważne przy tym jest uwzględnianie perspektyw różnych stron zaangażowanych w działanie tego systemu. Argumenty stosowane w dyskusji powinny jednak być poważne i uzasadnione, a zbędną erystykę wypada eliminować. Wobec niejasnych planów reformy Centrum tego typu teksty mogą być bardzo szkodliwe, bo prowadzą do tego, co zwykło się malowniczo określać wylewaniem dziecka z kąpielą.

*Dr Piotr Alexandrowicz, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk  
Dr Anna Stachowiak-Szrejbowaska, Centrum Wsparcia Projektów UAM*

Anna Stachowiak-Szrejbrowska, Piotr Alexandrowicz

# Biura pod ostrzałem

Można uznać, że rozrost biur wsparcia projektów wskazuje na to, że cały system zmierza w złym kierunku, ale tak chyba nie jest. To raczej naukowcy wykazują coraz więcej zainteresowania projektami, dlatego potrzebne są coraz większe zespoły, by zapewnić wszystkim zainteresowanym stosowne wsparcie.

Autorzy grudniowego tekstu krytykującego NCN (Wojciech Czakon i Ewa Bogacz-Wojtanowska, *Quo vadis NCN?*, FA 12/2022) nie oszczędzili także pracowników administracji wspierających naukowców w przygotowaniu i realizowaniu projektów. Oto naukowiec – według wizji krakowskich profesorów – nie dość, że skazany na samotną i nierówną walkę z NCN w obronie swojego prawa do wolności badań, musi jeszcze jedną ręką powstrzymywać drugą głowę hydry, która zwie się „administracja”. Dlaczego w tekście poświęconym ponoc korygowaniu polityki Centrum zarzuty padają również wobec biur wsparcia projektowego? Nie wiemy. Jest to jednak dobra okazja, by wystąpić w obronie tej grupy pracowników uczelni, która często spotyka się z nieuzasadnioną krytyką i brakiem docenienia przez naukowców. Skupiamy się na roli pracowników administracji w systemie grantowym, choć szereg naszych obserwacji dotyczy także innych obszarów, w których wartość pracy wykonywanej przez pracowników administracyjnych jest deprecjonowana.

## Biura wsparcia projektów jako źródło problemów

Zacznijmy od kwestii najbardziej podstawowej, bo zakorzenionej w samym języku. Nie wszystkie grupy zaangażowane w działanie uczelni i całej akademii są traktowane w punkcie wyjścia tak samo. Zapewne zwykle za stosowaniem terminu „administracja” nie kryje się chęć deprecjonowania opisywanej przez ten termin grupy pracowników, jednak jest to naszym zdaniem wyraz pewnego systemowego podejścia do sprawy: mamy naukowców i mamy administrację. Ta druga grupa zasługuje na podmiotowe traktowanie, co jest kwestią elementarną i chyba jednak oczywistą, niemniej warto o tym przypominać. Dobra komunikacja pomiędzy wszystkimi członkami społeczności akademickiej buduje atmosferę współpracy i zaufania, a wzajemny szacunek stanowi podstawę dobrych relacji międzyludzkich, także w akademii.

Warto pamiętać o tym, że wszyscy gramy do jednej bramki, a pracownicy administracji pełnią rolę służebną, choć nie służalczą. Naszym zdaniem doświadczeni i dobrze wyszkoleni pracownicy administracji uczelni stanowią cenną pomoc dla naukowców, którzy dzięki wsparciu w przygotowaniu wniosków projektowych mają możliwość skupienia się na części merytorycznej projektu związanej z przygotowaniem i prowadzeniem badań. W wielu jednostkach powstały większe lub mniejsze biura wsparcia projektowego, które służą pomocą nie tylko

w realizacji projektów, ale także w procesie ich przygotowania. To po ich stronie leży sprawdzenie wymogów formalnych. To właśnie dzięki ich zaangażowaniu w przygotowanie wniosków znacząco spadł odsetek tych, które nie spełniały wymogów formalnych konkursu. Co więcej, pracownicy biur wsparcia projektowego dzielą się z naukowcami wieloletnim doświadczeniem w przygotowaniu aplikacji grantowych, co przekłada się na coraz lepszą jakość składanych wniosków, choć nie zawsze na wyższy współczynnik sukcesu ze względu na niedofinansowanie NCN.

Krytyka przedstawiona przez krakowskich profesorów jest nietrafna, nie uwzględnia bowiem faktu, że uczelnia to od strony organizacyjnej duża instytucja profesjonalnie zarządzana, z setkami pracowników, projektów, procesów. Uczelniane biura wsparcia projektowego w systemie grantowym mają ważną rolę do odegrania i można oczekiwać od naukowców, żeby to dostrzegali. Nie oznacza to jednocześnie, że należy w złote ramy oprawiać wewnętrzne wymogi czy procedury. Przeciwnie, podlegają one ciągłym korektom, a uzasadniony głos krytyki ze strony naukowców powinien mieć podstawową rolę w kształtowaniu optymalnej praktyki, która bierze pod uwagę skalę zadań i zasobów danej jednostki.

## Niebezpieczeństwo generalizacji

Na tym tle wyraźnie widać, że zasadniczym problemem w dyskusji jest pochopne uogólnianie indywidualnych doświadczeń na systemową ocenę. Na podstawie własnych negatywnych wspomnień związanych z pracownikami administracji odpowiedzialnymi za wsparcie projektowe łatwo można uznać, że „administracja to pierwszy wróg naukowca”. Z drugiej strony nasze doświadczenia z pracy w biurze wsparcia projektowego pokazują, że system ten może działać bardzo dobrze, zwłaszcza wtedy, gdy wszystkie strony traktują się z szacunkiem i są gotowe do współpracy. Ani jedna, ani druga opinia nie oddają tego, jak jest w rzeczywistości; pozostając na poziomie uogólniania indywidualnych doświadczeń, nie wyjdziemy poza anegdotyczną rozmowę.

Podobnie wydaje się istotne rozróżnienie wsparcia na etapie przygotowania wniosku od pomocy już w fazie realizacji projektu. To pierwsze jest użyteczne i pomocne, ale to drugie jest niezbędne i kluczowe. Wydaje się, że dla naukowców ważniejsze od pomocy w pisaniu wniosków jest realne wsparcie w spokojnej realizacji projektu i w rozwiązywaniu bieżących problemów. Nie ma chyba danych na temat tego, w ilu jednostkach

wsparcie projektowe jest dostępne, czy obejmuje pomoc w przygotowaniu wniosku (w jakim zakresie?), czy tylko w realizacji projektu, jakie procedury wewnętrzne są wiążące w poszczególnych jednostkach, czy jest ustalony zakres zadań administracyjnych w zakresie wsparcia projektowego, co sami naukowcy sądzą o wsparciu projektowym w strukturach danej jednostki itd. Odpowiedzi na te pytania są pierwszym krokiem w stronę ustalenia realnej roli biur wsparcia projektowego.

Unikanie uogólnień znacznie ułatwi zatem merytoryczną rozmowę. Jednocześnie jest to za mało, by system poprawiać. Stąd też warto być może przeprowadzić i w tym zakresie szersze badania, które pozwolą zobiektywizować spojrzenie zarówno na biura wsparcia projektowego, jak i na NCN. Celem takich badań powinno być poszukiwanie możliwie efektywnego systemu wsparcia w przygotowaniu i realizacji grantów ze strony jednostki oraz społeczna percepcja zarówno NCN, jak i biur wsparcia projektowego przez naukowców. Także komunikacja między Centrum a biurami wsparcia projektowego jest

ważną kwestią dla całego systemu grantowego, gdyż od jej jakości zależy realna wartość pomocy, którą naukowcy otrzymać mogą w swojej jednostce.

### Czy biura wsparcia projektowego pomagają, czy przeszkadzają naukowcom?

Czytelnik tekstu grudniowego może mieć wrażenie sprzeczności: albo przygotowanie wniosku jest zadaniem prostym, które leży w kompetencjach przeciętnego naukowca, albo jednak jest to zadanie wymagające, którego realizacja domaga się wsparcia ze strony uczelni. Autorzy starają się pogodzić jednocześnie tezę o tym, że wnioski są skomplikowane a system zbyt sformalizowany, z twierdzeniem, że wsparcie administracyjne systemu grantowego jest w całości złe. Chyba jednak da się znaleźć bardziej umiarkowane podejście do tematu. Oczywiście można uznać, że rozrost biur wsparcia projektów wskazuje na to, że cały system zmierza w złym kierunku (uznając to za odpowiedź na postępujące skomplikowanie i sformalizowanie konkursów NCN), ale tak chyba jednak nie jest. To raczej naukowcy wykazują coraz więcej zainteresowania projektami, dlatego potrzebne są coraz większe zespoły, by zapewnić wszystkim zainteresowanym stosowne wsparcie.

Można zapytać, czy jeden naukowiec jest w stanie poradzić sobie z przygotowaniem wniosku o finansowanie badań, co jest zadaniem trudnym i wymagającym specjalistycznej wiedzy. Odpowiedź jest prosta: oczywiście, że tak. Skoro naukowiec, jako osoba dobrze wykształcona, może przygotować sylabus zajęć, napisać artykuł czy zorganizować seminarium lub wyjazd na konferencję, to może również przygotować wniosek do NCN. Napisanie projektu to ostatecznie nic trudnego, zwłaszcza że formularz wniosku o finansowanie badań przez Centrum jest powszechnie znany, towarzyszą mu zwykle dodatkowe instrukcje i tylko czasami zawiera niewielkie zmiany zależne od typu konkursu. Podobnie jak każda praca koncepcyjna, napisanie projektu wymaga jednak czasu i zaangażowania, trzeba bowiem wiele kwestii przemyśleć, przygotować, zaplanować i w końcu opisać. W tym procesie jest wiele zadań, które można wykonać znacznie łatwiej i szybciej, korzystając ze specjalistycznej wiedzy pracowników biur wsparcia projektowego i „doświadczenia instytucjonalnego”, które ci pracownicy ze sobą niosą. Teoretycznie naukowiec przygotowujący projekt zobligowany jest zapoznać się z całą dokumentacją konkursową, w tym z wytycznymi odnośnie do kwalifikowalności kosztów, kryteriami oceny czy umową o finansowanie projektu, by móc przygotować projekt zgodnie z wymaganiami NCN. Jednak, aby ułatwić naukowcom pracę, to właśnie biura wsparcia projektowego często przygotowują poradniki, prowadzą szkolenia dotyczące konkursów, gromadzą użyteczne dane (raporty, recenzje, statystyki, wzory). Ponadto na dalszym etapie przygotowania wniosku, dzięki zaangażowaniu w proces biur wsparcia projektowego, naukowiec może skupić się na elementach merytorycznych, czyli w przypadku NCN przede wszystkim na planowaniu badań, opisie projektu, planie zarządzania danymi czy kwestiach etycznych. Z kolei biura wsparcia biorą na siebie zwykle uzupełnienie części administracyjnej wniosku, sprawdzenie poprawności wniosku pod względem formalnym, zwracając szczególną uwagę na budżet i przypisanie poszczególnych pozycji do właściwych kategorii zgodnie z wytycznymi agencji oraz wewnętrznymi regulacjami jednostki.

Wydaje się zatem, że biura wsparcia projektów ułatwiają życie naukowcom. Naszym zdaniem rola pracowników administracji zarówno w procesie przygotowania,



Fot. Sławek Cichan

jak i realizacji grantu jest jednak przez wielu naukowców ciągle jeszcze niedoceniana. Naturalnie zawsze może być lepiej, nie uważamy, że pracownicy administracji działają perfekcyjnie i ekstremalnie wydajnie, że komunikują się z naukowcami w sposób idealny albo że nie popełniają błędów. W przywołanej w tekście grudniowym korespondencji mailowej nie widzimy jednak nic zaskakującego: jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że jednostka od strony organizacyjnej to duża instytucja profesjonalnie zarządzana, nie może dziwić stawianie pewnych wymogów dotyczących terminów wewnętrznych. Chyba można też od naukowców oczekiwać w tym zakresie stosownej komunikacji i odpowiedzialności. Życie pokazuje, że bywa z tym różnie, ale nie wydaje się nam, by przywoływanie co ciekawszych wyimków z korespondencji z naukowcami mogło przysłużyć się sprawie. Nie chodzi o budowanie antagonizmów na linii naukowcy – pracownicy administracyjni, lecz o ich łagodzenie. Najprostszą do tego drogą wydaje się dostrzeżenie perspektywy drugiej strony.

### Kosztorys i polityka finansowa jednostki

Nie wydaje nam się, by pandemia (która przeszkodziła wszystkim w realizacji działań naukowych) udowodniła, iż wymogi dotyczące kosztorysu w konkursach organizowanych przez NCN są anachroniczne. Przeciwnie, Centrum bardzo elastycznie podeszło do rozwiązań postulowanych przez kierowników projektów, tak przynajmniej wynika z naszych doświadczeń. Na temat kosztorysów projektowych warto dodać, że reguły gry są jasne i klarowne, większość zainteresowanych doskonale wie, jakie działania i kategorie kosztów mogą być sfinansowane, co jest kosztem kwalifikowalnym, a co nie. Wbrew pozorom niezmiennosc zasad w tym zakresie naszym zdaniem bardziej ułatwia niż utrudnia przygotowanie kosztorysu. Naukowcy już ten system znają, podobnie jak jednostki. Co więcej, stałość zasad finansowych w NCN powoduje, że etap przygotowania projektu związany z zaplanowaniem działań i zasobów ludzkich i finansowych nie jest tak bardzo czasochłonny. Więcej przeszkód niekiedy występuje po stronie podmiotu realizującego niż Centrum. NCN nie ingeruje w politykę finansową jednostki, a często to ona narzuca dodatkowe wymogi i oczekuje od kierownika projektu dodatkowych działań, zgód, podpisów itd. Zresztą warto pamiętać, że u źródeł wielu regulaminów, zarządzeń czy wymogów często stoją naukowcy zarządzający jednostką, których celem nie jest przecież szkodenie innym naukowcom, lecz troska o efektywne zarządzanie. Ponadto chyba trzeba przypomnieć, że w przypadku realizowania projektów finansowanych przez NCN obowiązuje dyscyplina finansów publicznych, a większość wymogów formalnych w jednostkach związana jest z odpowiedzialnością, jaka wiąże się z wydatkowaniem środków publicznych. I w tym wypadku warto unikać uogólniania – różne są jednostki, różne procedury, różne problemy.

Należy bowiem pamiętać, że pieniądze przyznane na realizację projektu, to nie prywatne pieniądze naukowca, a pieniądze publiczne. Stąd też wsparcie udzielane naukowcom przez pracowników administracji na etapie realizacji projektów również jest cenne i pozwala na uniknięcie poważnych błędów, a co za tym idzie umożliwia rozliczenie projektu pod względem formalnym. Warto podkreślić, że umowa na realizację projektu jest trójstronna i podpisuje ją kierownik projektu, kierownik jednostki oraz Dyrektor Centrum, a odpowiedzialność kierownika projektu za prawidłową realizację projektu jest bezsprzeczna (realizacja projektu bez zawierania jakiegokolwiek umowy wydaje nam się bardzo egzotycznym pomysłem). Nawiasem mówiąc, nie bez przyczyny oceną dorobku kierownika projektu ma istotny wpływ na ocenę całego projektu. Skoro agencje finan-

sujące badania pozyskują środki z pieniędzy podatników, to naukowcy są winni społeczeństwu dzielenie się uzyskanymi wynikami, zatem nikt nie przyzna finansowania badaczowi, który nie rozliczył się z wcześniej realizowanego projektu i nie opublikował wyników badań.

### Wsparcie merytoryczne

Wreszcie nasze doświadczenia pokazują, że biuro wsparcia projektów może także efektywnie pomagać na poziomie samej merytoryki, oczywiście tylko wtedy, gdy naukowcy są na taką współpracę otwarci. Wiele projektów wysyłanych jest do oceny zewnętrznej bez szerszej konsultacji środowiskowej. Zamiast poddać projekt ocenie w gronie bliższych i dalszych współpracowników, czasami naukowcy pierwszy raz otrzymują komentarze do swojego pomysłu ze strony ekspertów i recenzentów z NCN. Tymczasem naukowy proces tzw. grillowania grantu, tj. życzliwej, ale krytycznej koleżeńskej lektury wniosku projektowego, jest często bardzo wartościowy i dla kierownika projektu, i dla samego wniosku. Zadanie poprowadzenia takiego procesu może niekiedy przypadać kompetentnym pracownikom biur projektowych, czy to poprzez krytyczną lekturę opisów (jeżeli wniosek dotyczy obszaru, w którym mają kompetencje merytoryczne), czy to poprzez koordynowanie wewnętrznego procesu oceny wniosków w jednostce. W interesie samych naukowców i całego systemu jest to, by do oceny kierowane były tylko projekty rzetelnie przygotowane i poddane środowiskowej krytyce. Pozwala to oszczędzić czas i pracownikom administracyjnym, i uczelni, i Centrum oraz zwiększa szanse na pozytywny wynik oceny projektów i lepszy współczynnik sukcesu jednostki.

Na marginesie tylko dodamy, że w naszej opinii opisy projektu są tekstami o charakterze naukowym, tak jak artykuły czy recenzje. Są to oczywiście teksty o własnym charakterze, ustalonej strukturze, stosuje się w nich nieco odmienny system powoływania źródeł, oparte są na wynikach badań wstępnych a nie kompletnych, a przede wszystkim zbudowane są na odwrotnej logice: nie „od opisu przeprowadzonych badań do uzyskanych wyników”, lecz „od opisu spodziewanych wyników do zaplanowanych badań”. Niemniej, skoro są to teksty naukowe, to być może warto zaakceptować fakt, że ich przygotowanie wymaga pewnych kompetencji i swoistego treningu, tak samo jak pisanie innych tekstów naukowych. Stąd też szczególnie pomocne przy tworzeniu opisów może być sięganie do doświadczeń osób, które mają kompetencje zarówno wynikające z wykształcenia, jak i doświadczenia projektowego.

### O uwzględnianie wszystkich uczestników systemu grantowego

System grantowy, aby dobrze działać, wymaga nie tylko odpowiedniego finansowania, ale również dobrej współpracy między różnymi stronami. Ten aspekt funkcjonowania akademii bywa pomijany w dyskusji, którą zwykle toczą między sobą naukowcy. Chcielibyśmy, by pracownicy administracji byli przez naukowców traktowani podmiotowo, by nie deprecjonować działania biur wsparcia projektowego, toczyć dyskusje na temat systemu grantowego w taki sposób, żeby wzrastało zaufanie między naukowcami a pracownikami administracji. Warto poprawiać działanie systemu, zmniejszać na tyle, na ile to możliwe, biurokrację, usprawniać procesy. Uwzględnianie perspektywy innych stron zainteresowanych jak najlepszym działaniem systemu jest według nas elementarnym i możliwym do uwzględnienia postulatem.

*Dr Anna Stachowiak-Szrejbrowska, Centrum Wsparcia Projektów UAM  
Dr Piotr Alexandrowicz, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk*

# Wynagradzanie uczonych

W gronie moich znajomych jest grantobiorca, który funkcjonuje od grantu do grantu, a zdarzało mu się nawet realizować dwa granty jednocześnie. Opowiadał mi, że na podróże zagraniczne ma w nich przyznawane środki finansowe, które umożliwiłyby kilkakrotnie oblecenie samolotem Ziemi i jeszcze sporo pozostałoby do wydania.

Problem wynagrodzeń finansowych uczonych należy do bardziej wrażliwych i drażliwych. Kiedy go jednak podejmować, jeśli nie w czasach galopującej inflacji i głosów zaniepokojenia, że zajmowanie się nauką staje się tak mało atrakcyjne finansowo, iż co bardziej ambitna i uzdolniona młodzież szuka spełnienia zawodowych aspiracji poza uczelnią? Rzecz nie w tym, aby w życiu akademickim przejść przysłówiową drogę „od pucybuta do milionera”, lecz w tym, aby nie być finansowym „pucybutem” zarówno na początku, jak i na końcu.

## Pieniądze a akademickie powołania

Nawiązuję tutaj do wygłoszonego ponad sto lat temu i później przywoływanego przy różnych okazjach monachijskiego wykładu Maxa Webera, zatytułowanego *Nauka jako zawód i powołanie*. Mam świadomość, że mówienie o powołaniu uczonych może wyglądać na anachronizm w czasach, gdy również w odniesieniu do tej grupy zawodowej używa się określenia „kapitał ludzki”, oraz traktuje się inwestowanie w ten „kapitał” tak jak w każdy, który powinien przynieść konkretne korzyści (najlepiej przeliczalne na tzw. twardą walutę). O traktowanie zawodu jako powołanie apeluje się wówczas, gdy całkiem zwyczajnie brakuje środków finansowych na przyzwoite wynagradzanie wykonujących go osób. Mimo wszystko jednak uważam, że warto o nim mówić, chociażby po to, aby wskazać przeciwwagę dla traktowania go tak, jakby to była – za przeproszeniem – produkcja nocników. Jeśli ktoś z członków społeczności akademickiej poczuł się urażony tym porównaniem, to dobrze, bowiem stanowiłoby to potwierdzenie, że mimo wszystko pozostało w nim coś z myślenia o zawodzie jako powołaniu. Rzecz jasna można również mówić o misjach uczonych i nauki, mimo, że to zapożyczone z kościelnej tradycji określenie również się zdewaloryzowało (nie tylko zresztą w życiu akademickim, ale także kościelnym). W każdym razie należę do staroświeckich akademików, którzy uważają, że zawód uczonego jest czymś więcej niż przyzwoite wykonywanie zawodowych obowiązków i oczekiwanie za to przyzwoitego wynagrodzenia.

Rzecz jasna w nauce nie da się wszystkiego przeliczyć na pieniądze, a jeśli już, to z całą pewnością nie na szybkie i łatwe. Jeśli ktoś sądzi inaczej, to powinien poszukać sobie innego zajęcia, bowiem angażując się w jej uprawianie, może być mocno rozczarowany wynagrodzeniami, które otrzymuje po wielu latach wyteżonej pracy.

## Podwyżki wynagrodzenia

Przychody uczonych, w tym wynagradzanie na poszczególnych stanowiskach, są jednak mocno zróżnicowane, również na tej samej uczelni czy w instytucie badawczym. Najwyższe stanowisko w hierarchii akademickiej zajmują profesorowie tytularni i oni – przynajmniej teoretycznie – powinni być grupą najlepiej wynagradzaną. Ogłoszone 2 stycznia b.r. ministerialne rozporządzenie „zwiększa wysokość minimalnego miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego dla profesora w uczelni publicznej do kwoty 7210 zł” (rzecz jasna brutto). Dołączona została do tego informacja, że „dotychczasowa kwota minimalnego miesięcznego wynagrodzenia profesora uczelni publicznej wynosiła 6410 zł, co oznacza wzrost o ok. 12,5%”. Profesorowie tytularni stanowią z reguły w społeczności akademickiej zdecydowaną mniejszość. Znacznie liczniejszą grupą są profesorowie uczelniani (dla nich podwyżka wyniesie „co najmniej 83% wynagrodzenia profesora”), adiunkci (otrzymają max. 73% podwyżki) oraz asystenci (otrzymają „nie mniej niż 50%” tej podwyżki). Dobrze i to. Jednak ani ta pierwsza grupa zawodowa, ani pozostałe nie mogą czuć się w pełni usatysfakcjonowane podwyżkami, nie tylko dlatego, że nie rekompensują one utraty wartości nabywczej złotego spowodowanej inflacją, ale także dlatego, że nadal ich wynagradzanie jest wyraźnie gorsze niż w wielu zawodach, które nie wymagają ani stopni naukowych, ani tytułu profesora, ani też przechodzenia innej akademickiej drogi na wyższe stanowiska.

Skali zróżnicowania wynagrodzeń na uczelniach i w różnego rodzaju placówkach badawczych nieświadomi są niejednokrotnie ich pracownicy. Być może na szczęście, bowiem nie tylko pogorszyłyby to ich samopoczucie, ale także sprawiłyby, że przed drzwiami akademickich decydentów ustawiałyby się długie kolejki. Wgląd w dochody pracowników wydziału mają dziekani. Przyznam, że rzadko korzystałem z tego przywileju. Jednak kiedy to się już zdarzało, byłem mocno zdziwiony dysproporcjami w podstawowym wynagrodzeniu. Nie dzieliłem się swoją wiedzą z pracownikami wydziału nie tylko dlatego, że wysokość dochodów pracowników objęta jest ochroną prawną, ale także dlatego, że podwyżki wynagrodzeń znajdują się w gestii władz rektorskich, a ich upublicznienie mogłoby przyczynić się do pogorszenia wydziałowego „klimatu”. Dziekani mają jednak pewien wpływ na przyznawanie finansowych wyróżnień, nie tylko wnioskując o podwyższenie pracownikowi podstawowego uposażenia, ale także o przyznanie mu któregoś z dodatków za wykonywane prace lub nagrody finansowej. Prowadzona w tym zakresie polityka wymaga jednak spo-



Fot. Stefan Ciechan

rych umiejętności i zwyczajnej wyobraźni, bowiem ewentualne błędy mogą łatwo zniechęcić do zaangażowania w prace badawcze i dydaktyczne tych, których stać na więcej niż niesłusznie nagradzani, oraz szukania dodatkowych źródeł dochodów poza uczelnią lub instytutem badawczym.

### Dorabianie przez akademików

Problem sięga czasów pierwszych uczelni w Europie Zachodniej. Jak to wyglądało w średniowieczu, można się dowiedzieć m.in. z książki Jacques'a Le Goffa *Inteligencja w wiekach średnich*. W świetle tego opisu była to inteligencja, która często nie odróżniała się od miejskich korporacji rzemieślniczych i konkurowała z nimi o klienta (studenta), oferując usługi edukacyjne oraz pobierając za nie opłaty w dukatach lub w ich równoważności. Le Goff podaje, że na jednej ze średniowiecznych uczelni włoskich cztery butelki wina odpowiadały wartości jednego dukata. Wprawdzie w późniejszych wiekach wiele się zmieniło w życiu tej korporacji, jednak nierzadko oznaczało to umacnianie akademickiego korporacjonizmu poprzez wypracowywanie coraz doskonalszych sposobów funkcjonowania na rynku towarów i usług, a co za tym idzie – pozyskiwanie coraz liczniejszej klienteli, również gotowej kupować usługi na zaciągnięty w banku kredyt. Dzisiaj Stany Zjednoczone uchodzą nie tylko za wzór gospodarności, ale także zaradności w organizowaniu życia akademickiego, która sprawia, że z jednej strony jest stosunkowo duża liczba uczelni w dobrej kondycji finansowej, natomiast z drugiej liczna grupa zadłużonych „po uszy” studentów. W Polsce po przełomie 1989 roku nastąpiło swoiste „zachłyśnięcie się” tym, co zachodnie, w szczególności amerykańskie. Wyrazem tego był m.in. uliczny handel, nawet nie straganowy, bowiem w wielu przypadkach do wystawienia towaru na sprzedaż wystarczyła rozłożona gazeta. Można nawet powiedzieć, że szerokie uznanie zyskało wówczas hasło: „kto nie handluje, ten bieduje”.

To „zachłyśnięcie się” zachodem znalazło wyraz również w życiu akademickim. W latach 90. minionego stulecia zaczęły się mnożyć uczelnie prywatne (formalnie nazywane niepublicznymi). Ich założyciele nie zawsze dysponowali wielkimi funduszami, własną infrastrukturą czy kadrą dydaktyczną. Jednak nie sprzedawali edukacyjnych usług „na gazecie”. Mieli bowiem pomysł na akademicki biznes, który sprawił, że mimo wszystkich braków potrafili i potrafią uzyskiwać dodatni rachunek kosztów i zysków. Nie byłoby to jednak możliwe nie tylko bez opłat za studia, ale także bez znalezienia chętnych do podjęcia dodatkowych obowiązków na ich uczelniach. W okresie największych sukcesów prywatnych uczelni liczni profesorowie byli zatrudnieni w kilku dodatkowych miejscach pracy, a wierni macierzystej jednostce wyglądali na niezaradnych zawodowo. Próbowano wyśmiewać tych zaradnych, nazywając ich „profesorami wagonowymi” lub „leśnymi dziadkami” (w uczelniach prywatnych chętnie zatrudniano profesorów emerytowanych). Rzecz jasna, niełatwo było obsłużyć jednocześnie kilka miejsc pracy. Jednak tylko niektórym. Była bowiem grupa „profesorów wagonowych”, która dawała uczelni prywatnej jedynie tzw. dobre nazwisko i nie oczekiwano od nich wiele więcej. Jeśli już wymagano świadczenia usług edukacyjnych, to organizowano im zajęcia dydaktyczne tak, by nie musieli dojeżdżać zbyt często i mogli „hurtowo” obsłużyć studentów. Jaka była jakość tych usług edukacyjnych, to już inna sprawa.

Rzecz jasna, istniały i istnieją w życiu akademickim również inne możliwości uzyskiwania dodatkowych dochodów. Stosunkowo dużym prestiżem cieszy się pozyskiwanie grantów badawczych. Problem nie tylko w tym, że zdobywają je stosunkowo nieliczni, ale także w tym, że na tzw. wynagro-

dzenia osobowe ustalone są w nich limity, raczej zniechęcające uczonych, dla których kwestie finansowe mają duże znaczenie. Jeśli mimo tego się o nie ubiegają, to albo ze względów prestiżowych, albo takich jak „otwarcie okna” na świat nauki zachodniej. W gronie moich znajomych jest grantobiorca, który funkcjonuje od grantu do grantu, a zdarzało mu się nawet realizować dwa granty jednocześnie. Opowiadał mi, że na podróże zagraniczne ma w nich przyznawane środki finansowe, które umożliwiłyby kilkakrotnie oblecenie samolotem Ziemi i jeszcze sporo pozostałoby do wydania. Mam nadzieję, że się nie obrazi, jeśli powiem, że zdaje się on wyznawać zasadę „praca niezapłacona lub słabo opłacona to praca zlekceważona”. Jako profesor z wyjątkowo znaczącymi osiągnięciami naukowymi ma prawo nie tylko tak myśleć, ale także oczekiwać, że nie będzie mu się proponowało wykonywania prac nie związanych z żadnym wynagrodzeniem albo z wynagrodzeniem niewspółmiernym do jego naukowej pozycji. Nie jestem przy tym do końca przekonany, że przypomnienie mu o powołaniu uczonego i nauki jest na miejscu. Jednak w tym przypadku raczej nie wchodzi w grę rozumienie powołania, o jakim mówił Max Weber w monachijskim wykładzie.

### Osobiste doświadczenia

Przyznam, że ani na początku swojej akademickiej drogi, ani u jej końca nie kierowałem się wyżej wymienioną zasadą. Jeśli byłoby inaczej, zapewne szukałbym bardziej opłacalnych zajęć niż akademickie. Pracę na mojej uczelni (UAM) zaczynałem na etacie asystenta z wynagrodzeniem tak skromnym, że wprawdzie wystarczyło na opłacenie miejsca w Domu Asystenta i obiadów w stołówce studenckiej, ale już na niewiele więcej. Bywało, że pieniędzy nie starczało do końca miesiąca i trzeba było przemieszczać się po mieście pieszo. Nie użalam się nad swoim asystenckim życiem, bowiem w takiej sytuacji było wielu innych młodych pracowników uczelni, a jeśli stać było mnie i moją ówczesną partnerkę życiową (a obecną żonę) na wakacyjny wyjazd, to tylko pod namiot. Wspominamy zresztą te czasy z sentymentem, a nawet rozbawieniem.

Moja sytuacja finansowa zmieniała się nie tylko w związku z przechodzeniem na coraz wyższe stanowiska w uczelnianej hierarchii, ale także z poszerzaniem kontaktów naukowych z zagranicznymi instytucjami badawczymi. Jej skokowa poprawa miała miejsce w okresie zatrudnienia we francuskim Centrum Narodowym Badań Naukowych (CRNS). Jest mi niezręcznie podawać kwotę ówczesnego miesięcznego wynagrodzenia. Powiem tylko, że podczas załatwiania jakiejś sprawy w ambasadzie polskiej w Paryżu zapytał mnie o to jeden z urzędników. Gdy mu odpowiedziałem, stwierdził, że jest ono niewiele niższe od uposażenia ambasadora. Na wynagrodzenia wynikające z etatu profesora zwyczajnego także nie mogłem narzekać. Powiem nawet, że po porównaniu go z uposażeniem innych osób na tym samym stanowisku byłem mile zaskoczony, że jest ono tak wysokie. Jednak przez cały okres pracy na uczelni ani razu nie występowałem z prośbą o podwyżkę wynagrodzenia, a nie zawsze miałem przychylnych rektorów i dziekanów. Jeśli miałbym na koniec sformułować radę dla młodych pracowników naukowych, to powiedziałbym: starajcie się możliwie z największą starannością wykonywać zawodowe obowiązki i nie przejmujcie się ani doraźnymi problemami finansowymi, ani osobami, które są wam nieprzychylnie.

PS. Mam nadzieję, że Redakcja FA nie odczytała tego tekstu jako formy upomnienia się o honoraria za pisane regularnie do tego czasopisma teksty. W każdym razie chciałbym wyraźnie powiedzieć, że nie miałem i nie mam takich oczekiwań, a piszę je dlatego, że uważam, iż w życiu akademickim są poważniejsze problemy niż honoraria autorskie.

Wojciech Czakon, Grzegorz Mazurek

# Akademia wobec SI

## Materiał przygotowany bez udziału ChatGPT

Dochodzimy do paradoksalnej sytuacji, która nie jest żadną fikcją naukową, ale nieodległą i wyobrażalną przyszłością. Teksty pisane przez SI będą oceniane przez SI. Ten mechanizm uczenia maszynowego właściwie nie wymaga udziału człowieka. Eliminuje go z procesu tworzenia i gromadzenia wiedzy, a dalej – być może – i z samej wiedzy.

Zaledwie pokolenie temu świat nauki odkrył internet dzięki technologii www udostępnionej w 1991 roku. Niedługo później, w 1998 r., pojawiła się wyszukiwarka, która udostępnia ogromny zbiór informacji, a nazwa Google stała się synonimem wyszukiwania w internecie. Nie tak dawno (w 2001) powstała Wikipedia, czyli baza wiedzy współtworzonej przez wielu, a dostępnej dla wszystkich. Świeże jest też doświadczenie uczenia online w związku z pandemią COVID-19, które było możliwe dzięki pionierskiej technologii Zoom (2011) i podobnym systemom. Wyróżnikiem i wspólną cechą wymienionych technologii cyfrowych jest niski koszt dystrybucji i masowe zastosowanie.

Każde z tych rozwiązań w bardzo szybkim tempie zostało przyjęte na świecie, a ludzkość korzysta z nich miliardy razy w ciągu roku. Znacznie ułatwiły one dostęp do wiedzy, obniżyły koszty jej upowszechniania, a przy tym zmieniły procesy dydaktyczne i badawcze. Ta seria głębokich zmian odbywała się w bardzo krótkim czasie: jesteśmy jej świadkami, uczestnikami, a nawet współtwórcami w ciągu jednej kariery.

Dziś odczuwany autentyczny szok związany ze sztuczną inteligencją (SI) jest kolejnym przeobrażeniem technologicznym w biznesie, edukacji, a szczególnie w szkolnictwie wyższym. Upowszechnienie SI nie pozwala obojętnie przejść obok tego tematu, gdyż jego implikacje są bardzo głębokie i jeszcze nie do końca rozpoznane, co wynika z rosnącego potencjału dostępnych narzędzi, takich jak ChatGPT.

Tempo opisanych zmian technologii stawia środowisko naukowe wobec konieczności przemyślenia przyszłości akademii. Celem naszego artykułu jest wskazanie obszarów silnego wpływu technologii i możliwości wykorzystania nowych narzędzi informatycznych. Dostrzegamy pilną potrzebę refleksji na temat wpływu sztucznej inteligencji na naukę, komunikację naukową i na procesy dydaktyczne, w których dotychczasowe standardy znajdują się pod silną presją etyczną, prawną i pragmatyczną, stwarzaną przez nowe aplikacje i rozwiązania. Skorzystanie z szansy, jaką daje postęp technologiczny, wymaga postawienia fundamentalnych pytań i udzielenia wstępnych odpowiedzi, jak etycznie, dla dobra nauki i ku pożytkowi ludzkości używać aplikacji SI, takich jak ChatGPT.

Ci spośród nas, którzy interesują się rozwojem technologii, zostali nieco zaskoczeni pojawieniem się tego niezwyklego

narzędzia SI. Jednocześnie ci ze środowiska akademickiego, którzy mniej albo wcale nie interesują się nowymi technologiami, nie mają świadomości potencjalnego przełomu w edukacji, który właśnie się wyłania. Tymczasem brak świadomości istotnych zdarzeń może mieć opłakane skutki także w szkolnictwie i nauce, jak uczy strategia (gdy najboleśniej odczuwamy zaskoczenie) albo sport (jak w boksie, gdy nokautujący jest cios, którego nie dostrzeżliśmy).

Dlatego chcemy zwrócić uwagę na wtargnięcie zaskakującego skutecznego robota językowego ChatGPT, który zapowiada pojawienie się na masową skalę sztucznej inteligencji w systemie edukacji. Aplikacja zyskała pierwszy milion użytkowników na świecie w ciągu tygodnia, a pierwsze 100 milionów w dwa miesiące. Dla porównania: aż 9 miesięcy potrzebowała szalenie popularna wśród młodzieży aplikacja społecznościowa TikTok, aby osiągnąć 100 milionów użytkowników. A ChatGPT to przecież aplikacja użytkowa.

Z drugiej strony wiemy, że dyfuzja innowacji wśród użytkowników ma swoje fazy, entuzjaści niekoniecznie „zarażają” milczącą większość, bo nie każdy jest otwarty na nowość w równym tempie i nie zawsze w tym samym stopniu ją opanuje. W dalszej części formułujemy więc kluczowe pytania, które wymagają rozważnego przeanalizowania, poszukiwania użytecznych i rzetelnych odpowiedzi, aby nowe narzędzia SI w edukacji przyniosły potrzebne zmiany.

### Jakie zadania może wykonywać ChatGPT?

ChatGPT może samodzielnie pisać teksty lub ich fragmenty (i ich kolejne wersje) w dowolnym języku, może je też recenzować. Dodatkowo sam się uczy, pisząc i recenzując własne teksty. Jest chatbotem konwersacyjnym opartym na dużych modelach językowych wykorzystujących technologię głębokiego uczenia, a w jego zasobach są nieograniczone zbiory danych z całego świata. Obecnie ChatGPT pozostaje w gestii firmy Microsoft, która bardzo szybko go integruje ze swoimi standardowymi produktami i tworzy komercyjne, odpłatne wersje tego narzędzia. ChatGPT jest jednym z dostępnych narzędzi tego typu, dlatego odnosimy się nie tylko do niego, ale do szerokiej zmiany technologicznej polegającej na wykorzystaniu SI w edukacji.

## Czy ChatGPT to nowy uczestnik edukacji?

To pozornie błahe pytanie dotyczy podmiotowości i sięga korzeniami początków robotyki. Trudno uznać aplikację zdolną do napisania eseju czy zdania nieskomplikowanego egzaminu za proste narzędzie. SI jest niewątpliwie czymś więcej, ale nie mamy jeszcze odpowiedzi na pytanie, czym jest naprawdę. O pokusach z tym związanych może świadczyć korporacyjne nazewnictwo robotów wspomagających pracowników: niektóre roboty są asystentami operatora, ale niektóre stanowiska pracy człowieka to „asystent robota”. O ile więc ChatGPT wtargnął przebojem do edukacji, to nadal trudno określić, w jakim charakterze. W znaczeniu technicznym miliony pytań zadawanych aplikacji pozwalają jej się uczyć. W trakcie eksperymentów indywidualnych staramy się odkryć granice przydatności tej aplikacji. Stajemy wobec kontinuum, w którym ChatGPT jest pełnoprawnym uczestnikiem edukacji, a my go uczymy, ale z drugiej strony to on ma ułatwiać nam uczenie się.

A może taka aplikacja jest zupełnie inną kategorią podmiotu, z którą ludzkość dotychczas się nie spotkała? Pojawia się więc wyzwanie filozoficzne, ontologiczne, do udzielenia odpowiedzi na pytanie, czym jest sztuczna inteligencja (w postaci ChatGPT), a wobec tego w jakim stopniu uczestniczy ona w procesach edukacji? Pytanie jest naglące dlatego, że ChatGPT jest pośród nas, a my nadal nie wiemy, czym jest. Nie dowiemy się tego od kluczowych decydentów i czynników oficjalnych (policy makers), jak ministerstwa, instytucje akredytujące i certyfikujące uczelnie, bowiem prezentują one różne punkty widzenia albo stosują strategie obserwacji i wyczekiwania. To niezwykle narzędzie ma niewątpliwie dużą moc zmieniającą teorie, koncepcje i paradygmaty naukowe. Czy zmienia sposób uprawiania nauki, zarządzania nauką i wpłynie na efekty kształcenia? Wiele wskazuje, że to już ma miejsce.

## Jakie regulacje są potrzebne w dydaktyce, badaniach i publikowaniu w związku z ChatGPT?

Słynne prawa sformułowane przez Isaaca Asimova nadal uważane są za memento przy rozwoju robotyki. Pierwsze z nich stanowi, że robot nie może szkodzić człowiekowi. Od jakiegoś czasu wiemy, że może przynieść pożytek, odpowiadając na proste pytania, wykonując bardziej złożone zadania (np. kodowanie) czy pisząc teksty. Tej wiedzy nie towarzyszy jednak analogiczna świadomość konsekwencji (i szkód), które może przynieść użycie narzędzi SI. A przecież jeśli jeden student skorzysta z ChatGPT, a drugi nie, to ten drugi znajdzie się w gorszym położeniu. Podobnie, jeżeli jeden autor książki pisze ją sam, a drugi użyje ChatGPT, to ten pierwszy nie nadąży za konkurentem.

Długoterminowe skutki mogą być jednak bardziej bolesne. Wykształcony człowiek pozna z łatwością niedociągnięcia tekstów pisanych przez ChatGPT. Ta zdolność bierze się z kompetencji i wykształcenia, które zdobył wcześniej. Czy jednak bezrefleksyjnie korzystając z ChatGPT w edukacji nie pozbawimy się tych właśnie kompetencji? Wyzwaniem dla wykładowców, nauczycieli i systemu edukacji pozostaje określenie konsekwencji (także negatywnych), jakie SI może przynieść jej użytkownikowi, innym osobom, grupom i całemu społeczeństwu i to w krótkim i długim terminie.

Drugie prawo Asimova mówi, że robot musi wykonywać polecenia człowieka, chyba że są sprzeczne z prawem pierwszym. Pojawia się tu kolejny paradoks, bowiem nie znając ewentualnych szkód, ChatGPT może „niechcący”, jak sam zapowiada na stronie powitalnej, wprowadzić nas w błąd. Oznacza to, że jego twórcy są świadomi praw Asimova. Tymczasem przypisywanie sobie autorstwa materiału napisanego w całości przez SI może zostać w przyszłości uznane za naruszenie etyki, zaś digitalizacja tekstów umożliwi masową weryfikację

autorstwa pod tym kątem. Wobec tego wydane dziś polecenie napisania, streszczenia albo sparafrazowania tekstu może teraz nie przynosić szkody, ale jest ona prawdopodobna w przyszłości. Wyzwaniem jest więc określenie poleceń, które ChatGPT może wykonywać, oddzielenie ich od tych, których nie może w żadnym przypadku posłuchać, a także wskazanie tych, które wymagają zastrzeżeń i autoryzacji.

Trzecie prawo Asimova stanowi, że robot musi dbać o swoje przetrwanie, chyba że jest to sprzeczne z prawem pierwszym i drugim. To prawo budzi najmniej wątpliwości natury pragmatycznej. Użyteczność ChatGPT jest tak urzekająca, zwłaszcza wobec mniej skomplikowanych, ale czasochłonnych zadań, że sami zadbamy o jego przetrwanie. A dalej o pojawienie się podobnych rozwiązań, które już zapowiedzieli konkurenci. Z tego możemy wyciągnąć wniosek, iż SI już z nami zostanie. Wobec czego kolejne pytania stają się bardzo ważne i pilne.

## Czyją własnością intelektualną są teksty pisane przez ChatGPT?

Współczesny stan regulacji odnośnie do SI wciąż pozostaje niejasny dla większości użytkowników, w tym dla naukowców (może z wyjątkiem prawników zajmujących się własnością intelektualną), zaś regulacje dotyczące definiowania, obrotu, sankcji za naruszenia praw w obszarze SI jeszcze się nie wyłoniły. Dla wielu stwarza to pokusę, aby używać ChatGPT bez żadnych ograniczeń, a w przypadku jakichkolwiek pytań gromko anonsować, że przecież to nie jest niedozwolone. Brak regulacji tworzy przestrzeń, którą wypełni praktyka, a doświadczenie wskazuje, że w takiej sytuacji zwyciężą najsilniejsi (najszybsi, najzwinniejsi, najbardziej dyskretni itd.).

Dlatego pojawia się wyzwanie natury legislacyjnej, tj. definiowania zakresu dopuszczalnej interwencji SI w twórczość człowieka, aby móc tę twórczość uznać za autorską. Dalej występuje potrzeba uregulowania rekomendowanego użycia SI, dopuszczalnego użycia, niedopuszczalnego użycia SI, obowiązku ujawnienia samego faktu i zakresu użycia SI w celu uzyskania ocen, a dalej potwierdzenia kwalifikacji w postaci certyfikatów lub dyplomów. Oprócz regulacji ogólnych, potrzebne są jeszcze regulacje na poziomie uczelni, bowiem ich metody postępowania w tym zakresie – z dużym prawdopodobieństwem – będą różne.

## Jak pogodzić własność intelektualną narzędzi SI z ich powszechnym użyciem w edukacji?

ChatGPT to własność intelektualna jednej organizacji, która dąży do zintegrowania go ze swoimi sztanदारowymi produktami i do tworzenia komercyjnych wersji tego narzędzia. Czy ta własność pozostanie w długim terminie przy obecnym dysponencie, czy też będzie stanowić nieuregulowany element infrastruktury społecznej, jak widać na przykładzie internetu? Wydaje się, że choć samo narzędzie będzie w gestii jednego podmiotu, to podobne rozwiązania pojawiać się będą wkrótce u innych graczy (co zapowiedziała już firma Google).

Komercyjne zastosowania tych narzędzi będą stanowić poważne wyzwanie dla szkół wyższych, podobne w swoim charakterze do wykreowanego przez platformy typu MOOC (masowe otwarte kursy online). Istnieją uczelnie, które opłacają dostęp do tych platform dla studentów (np. studenci Akademii Leona Koźmińskiego mogą za darmo korzystać z kursów na platformie LinkedIn Learning, która teoretycznie jest konkurentem dla uczelni). Być może na tej samej zasadzie ChatGPT będzie dostarczany studentom jako dodatkowe narzędzie, a główną wartością płynącą z jego powszechnego użycia będzie tworzenie krytycznej naddbudowy myśli i inteligencji wobec treści generowanych przez sztuczną inteligencję.

## Czy wprowadzenie ChatGPT oznacza, że pisanie jest już niepotrzebne w edukacji?

Proces pisania jest procesem twórczym, w którym ostateczny kształt i treść zdania są efektem niepowodzeń, zmian, usuwania i dopisywania fragmentów, weryfikowania faktów, sprawdzania, redagowania i korekty. ChatGPT zlikwiduje ten proces „kultury gruntu”, zaś rolę człowieka będzie raczej wygładzenie i zmodyfikowanie treści stworzonych przez maszynę niż ich wstępne opracowywanie. Im lepsze krytyczne myślenie człowieka (wykładowcy, nauczyciela, studenta i ucznia), tym ta ingerencja będzie dojrzsza.

Warto jednak podkreślić, że takie narzędzia, jak ChatGPT nie służą i nie powinny służyć całkowitej eliminacji pisania esejów, prac okresowych czy dyplomowych: chodzi raczej o eliminację przygotowania takich prac pisemnych, których celem jest sama ocena studenta, a nie jego rozwój intelektualny, naukowy, kulturowy czy społeczny. W edukacji wyższej eseje czy prace pisemne powinny być drogą do celu, a nie samym celem. Stąd ChatGPT (i inne podobne narzędzia) jest świetną okazją do takiego kształcenia studentów, aby rozumieli różnicę między inteligencją ludzką a maszynową i aby nie mylili nawet najbardziej sprawnych odpowiedzi sztucznej inteligencji z możliwościami ludzkiego umysłu, krytycznym myśleniem i analitycznym podejściem do złożonych zagadnień.

## Jakie kompetencje są potrzebne wykładowcom i nauczycielom, aby wykorzystywać ChatGPT w procesach edukacyjnych?

Romantyczna wizja ludzkości kładzie nacisk na wyjątkową zdolność człowieka, jaką jest odkrywanie, a potem doskonalenie i rutynizacja umiejętności, także odnoszących się do obszarów nieznanych (jak obecnie SI). Rzecz jednak w tym, że eksperymentowanie indywidualne jest najmniej efektywne przy opanowaniu nowych umiejętności. Głównie dlatego, że wielu eksperymentuje bez żadnej systematyczności, a wszyscy eksperymentują równoległe z tego samego poziomu. To jeden z głównych powodów, dla których nauka jest społecznie cenna, bowiem odkrywanie, eksperymentowanie i aplikacje odbywają się w sposób rygorystyczny, wiarygodny i efektywny. Dlatego dziś potrzebna jest nauka o wykorzystaniu SI w procesach edukacyjnych w szczególności, a także o współdziałaniu człowieka i SI. Tym bardziej że uzasadniona jest teza, że SI się upowszechni (a nie zostanie zablokowana na drodze zakazów).

Dlatego sądzimy, że wielkim wyzwaniem jest opracowanie procedur, zasad, umiejętności, testów itd., które pozwolą badaczom nauczyć się korzystania z SI, a dalej uczyć innych tego samego. Warto podkreślić, że w tradycyjnym programie studiów było miejsce na tzw. propedeutykę studiowania, który to przedmiot obejmował naukę korzystania z biblioteki. Analogicznego przedmiotu w epoce Google nie ma, bowiem zakładamy milcząco, że każdy przecież potrafi korzystać z wyszukiwarki. Tymczasem nic nie uzasadnia tego przekonania, bo uczniów i studentów nikt tego nie uczy, nie ma standardowej umiejętności przeszukiwania zasobów internetowych, a nawet standardów opisu tej umiejętności. Podobnie rzecz się ma z Wikipedią, która ma wady i zalety, ale nie przekazujemy ich uczniom i studentom. Jesteśmy przekonani, że pojawienie się SI wymusi wprowadzenie przedmiotu dotyczącego wykorzystania narzędzi cyfrowych w edukacji. Także narzędzi, które automatycznie będą wykrywały naruszenia zasad, w tym niesamodzielnych prac z użyciem ChatGPT.

Rys. Sławomir Mękal

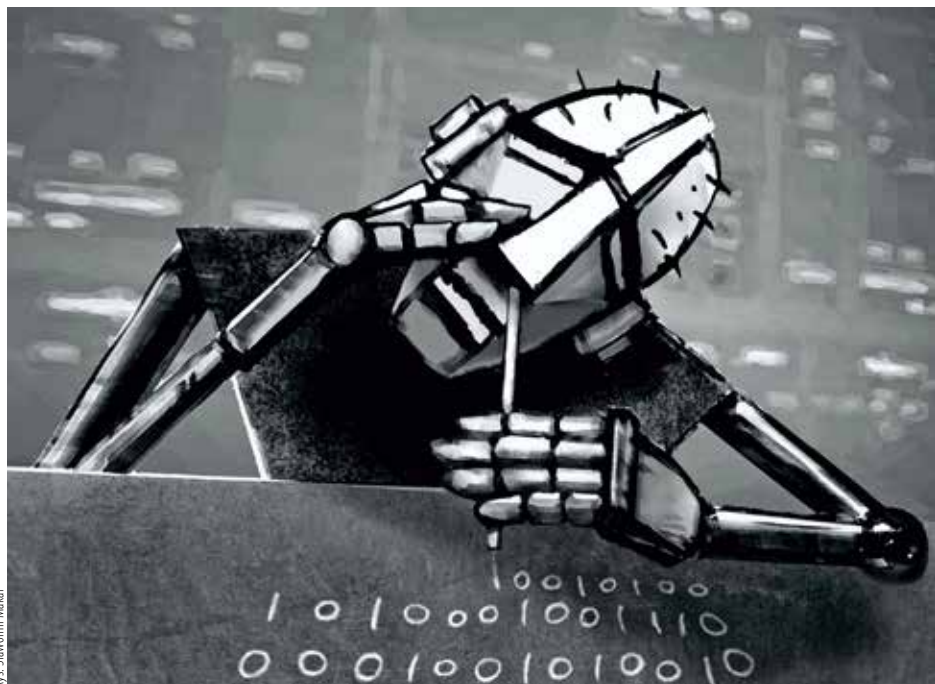
Zakładamy, że dla nauczających na poziomie wyższym wychwytywanie treści tworzonych przez ChatGPT nie będzie trudne. Treści te są (obecnie) zgrabnymi, akceptowalnymi, poprawnymi językowo tekstami, jednak widać ich powierzchowność i swoistą płytkość. ChatGPT ma szereg niedoskonałości: nie potrafi przytaczać i analizować dowodów, tworzyć logicznych powiązań bądź układać ich w hierarchię ważności, nie zastosuje źródeł informacji, które są pożądane w pewnych kontekstach.

## Jakie kompetencje są potrzebne studentom, aby używać ChatGPT w edukacji?

Po pierwszej fali entuzjazmu użytkownicy ChatGPT gromadzą także mniej entuzjastyczne oceny o użyteczności tego narzędzia. Potrzebny jest czas na rozpoznanie, czy spełnia on pokładane w nim nadzieje. W międzyczasie sama aplikacja ewoluuje, pojawiają się automatyczne detektory tekstu pisanego przez SI, a media społecznościowe środowiska edukacji aż huczą od dobrych rad, wątpliwości, sugestii i doświadczeń.

Podobnie jak w przypadku standardowych programów nauczania, od strony edukatorów i studentów potrzebne jest rozwinięcie nowych kompetencji, aby dobrze przygotować wejście w aktywność zawodową. W czasie swojej prezydentury Barack Obama twierdził, że nadchodzi nowe pokolenie digital born, tj. ludzi, którzy nie znają świata sprzed epoki cyfrowej. Tym nowym pokoleniom miałoby jakoby łatwiej przychodzić poruszanie się w świecie cyfrowym. Dlatego Obama wzywał do nauki kodowania, które postrzegano wówczas jako kluczowe. Dziś wiadomo, że umiejętność kodowania nie jest dana każdemu, a to zalecenie okazało się nieprzydatne dla większości młodych ludzi. Za to czytanie jest niezbędne każdemu, zaś rolę SI w edukacji można postrzegać jako umiejętność zupełnie podstawową, jak czytanie.

Studenci będą coraz częściej konfrontowani z treściami wygenerowanymi przez SI i sami będą zadawać SI różne zadania do wykonania. Aby poprawnie tego dokonać, potrzebna jest umiejętność właściwego formułowania pytań. W systemie edukacji od wielu lat mówi się o takiej kompetencji z zastrzeżeniem, że nie powinna wyprzeć mechanicznych, pamięciowych sposobów uczenia się. Nie wzywamy do porzucenia tradycyjnych metod edukacji, bowiem wyposażają one w wiele niezbędnych umiejętności, ale widzimy potrzebę uczenia stu-



dentów użytecznego, prawidłowego zadawania zadań takim aplikacjom jak ChatGPT.

Ponadto jako bardziej jaskrawą dostrzegamy umiejętność oceny tekstu wygenerowanego przez ChatGPT. Jest to istotne dlatego, że można spotkać użytkowników zasobów cyfrowych, którzy bezrefleksyjnie traktują Wikipedię jako wystarczające i w pełni wiarygodne źródło informacji. Podobnie można znaleźć osoby nieświadome, że wyszukiwarka Google nie dostarcza wcale najtrafniejszych odpowiedzi, ale pozycjonuje wyniki, czyli sprzedaje miejsce na liście wyszukiwań. Dlatego trzeba zbudować kompetencje konieczne do poszukiwania wiarygodnych informacji. Metodologia naukowa dostarcza wielu narzędzi oceny wiarygodności: od krytycznej oceny, przez triangulację źródeł aż do symulacji.

Te umiejętności nie mieszczą się w wachlarzu standardowych kompetencji studenta. O ile bowiem fake news, manipulacja czy propaganda w mediach społecznościowych zyskały zainteresowanie polityków, technologów i badaczy, o tyle SI pozostaje pod tym względem daleko w tyle. To niejedyne nowe kompetencje potrzebne studentom. Zapewne jeszcze ważniejsze jest uczenie, jak współpracować z SI, aby skutecznie wykonywać przyszłe zadania zawodowe, mając świadomość, że to człowiek, a nie SI, odpowiada za ich treść i skutki.

### Jakie są wyzwania dla autorów tekstów naukowych związane z ChatGPT?

Dzisiejszy format komunikacji naukowej jest w znacznym stopniu zestandaryzowany. Struktura artykułów określona jest nie tylko wzorcem, którego uczymy młodych adeptów nauki, ale także wymuszana przez czasopisma w postaci tzw. author style guidelines. Poza stylem, te dokumenty formułują konkretne oczekiwania odnośnie do długości tekstu, jego części, listy referencji bibliograficznych, sposobu przedstawiania wyników, dyskusji tych wyników względem wykorzystanych referencji bibliograficznych. Przykładowo w naukach o zarządzaniu artykuł zwykle ma 6-10 tysięcy słów i 50-150 referencji (co może udałoby się ograniczyć, z pozytywnym skutkiem dla autorów i odbiorców).

Z jednej strony standaryzacja otwiera pole do automatyzacji, bowiem warunkiem koniecznym automatyzacji jest ujednoczenie procedur, ich etapów i pojedynczych czynności. Właśnie to odkrycie Henry'ego Forda otwarło drogę dla motoryzacji masowej, przystępnej cenowo, bo taniej w produkcji. Pojawia się więc pokusa zlecenia SI redagowania lub edytowania standardowych części tekstu. Dziś ChatGPT jest w tym zakresie chromy, a przy operowaniu referencjami literaturowymi wręcz kłamiwy, nieporadny i nieaktualny. Postępu nie da się zatrzymać i te niedostatki SI zostaną usunięte, być może w płatnych wersjach oprogramowania, zatem automatyzacja standaryzowanych treści w publikacjach naukowych jest nieunikniona. To prowadzi do fundamentalnego pytania o sens pisania takich tekstów, skoro SI będzie je generowało coraz lepiej.

Z drugiej strony badacze nauk o zarządzaniu wiedzą, że automatyzacja może prowadzić do absurdów polegających na usprawnieniu procesów nikomu już niepotrzebnych. Słynny manifest modnej trzy dekady temu metody zarządzania, tj. reengineeringu, brzmiał „don't automate – obliterate!” (czyli: nie automatyzuj tego, co i tak jest niepotrzebne). Nadchodzi więc nieuchronnie czas refleksji nad tym, czy obecna postać komunikacji naukowej jest niezbędna? Na przykład czy wobec upowszechnienia się systematycznych przeglądów literatury i metaanaliz w każdym artykule wciąż potrzebna jest sekcja omawiająca istniejącą literaturę? Czy standardowe, w gruncie rzeczy powtarzalne treści nie mogłyby zostać usunięte albo przesunięte do nowego rodzaju komunikatów naukowych?

A wspomnieć trzeba o najważniejszym elemencie obecnego systemu komunikacji naukowej, którym jest system peer review. Temu elementowi przypisuje się zarówno warunkowanie rygoru i wiarygodności tekstów, jak i wszelkie nieprawidłowości. Do jego słabości należy rekrutacja i dobór recenzentów, nie wszyscy bowiem są jednakowo kompetentni, nie wszyscy także są jednakowo skłonni do świadczenia bezpłatnej pracy na rzecz środowiska naukowego. U organizatorów konferencji, wydawców, organów nadzorujących awanse naukowe zachodzi więc naturalna pokusa, aby wykorzystać SI do recenzowania tekstów naukowych.

Dochodzimy w ten sposób do paradoksalnej sytuacji, która nie jest żadną fikcją naukową, ale nieodległą i wyobraźlaną przyszłością, w której teksty pisane przez SI będą oceniane przez SI. Ten mechanizm uczenia maszynowego właściwie nie wymaga udziału człowieka. Eliminuje go z procesu tworzenia i gromadzenia wiedzy, a dalej – być może – i z samej wiedzy. Nie wieszczęc apokalipsy, wzywamy do głębszej refleksji, jak przekształcić system komunikacji naukowej, aby rzeczywiście służył on pogłębieniu wiedzy ludzkiej i jedynie wykorzystywał SI, a nie zdawał się na to narzędzie.

### Jakie wyzwania dla uczelni są związane z ChatGPT?

Naszym zdaniem, powszechne stosowanie ChatGPT w uczelniach i szkołach jest pozytywnym zjawiskiem, i to na wielu poziomach. Przyniesie ono korzystną zmianę w edukacji, zarówno jeśli idzie o jakość tworzonych treści, jak i o krytyczne myślenie, weryfikację źródeł informacji i materiałów dostarczanych przez narzędzie SI. Mówiąc inaczej, zamiast ustawiania umysłu w pozycji stand by (bowiem aplikacja załatwia wszystko za nas), co czyni już wiele narzędzi i zabawek (np. nawigacje, tłumacze online), ChatGPT zmusza do wysiłku, wyostża zmysły i wymusza kreatywne i krytyczne myślenie tak u autora materiału, jak i u jego czytelnika. Mówiąc inaczej, ChatGPT nie zastąpi ludzkiej inteligencji, ale zapewni nowe, ożywcze otwarcie dla procesów myślowych jako swoisty katalizator, a nawet dodatkowy bodziec (wręcz steryd) dla umysłu i procesu twórczego.

Nie wolno udawać, że wprowadzenie ChatGPT niczego nie zmieniło w szkołach różnych szczebli, na uczelniach i uniwersytetach w Polsce i na świecie: jest wręcz przeciwnie, a ci, którzy chcą przeczekać zainteresowanie sztuczną inteligencją, szkodać nie tylko własnym instytucjom, ale i całej społeczności akademickiej. Wyrażamy przekonanie, że strategia „strusia” spowoduje erozję albo wręcz destrukcję zaufania do całego ekosystemu naukowo-dydaktycznego. Jak bowiem pracodawca ma ufać dyplomowi uczelni, jeśli ta uczelnia nie ma polityki wobec stosowania SI, nie uwzględni SI w swoim kodeksie etycznym bądź nie ma własnego stanowiska względem prawa autorskiego, gdy wykorzystywane jest SI. Może wówczas zachodzić podejrzenie, że absolwent tej uczelni nie posiada kompetencji, o których zaświadcza dyplom, bowiem mógł uzyskać niezbędne zaliczenia, stosując SI.

Warto na koniec przytoczyć wniosek prof. Christiana Terwiescha z Wharton Business School, który – obserwując, jak ChatGPT radził sobie z zadaniami z zarządzania operacyjnego na poziomie MBA – podkreślił potrzebę współpracy między ludźmi a narzędziami sztucznej inteligencji wokół przyszłych metod egzaminacyjnych i takiego formułowania programów kształcenia, które zapewnią pomyślną przyszłość edukacji biznesowej.

*Prof. dr hab. Wojciech Czakon, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie*

*Prof. dr hab. Grzegorz Mazurek  
jest specjalistą w dziedzinie zarządzania,  
pełni funkcję rektora Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie.*

Marek Wroński

# Pięć retrakcji

Wydaje się, że cała ta sprawa wynika ze znacznie obniżonych w 2018 r. wymagań awansowych, zwłaszcza w stosunku do kandydatów na profesorów, czego skutkiem jest pęd, aby zostać jak najszybciej doktorem habilitowanym lub profesorem tytularnym, jak również z niepohamowanej ambicji posiadania wielu wysoko punktowanych artykułów w bardzo krótkim czasie.

Na początku marca 2022 r. do redakcji kwartalnika „Postępy Mikrobiologii” (IF 1,1), wydawanego w Warszawie przez Polskie Towarzystwo Mikrobiologów, wpłynął maszynopis pracy poglądowej pt. Obecnie akceptowane i zalecane metody badania lekowności dermatofitów, autorstwa dr. hab. Sebastiana Gnata, profesora uczelni w Zakładzie Mikrobiologii Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, dr. Mariusza Dyląga, adiunkta w Instytucie Genetyki i Mikrobiologii Wydziału Nauk Biologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego, lek. wet. Dominika Łagowskiego, doktoranta oraz asystenta Zakładu Mikrobiologii Weterynaryjnej Katedry Przedklinicznych Nauk Weterynaryjnych UPL oraz prof. dr hab. Anety Nowakiewicz, kierownika tego zakładu, a równocześnie prodziekana Wydziału Medycyny Weterynaryjnej UPL i wiceprzewodniczącej Rady Dyscypliny Weterynaria.

Pracę wysłano do recenzenta, znawcy tematu, który w końcu kwietnia 2022 r. przesłał swoją negatywną opinię. Z oburzeniem poinformował redakcję, iż maszynopis jest podobny zarówno pod względem formy, jak i treści do artykułu hinduskich autorów, opublikowanego w 2019 r. w „Indian Dermatology Online Journal” 10, 225-233, i zawiera zapożyczenie z tej pracy. Zdaniem recenzenta, to w dużej mierze plagiat naukowy ze względu na zachowanie układu rozdziałów oraz tłumaczenie z angielskiego dużych fragmentów pracy zespołu prof. Sunila Dogra, wybitnego dermatologa z Postgraduate Institute of Medical Education and Research w Chandigarh w Indiach. Polski maszynopis miejscami został poszerzony o własne poglądy autorów. Recenzent też oznajmił, że z ciekawości sprawdził inny, już wydrukowany artykuł lubelskiego zespołu pt. Mechanizmy powstawania oporności dermatofitów na substancje przeciwgrzybicze, autorstwa D. Łagowskiego, S. Gnata, A. Nowakiewicz („Postępy Mikrobiologii”, 2020, 59,2, 153-165). Znalazł tam znaczne fragmenty tekstu przetłumaczone z artykułu brazylijskiej profesor genetyki molekularnej Nice Marii Martinez-Rossi (Wydział Lekarski Uniwersytetu w Sao Paulo) i współautorów: Dermatophyte resistance to antifungal drugs: mechanisms and prospectus, opublikowanego w prestiżowym czasopiśmie (IF 6) „Frontiers in Microbiology” w 2018 r. Recenzent wyraził sprzeciw wobec takich nieetycznych praktyk. Jego zdaniem druk takich opracowań nie ma sensu, gdyż większość polskich badaczy oraz doktorantów zna angielski w stopniu pozwalającym na zrozumienie prac oryginalnych.

Redaktor Działu Mikrobiologii kwartalnika, dr hab. Henryk Krukowski, adiunkt Zakładu Mikrobiologii Katedry Higieny Zwierząt i Zagrożeń Środowiskowych Wydziału Nauk o Zwierzętach i Biogospodarki UPL, natychmiast poinformował 25 kwietnia 2022 r. całą czwórkę niedoszłych autorów, że maszynopis ich publikacji został odrzucony i nie będzie wydrukowany. Zaznaczył, iż sprawa jest poważna oraz załączył recenzję anonimowego recenzenta. Na jego email zareagował po dwóch tygodniach dr hab. Sebastian Gnat, prof. UP, który był pierwszym autorem maszynopisu oraz autorem-korespondentem (osobą odpowiedzialną za kontakt z redakcją). Nie odniósł się do zarzutu plagiatu, natomiast polemizował ze stanowiskiem recenzenta, iż „tego typu prace są niepotrzebne i środowisko mikrobiologów może korzystać wyłącznie z artykułów anglojęzycznych”. W jego opinii „Czytelnikami naszych artykułów są studenci różnych kierunków przyrodniczych i medycznych, laboranci, nauczyciele, także niejednokrotnie akademicy poszukujący literatury specjalistycznej”. Pozostali współautorzy nie uznali za stosowne odpowiedzieć i dyplomatycznie przemilczeli zasygnalizowane im poważne naruszenie rzetelności autorskiej.

## Dalsze kroki redakcji

Odkrycie zapożyczeń w obu artykułach zespołu naukowców z UP w Lublinie zaniepokoiło prof. Jacka Bieleckiego, od 2012 roku redaktora naczelnego „Postępów Mikrobiologii”. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, aby redakcja odkryła jakiś plagiat, aczkolwiek nie sprawdzano wpływających maszynopisów programem antyplagiatowym, co dzisiaj powinno być standardem. Polegano na rzetelności autorów oraz wiedzy, znajomości tematu i dociekliwości recenzentów. Stąd informacja o wykryciu nierzetelności zelektryzowała sekretariat redakcji: trzech nauczycieli akademickich Wydziału Biologii UW, bliskich współpracowników redaktora naczelnego. Prof. Bielecki od razu na przełomie kwietnia i maja 2022 r. zapoznał się z przesłanymi przez dr. hab. Henryka Krukowskiego materiałami, a znając dobrze angielski, potwierdził spostrzeżenia i opinię recenzenta. Podobne było zdanie jego „prawej ręki”, dr. hab. Radosława Stachowiaka, od 2016 r. pełniącego funkcję zastępcy redaktora naczelnego, zaś wcześniej przez dwa lata sekretarza redakcji. W związku z odkrytym zapożyczeniem już w maju 2022 r. podjęto formalną decyzję redakcyjną o odrzuceniu maszynopisu artykułu pt. *Obecnie*

akceptowane i zalecane metody badania lekowrażliwości dermatofitów, którego pierwszym autorem był dr hab. Sebastian Gnat.

O odkrytych nierzetelnościach autorskich poinformowano w połowie maja Zarząd PTM i jego prezesa, prof. Stefana Tyskiego, em. kierownika Zakładu Mikrobiologii Farmaceutycznej WUM. Od razu wywiązała się dyskusja, zapoczątkowana pytaniem prof. Bieleckiego, czy lek. wet. Dominik Łagowski powinien otrzymać przyznaną mu 29 kwietnia 2022 r. I nagrodę naukową PTM im. Edwarda Mikulaszka w wysokości 5 tys. zł za cykl 6 publikacji (pięć z nich weszło do doktoratu!). Aczkolwiek do tych oryginalnych publikacji w języku angielskim nie ma zastrzeżeń, to jego zdaniem, nie powinien być nagrodzony, gdyż nawet jedna nierzetelna publikacja kładzie się cieniem na sylwetce laureata, a to wpływa na prestiż Towarzystwa. Zarząd podzielił to stanowisko, uchylając 15 czerwca 2022 r. uchwałę o przyznaniu nagrody D. Łagowskiemu.

Redakcja „Postępów Mikrobiologii” stwierdziła także, że zespół prof. Anety Nowakiewicz opublikował w kwartalniku łącznie siedem artykułów przeglądowych, z których po dokładnym sprawdzeniu przez redakcję pod kątem ewentualnych zapożyczeń i powtórzeń dwie prace zostały uwolnione od takich zarzutów. Pozostałe uznano za naruszające dobre praktyki autorskie. Redaktor naczelny prof. Bielecki 27 czerwca 2022 r. formalnie zawiadomił wszystkich współautorów, że praca D. Łagowskiego i wsp. (czyli wydrukowany artykuł przeglądowy odkryty w kwietniu 2022 r. przez anonimowego recenzenta) ulegnie retrakcji.

Naczelnemu dwa dni później odpisał prof. Gnat, iż nie miał zamiaru narazić redakcji na jakiegokolwiek problemy, ponieważ czasopismo „Postępy Mikrobiologii” bardzo ceni. Jego zdaniem, układ i zakres treści obu prac nie są całkowicie zgodne, gdyż zamiarem autorów polskiego artykułu było przedstawienie leków z mechanizmami działania i omówienie zjawiska oporności. Dodał, iż literatura cytowana przez jego zespół autorski różni się znacznie od tej z oryginalnej pracy ze względu na fakt weryfikacji wszystkich informacji i docierania do ważnych publikacji. Stwierdził, iż zarzut plagiatu nie określa stopnia podobieństwa i zgodności obu prac, a słowo „obszerne” jest bardzo ogólne. Podkreślił, iż nie ukrywa czekających na niego bardzo poważnych konsekwencji zawodowych w związku z unieważnieniem prac. Budował przez wiele lat swój warsztat badawczy i doświadczenie w zakresie mykologii. Obecna sytuacja powoduje, że wobec współpracowników ma znaczny dług. Opinia o nierzetelności publikacji i konieczność długotrwałego odbudowywania prestiżu naukowego to poważna konsekwencja niezamierzonego działania. Decyzja redaktora naczelnego o retrakcji jest druzgocąca, stąd ponownie prosi o jej rozważenie.

Prof. Bielecki odpowiedział, że „w retraktowanym artykule znajdują się bardzo duże fragmenty tekstu przytoczone z innej, wcześniej wydanej publikacji autorstwa Martinez-Rossi i wsp. 2018. Pomysł pracy, układ jak i wspomniane obszerne elementy tekstu są przeniesieniem”. Redaktor naczelny podkreślił, że „zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami tłumaczenie naukowego dzieła lub artykułu z zagranicznej prasy nie stoi w kolizji z utworem pierwotnym. Jeśli jednak zostanie skopiowane i przetłumaczone, a następnie zaprezentowane jako twórczość własna, staje się plagiatem. Tego typu pracę zaprezentowaną przez Państwa należało przedstawić jako tłumaczenie dzieła już opublikowanego, a nie własną pracę przeglądową”.

Pierwszy autor unieważnionej publikacji, lek. wet. Dominik Łagowski, krótko odpowiedział, że skonsultuje powiadomienie o retrakcji z prawnikiem oraz zaleca redakcji przyjrzenie się artykulom poglądowym innych autorów. Z kolei prof. Aneta Nowakiewicz w liście z 28 czerwca 2022 r. wyraziła ubolewanie z powodu plagiatu jej współpracownika i poprosiła „o naświet-

lenie kulis zaistniałej sytuacji”, gdyż nie jest w stanie otrzymać klarownych wyjaśnień od swoich współautorów. Przyznała, że pewnie zbyt mało czasu poświęciła nadzorowi nad przygotowywaną publikacją, jednak potępia nierzetelność w artykułach naukowych, a z takim przypadkiem osobiście spotkała się po raz pierwszy.

Pierwszego lipca 2022 r. na stronie internetowej kwartalnika „Postępy Mikrobiologii” pojawił się dostępny dla wszystkich zeszyt nr 2, tom 61/2022. Na samym początku wydrukowano tam artykuł redakcyjny (tzw. Editorial) pt. *Zawiadomienie o praktykach plagiatowych oraz retrakcji artykułu*, w którym opisano fakty podane powyżej. Niestety zabrakło w numerze formalnej, oddzielnej noty retrakcyjnej. Z kolei na końcu numeru wydrukowano sprawozdanie z działalności Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów. Podano tam informację o wykrytych dwóch plagiatach i uchynieniu uchwały Komisji Konkursowej PTM przyznającej lek. wet. Dominikowi Łagowskiemu I nagrodę w Konkursie Naukowym PTM im. Prof. Edmunda Mikulaszka za cykl 6 artykułów naukowych dotyczących dermatofitów najczęściej izolowanych od zwierząt oraz przypadków zoonoz w krajach europejskich, tj. *Trichophyton verrucosum* i *Trichophyton mentagrophytes*. Nagroda została cofnięta przez Zarząd Główny PTM uchwałą z 15 czerwca 2022 r. „za niegodne członka PTM postępowanie”. Zdaniem Prezydium ZG PTM „zamieszczanie plagiatów prac w czasopismach jest niedopuszczalne i naganne, a w tym przypadku jest działaniem na szkodę zarówno Stowarzyszenia jak również niszczy dobrą renomę czasopisma PTM”.

Trzeciego sierpnia 2022 r. zastępca redaktora naczelnego „Postępów Mikrobiologii” dr hab. Radosław Stachowiak przesłał do wszystkich współautorów email z informacją, że redakcja będzie retraktować cztery dalsze ich prace, a ewentualne ich komentarze zostaną wydrukowane jako listy do redakcji, razem z notą retrakcyjną.

### Opinia Komisji ds. Etyki PTM

Sprawa nierzetelnych publikacji skłoniła prezesa PTM, prof. Stefana Tyskiego, do wystosowania 19 lipca 2022 r. prośby do przewodniczącej Komisji Etyki PTM, prof. Stefanii Giedrys-Kalembi, em. kierownika Katedry Mikrobiologii i Immunologii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, o przeprowadzenie oceny odpowiedzialności etycznej dr. hab. Sebastiana Gnata, prof. UP oraz lek. wet. Dominika Łagowskiego. Wcześniej, bo 24 czerwca i 5 lipca, prezes PTM poprosił mnie o wyrażenie opinii na temat pięciu artykułów opublikowanych w „Postępkach Mikrobiologii”, a uznanych przez redakcję za nierzetelne. Potwierdziłem stanowisko redakcji, iż są one plagiatami naukowymi i należy je formalnie unieważnić (retraktować).

Komisja Etyki PTM, w skład której wchodziła także prof. Małgorzata Bulanda z Katedry Mikrobiologii Wydziału Lekarskiego UJ w Krakowie, prof. Wanda Małek z Zakładu Genetyki i Mikrobiologii UMCS w Lublinie oraz prof. Elżbieta A. Trafny, mikrobiolog z Instytutu Optoelektroniki WAT w Warszawie, obradowała w trybie zdalnym, otrzymując wcześniej całość dokumentacji. W dniu 4 sierpnia 2022 r. po wnikliwej analizie dostarczonych materiałów komisja uznała, że stwierdzone plagiaty naukowe w artykułach obydwu członków PTM nie licują z godnością członka towarzystwa i dla Zarządu Głównego PTM mogą być podstawą wykluczenia obu naukowców z grona członków towarzystwa.

Tydzień później, 12 sierpnia 2022 r., odbyło się zebranie Prezydium Zarządu Głównego PTM, na którym jednogłośnie wykluczono z towarzystwa Sebastiana Gnata i Dominika Łagowskiego. Ten ostatni, za pośrednictwem radcy prawnego mgr. Bartosza Dąbka, 24 sierpnia złożył odwołanie od tej

uchwały do Walnego Zgromadzenia Delegatów Towarzystwa, które zbiera się raz na cztery lata, wybierając także nowe władze. Takie spotkanie odbyło się wieczorem 16 września 2022 r. w salach Arche Hotelu w Warszawie w czasie XXIX Ogólnopolskiego Zjazdu PTM. Posiedzenie zaczęło się o godz. 18 i trwało 6 godzin. Dopiero na końcu debat rozważono dwa odwołania D. Łagowskiego. Oba w imieniu zainteresowanego, który nie pojawił się osobiście, przedstawiał plenipotent prawny, radca Bartosz Dąbek. Pierwsze odwołanie, kontestujące odebranie jego klientowi już przyznanej I Nagrody Naukowej im. Mikulaszka, zgromadzeni oddalili. Drugie, odwołujące się od usunięcia z szeregów towarzystwa, ku olbrzymiemu zdziwieniu części obecnych, uznano, uchylając uchwałę ZG PTM. Dominik Łagowski pozostał członkiem Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów.

Redakcja nie dysponuje obecnie zapisem protokołu tego posiedzenia, ale z kilku rozmów telefonicznych dowiedziałem się, że na sali zostało już niewielu członków, gdyż działo się to około pierwszej w nocy i wszyscy byli bardzo zmęczeni. Zgromadzeni nie dostali od organizatorów dokumentów ukazujących skalę tłumaczeń i zapożyczeń. Radca Dąbek argumentował, że redakcja „Postępów Mikrobiologii” jakoby porównywała inkryminowane teksty za pomocą Google Translator (sugerując, że jej członkowie nie znają angielskiego). Z kolei wewnętrzny, anonimowy recenzent nie przedstawił dowodów wskazujących na plagiat. Jego recenzja nie była profesjonalna, gdyż zawierała jedynie przeświadczenie o nierzetelności, bez udowodnienia tego faktu. Mnie natomiast, jako zewnętrznemu opiniodawcy, zarzucił, jakobym dokonał porównania za pomocą programu antyplagiatowego. Miało to rzekomo być zrobione nieudolnie, gdyż nie wyodrębniłem własnych artykułów jego mocodawcy i współautorów dotyczących tego tematu. Stąd współczynniki podobieństwa zostały znacznie zawyżone.

Uważam argumenty radcy Dąbka są nietrafne. Przy opracowaniu opinii dotyczącej polskich artykułów nie posługiwałem się programem antyplagiatowym iThenticate. Porównywałem bezpośrednio teksty obydwu publikacji: polskiej oraz anglojęzycznej, która została przez polskich autorów odwzorowana.

O pracy D. Łagowskiego i wsp. napisałem dla PTM tak: „Zasadnicza część polskiego artykułu – oprócz 1. Wprowadzenia oraz 10. Podsumowania – jest mniej lub więcej dokładnym tłumaczeniem tekstu angielskiego, z przejściem odpowiedniej bibliografii. Praca brazylijskich autorów została zacytowana 9 razy, ale w odniesieniu do pojedynczych zdań. Jednak polscy autorzy przejęli prawie cały tekst, łącznie z kontekstem i planem przetłumaczonego artykułu”. Nikt, kto zna obydwie języki, nie będzie miał wątpliwości, że autorzy polscy użyli jako pierwowzoru treści pracy pogłądowej brazylijskich autorów w języku angielskim. Gdyby ten fakt odkryto w czasie procesu recenzowania, artykuł D. Łagowskiego i wsp. nie miałby szansy na publikację, podobnie jak przesłany w marcu 2022 r. maszynopis S. Gnata i wsp. W tym maszynopisie także oparto się na tłumaczeniu, głównie z jednej pracy, co spostrzegł recenzent i zdyskwalifikował artykuł. Należy pamiętać, że prace pogładowe też muszą być oryginalne. Pisz się je na podstawie danych i treści wielu różnych publikacji, a nie na podstawie tłumaczenia jednej pracy pogładowej, wydrukowanej już wcześniej gdzie indziej i w innym języku. Jest to plagiat naukowy, który narusza dobre praktyki autorskie i z tego powodu takie publikacje są przez redakcje retraktowane, gdyż nie są oryginalne.

### Pięć retrakcji

Na początku października 2022 r. ukazał się trzeci zeszyt kwartalnika „Postępy Mikrobiologii” (nr 3, tom 61), w którym redakcja poinformowała o retrakcji pięciu artykułów pogładowych zespołu prof. Anety Nowakiewicz. Trzy artykuły wydrukowano w 2017 r., a dwa w 2019 r. Prof. Gnat był pierwszym autorem w 4 artykułach, zaś dr Łagowski w jednym, ale współautorem drugim był w trzech pracach. Prof. Nowakiewicz była trzecim i z reguły ostatnim współautorem we wszystkich pięciu retraktowanych publikacjach. Spoza jej zespołu współautorem był dr wet. Przemysław Zięba z Lublina oraz dr Mariusz Dyląg z Uniwersytetu Wrocławskiego. Przyczyną retrakcji w pierwszej pracy było to, że treść publikacji S. Gnata i wsp. jest w zdecydowanej większości tożsama z wcześniejszą pracą. Powodem



Rys. Sławomir Makaj

w drugiej było rozległe podobieństwo pracy S. Gnata i wsp. do opublikowanej wcześniej pracy w czasopiśmie „Mycopathologia”. Trzecią pracę unieważniono z powodu powtórzenia w artykule S. Łagowskiego i wsp. większości informacji i treści zawartych we wcześniejszej publikacji z czasopiśma „Frontiers in Microbiology”. Czwarta praca zespołu S. Gnata i wsp. zawiera rozległe fragmenty tekstu tożsame z treścią wcześniejszej publikacji, która ukazała się w periodyku „Mycopathologia”. Piąta publikacja S. Gnata i wsp. jest praktycznie tożsama z pracą wydaną przez czasopismo „Mycopathologia”.

Redakcja zamieściła też listy od współautorów. Dr. Mariusz Dyląg poinformował 18 sierpnia 2022 r., że nie zdawał sobie sprawy, iż przesłane mu przez pierwszego autora trzy maszynopisy nie są oryginalne. Jego rola ograniczyła się wyłącznie do edycji i korekty językowej, sprawdzenia pracy pod kątem stosowanej terminologii i wartości merytorycznej maszynopisów. Trzeba dodać, że dr Dyląg w ciągu ostatnich czterech lat opublikował ok. 20 prac wspólnie z dr. hab. Gnatem.

List dr. wet. Przemysława Zięby, kierownika Zakładu Higieny Weterynaryjnej w Lublinie, informuje, że do tych dwóch prac został „dopisany” jako grzecznościowy autor, prawdopodobnie ze względu na swoją współpracę z Zakładem Mikrobiologii Weterynaryjnej UPL. Jak policzyłem, ta współpraca od 2018 roku zaowocowała opublikowaniem ponad 30 tekstów, w których współautorem był prof. Gnat. Co więcej, trzy prace, których S. Gnat był pierwszym autorem, a P. Zięba ostatnim, otrzymały w 2020 r. II nagrodę Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych.

Z kolei w liście do redakcji z 2 września 2022 r. prof. Aneta Nowakiewicz uznała, że nie jest przekonana, iż retrakowane artykuły są plagiatami, a opinie w tej sprawie budzą szereg wątpliwości merytorycznych. Tematyka tych artykułów nie stanowi głównego nurtu jej działalności naukowej, zaś jej wkład w ich powstanie, ograniczył się do kwestii pomocniczych, czyli zebrania literatury i merytorycznej korekty. Działała w przekonaniu, że pierwsi autorzy (w tym samodzielni pracownicy) są rzetelni, a przekazany jej manuskrypt nie zawiera niedozwolonych zapożyczeń. Potępia plagiat i ubolewa, że tak się stało, iż prace z jej współautorstwem były analizowane pod tym względem.

W amerykańskiej bazie bibliograficznej PUBMED znajduje się 55 wspólnych prac prof. Nowakiewicz i S. Gnata, a ten ostatni jest pierwszym autorem aż 27 z nich.

Dr Dominik Łagowski w obszernej korespondencji z 7 września 2022 r. użył tych samych argumentów, co w omówionym powyżej odwołaniu do Walnego Zgromadzenia od usunięcia z członkostwa PTM. Dodatkowo wyjaśnił, że w artykułach, których był pierwszym autorem, to on odpowiadał za konspekt manuskryptu, opracowanie bibliografii w maszynopisie pierwotnym oraz wykonanie tabeli I. Maszynopis był wielokrotnie poprawiany przez jego promotora, dr. hab. S. Gnata, zarówno w wersji pierwotnej, jak i po recenzjach. Natomiast w publikacjach, których był drugim współautorem, jego udział polegał na dodaniu bibliografii do maszynopisu pierwotnego i polecenij-nego oraz wykonaniu tabeli lub rysunków.

### Postępowanie na uczelni

Już 7 lipca 2022 r. rektor Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, prof. Krzysztof Kowalczyk, polecił rzecznikowi dyscyplinarnemu, prof. Mariuszowi Florkowi, wszczęcie dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego. Jak mnie poinformowała dyrektorka Biura Rektora, mgr Danuta Sowa, rzecznik postanowieniem z 25 stycznia 2023 r. umorzył postępowanie wyjaśniające dotyczące prof. Anety Nowakiewicz. Wystąpił jednak o ukaranie karą upomnienia dr. Dominika Łagowskiego, zaś w stosunku do dr. hab. Sebastiana Gnata wniosł o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego i ukaranie karą nagany.

Sprawa retrakcji artykułów odcisnęła się na codziennym funkcjonowaniu S. Gnata. Wniosek profesorski tego naukowca z 8 grudnia 2020 r. (wcześniej habilitacja 13 grudnia 2018 r., doktorat nadany 20 listopada 2013 r.) został oddalony w marcu 2022 r. przez Radę Doskonałości Naukowej. Czterech z 5 powołanych recenzentów oceniło ewentualny awans profesorski za przedwczesny. Kandydat posiadał w całym dorobku od początku swojej pracy naukowej 59 opublikowanych współautorskich prac oryginalnych i poglądowych w czasopismach znajdujących się w Web of Science; 35 z nich ukazało się po habilitacji (czyli w ciągu dwóch lat, co daje półtorej pracy miesięcznie). Na „wybitne osiągnięcie naukowe” składało się: 6 prac oryginalnych, 3 opisy przypadków oraz 6 prac poglądowych (w tym kilka ostatnio unieważnionych). Kandydat był pierwszym autorem i zadeklarował 90% wkładu autorskiego. Czterech recenzentów dorobku pohabilitacyjnego nie uznało go za szczególnie znaczący, zwracając uwagę na brak prac eksperymentalnych, nikle doświadczenia w zdobywaniu i prowadzeniu grantów NCN, jak i brak dłuższych niż miesiąc pobytów naukowo-badawczych za granicą. S. Gnat nie wypromował żadnego doktora i nie był recenzentem w żadnym postępowaniu awansowym.

### Takie czasy...

Pomimo trwającego dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego, 10 listopada 2022 r. odbyła się obrona doktoratu Dominika Łagowskiego pt. *Diagnostyka, epidemiologia i ocena zjadliwości dermatofitów zoofilnych wchodzących w skład kompleksów Trichophyton benhamiae i T. mentagrophytes*. Jest on oparty na siedmiu kilkuautorskich (główni współautorzy: S. Gnat, A. Nowakiewicz, M. Osińska, P. Zięba) oryginalnych artykułach naukowych w języku angielskim, opublikowanych w dobrych czasopismach międzynarodowych (kumulatywny IF 21, 670 pkt ministerialnych). Swoją wkład autorski doktorant ocenił na 80% i we wszystkich pracach jest pierwszym autorem. Promotorem był Sebastian Gnat, prof. UP, a bardzo pozytywne recenzje w połowie czerwca 2022 r. napisali: prof. Grzegorz Woźniakowski z UMK w Toruniu oraz dr hab. Marta Fiolka z UMCS w Lublinie. Doktorant był autorem lub współautorem 46 publikacji indeksowanych w Web of Science. Recenzenci wnioskowali o wyróżnienie doktoratu nagrodą. Nie wiedzieli o zarzutach plagiatowych, które nie dotyczyły jednak artykułów składających się na doktorat. Nikomu z władz rektorskich nie przyszło do głowy, iż z powodów etycznych obrona powinna zostać zawieszona do czasu ukończenia postępowania dyscyplinarnego. Rada Dyscypliny Weterynarii UPL (której przewodniczącą jest prof. Marta Kankofer, a wiceprzewodniczącą prof. A. Nowakiewicz) nadała stopień doktora nauk weterynaryjnych 24 listopada 2022 r. No cóż, takie mamy czasy...

Wydaje się, że cała ta sprawa wynikała ze znacznie obniżonych w 2018 r. wymagań awansowych, zwłaszcza w stosunku do kandydatów na profesorów, czego skutkiem jest pęd, aby zostać jak najszybciej doktorem habilitowanym lub profesorem tytularnym, jak również z niepohamowanej ambicji posiadania wielu wysoko punktowanych artykułów w bardzo krótkim czasie. Liczne publikacje w dobrych, wysoko punktowanych czasopismach naukowych wpływały na prestiż zespołu prof. Anety Nowakiewicz (jej nominacja profesorska miała miejsce 4 stycznia 2022 r., cztery i pół roku po habilitacji, co w weterynarii jest rzadko spotykane). Korzystały na tym punktowo Wydział Weterynarii oraz uczelnia. Niezmordowany w pisaniu kolejnych artykułów duet autorski Sebastian Gnat i Dominik Łagowski obsypywany był nagrodami naukowymi, w tym wysokimi stypendiami ministra edukacji i nauki dla wybitnych młodych naukowców.

Mariusz Karwowski

# Lifting rektorskich „ust”

Po co nam rzecznicy prasowi? – pytano nieco prowokacyjnie jeszcze dekadę temu, przekonując, że to funkcja z minionej epoki. Jak sprawujący ją na uczelniach dostosowali się do nowej ery komunikacji?

Tam, gdzie o prymat konkurują dwa duże ośrodki, trzeba ważyć słowa o sąsiadach. O zasadzie tej najwidoczniej zapomniał dr hab. Marcin Czyżniewski, rzecznik prasowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, który w ubiegłym roku pozwolił sobie na uszczypliwość w kierunku bydgoskich uczelni, deprecjonując ich wyniki w ostatniej ewaluacji. Sęk w tym, że uzyskały akurat wysokie oceny. „Rzecznik się zapędził” – komentowano nad Brdą niefortunną, a przede wszystkim niemającą wiele wspólnego z prawdą wypowiedź. Autor wycofał się z niej rakiem, zaś do urażonych rektorów wysłał przeprosiny. Mimo 20-letniego doświadczenia, to – jak sam przyznał – szczególnie przykra dla niego wpadka.

Praca rzecznika prasowego, co dobrze obrazuje powyższy przykład, przypomina stąpanie po polu minowym i nieprzypadkowo funkcję tę porównuje się często do zawodu sapersa. Bywa, że także do sędziiego piłkarskiego. Nie, nie chodzi o to, by być rozjemcą. Bardziej o to, żeby wykonywać swoją pracę bez szkody dla widowiska: im mniej cię widać, im mniej się o tobie mówi, tym lepiej. Ale jest też inna metafora, kto wie, czy nie najtrafniej oddająca ducha obecnych czasów.

– Może zdarzyć się tak, że długo nie dzieje się nic, więc rzecznik jest niedostrzegany. Ten stan względnego spokoju ulega radykalnej przemianie, gdy wybuch „pożar”, wtedy nikt już nie kwestionuje potrzeb komunikacyjnych, do wypełniania których deleguje się właśnie jego. Staje się wtedy strażakiem – mówi Anna Kiryjow-Radzka, prezes Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”.

W takiej właśnie roli nie raz musiała występować Anna Korzekwa-Józefowicz, przez 13 lat (do 2020 r.) rzeczniczka Uniwersytetu Warszawskiego. Przyznaje, że pracując w tak dużej społeczności, w której jak w soczewce odbijają się istniejące w społeczeństwie różnice aksjologiczne, ideowe i polityczne, wyspecjalizowała się w komunikacji kryzysowej. Jako przykład przywołuje zdarzenie z 2018 roku, gdy grupa około 20 osób, w tym studentów i pracowników UW, zajęła balkon na pierwszym piętrze w Pałacu Kazimierzowskim. Przez dwa tygodnie protestowali przeciw procedowanej Ustawie 2.0.

– Od początku w wypowiedziach dla mediów zwracałam uwagę, że uczelnia nie jest adresatem protestu, a jedynie jego areną, przekierowywałam więc „ostrze” w inną stronę. Nie dezawuuując postulatów protestujących, podkreślałam, że ich stanowisko nie jest zbieżne ze stanowiskiem uczelni, której akurat instytucjonalnie na nowych zapisach zależało. Sama na bieżąco twitowałam, z mojej inicjatywy powstawały nagrania wideo z udziałem rektora, odpowiadałam na pytania dzienni-

karzy i pisałam komunikaty. Uważam, że zarówno organizacyjnie, jak i komunikacyjnie wyszło to bardzo dobrze, poczynając od zaproszenia protestujących „do negocjacji” w gabinecie rektora – wspomina.

W minionych latach „pożarów” na uczelniach nie brakowało: dymisja po ujawnieniu plagiatu rektora Uniwersytetu Gdańskiego, afera seksualna na Politechnice Krakowskiej czy sprawa oskarżanej o homofobię i nietolerancję socjolożki z Uniwersytetu Śląskiego. Wyzwaniem dla uczelnianych rzeczników stała się także pandemia i wszystko co wokół niej.

– Potrzeba informacji w sytuacji niepewności jest u ludzi bardzo duża. Rzecznik pełni rolę kluczowego ogniwa w komunikacji zewnętrznej, to stanowisko, dzięki któremu zarówno dziennikarze, jak i społeczność związana z uczelnią mają gwarancję skutecznej i profesjonalnej komunikacji, w której najważniejsi są odbiorcy i ich potrzeby – przekonuje Kiryjow-Radzka.

Nie zawsze jednak wszystko przebiegało według tej reguły. Dość przypomnieć szczepienia w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Poza kolejnością, jeszcze przed pracownikami ochrony zdrowia, zaszczepiło się tam grono stołecznych artystów. W ocenie specjalistów, z sytuacji tej uczelnia, jakby nie było instytucja zaufania publicznego, nie wyszła obronną ręką. Opisujący ten kryzys branżowy portal [www.proto.pl](http://www.proto.pl) zwraca uwagę, że wprawdzie pojawiły się oświadczenia, utworzono specjalną komisję, zorganizowano briefing, ale błędów po drodze zrobiono co niemiara. Fachowcy są zgodni co do tego, że zbyt późno dostrzeżono „potencjał” tej sprawy, w komunikacji rektora zabrakło precyzji, a każde kolejne wystąpienie tylko potęgowało chaos informacyjny. „To świetnie pokazuje, że nie wystarczy mieć wiedzę teoretyczną na temat PR-u kryzysowego, nie wystarczy znać narzędzia, trzeba jeszcze umieć ich trafnie użyć” – oceniła jedna z ekspertek.

## Hybryda pozostanie

Koronawirus pozostawił po sobie wiele śladów. Również od strony czysto technicznej. Gdy na kampusie UMCS zabrakło studentów, działania związane z komunikacją przeniesiono do sieci. Zaczęto realizować m.in. podcasty popularnonaukowe. Powstał cykl „Okiem eksperta”, dzięki któremu, mimo utrudnionego bezpośredniego kontaktu, komentarze naukowców wciąż pojawiały się w mediach. Zmianie uległy też formy przekazu treści wysyłanych dziennikarzom: dodawano zmontowane nagrania dźwiękowe czy wideo. Kiedyś nie do pomyslenia były autonagrania na dyktafon dla radia czy przez Sky-

pe'a dla telewizji, a następnie wysyłanie przez rzecznika gotowych plików do redakcji. Teraz stały się standardem.

– Hybryda weszła na stałe, nie ma od tego ucieczki, to zbyt wygodne i efektywne dla mediów – zauważa Paweł Śpiechowicz, od 2017 roku rzecznik Uniwersytetu Łódzkiego.

Dla świata akademickiego ten czas był nade wszystko okazją do pokazania potencjału naukowego. Zabiegano przecież nie tylko o głos wirusologów, biologów czy epidemiologów, ale i psychologów, socjologów, specjalistów od modeli matematycznych. O wiele większa niż dotąd ekspozycja uczelni w mediach, zwłaszcza na początku, była dla rzeczników egzaminem ze sprawności działania. Przyznają, że musieli przeformułować swoje dotychczasowe działania. Liczyła się już nie tylko szybkość reagowania na zaskakujące sytuacje, ale także zaproponowanie dziennikarzom atrakcyjnych tematów powiązanych z pandemią oraz ciekawie mówiących ekspertów. Szczególną rolę miały do odegrania uczelnie medyczne.

– Nie ukrywam, opanowanie komunikacji na pierwszej linii frontu było trudne. Dziennikarze dzwonili niemal non stop, a moim zadaniem było zadbanie, by pracownicy nieprzyzwyczajeni do występów w mediach odnaleźli się w nowej dla siebie sytuacji. Podpowiadałam, jak zaprezentować się przed kamerą, by korzystnie wyglądać, i jak mówić, by zostać zrozumianym przez odbiorców – wspomina Joanna Śliwińska z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

W takim gorącym czasie nikt nie podważał roli rzecznika. Kto niby miał go zastąpić? Jednak dekadę temu, gdy o pandemii nikt jeszcze nie myślał, Eryk Mistewicz, znany specjalista od strategii komunikacyjnych, postawił pytanie: po co nam rzecznik prasowy? Dla ścisłości wyjaśnijmy, że nie tyle chodziło mu o samą profesję jako taką, lecz o to, co się za nią kryje. Dowodził, że wobec zaniku kontrolnej roli mediów, pośrednicy, którzy stanowią bramkę między szefem, liderem, prezesem a dziennikarzami, swoje zadanie wypełnili i mogą odejść. Kończy się świat, w którym jedyną czynnością związaną z pełnioną funkcją jest odpowiadanie na pytania – wieszczęł z przekonaniem. I dodawał: uprawiający zawód rzecznika w zmieniającej się rzeczywistości staną się bardziej „organizatorami przestrzeni publicznej, akceleratorami debat, animatorami społeczności, wydawcami i redaktorami własnych kanałów opinii i informacji”. Nie pisał nic o uczelniach, ale z łatwością i do nich można było odnieść postawioną diagnozę. Nadchodząca nowa era komunikacji wymusiła retusz także rektorskich „ust”.

### Szybkość, dostęp, kreacja

To „wymyślanie się na nowo” na Uniwersytecie Łódzkim zainicjowano mniej więcej w połowie poprzedniej dekady, gdy wdrażano strategię marki uczelni. We współpracy z naukowcami stworzono bazę ekspertów, którzy mogą udzielać komentarzy w bieżących sprawach. Zaczęto pisać coraz więcej treści popularnonaukowych, co wiązało się z upraszczaniem języka naukowców czy wychwytywaniem wątków, które nie zawsze są dla badaczy istotne, zaś dla mediów owszem. Dokonano też zmian strukturalnych – wydzielono Biuro Prasowe, które rok temu zostało przeniesione na Multiportal UŁ.

– To element budowania jednolitego, bezpiecznego medium UniLodz. Ale oczywiście również sprawniejsza komunikacja, bo teraz wszyscy działamy w jednym systemie – newsy wydziałowe widzimy w podglądzie w „centrali” i możemy dodawać je na stronę główną z identyfikacją kolorystyczną konkretnych jednostek. Wydziały mogą robić na odwrót, jeśli dany news je interesuje. Biuro prasowe musi być elementem tej wymiany, bo to esencja naszej działalności – przekonuje P. Śpiechowicz.

I sięga od razu po statystyki: 52 733 publikacje, które dotarły łącznie do 714 mln czytelników, widzów, słuchaczy oraz inter-

nautów na całym świecie – to efekty aktywności medialnej naukowców UŁ w 2022 roku. Przełożenie tego na powierzchnię reklamową lub czas antenowy kosztowałoby ponad 224 mln zł! Z pewnością nie uzyskano by tego, czekając jedynie na inicjatywę dziennikarzy. Samodzielne produkowanie treści stało się chlebem powszednim w pracy rzecznika.

– Codziennie na naszej stronie „łąduje” przynajmniej jeden tekst, często więcej. Do tego dochodzą jeszcze posty w mediach społecznościowych. Sporą część tych informacji dystrybuujemy też do mediów, bo działalność uniwersytetów powinna być regularnie komunikowana otoczeniu. Żyjemy w czasach ogromnego strumienia informacji, fake newsów. Trzeba mieć swoją rzetelną treść, żeby w tym nie zginąć.

Na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie także stosują taktykę wyprzedzającą i sami podsuwają redakcjom ciekawe tematy, czy to na łamach „Wiadomości Uniwersyteckich”, na stronie internetowej, w podcastach, czy komentarzach eksperckich. Uzupełniają to tworzeniem profesjonalnych galerii zdjęć i nagrań wideo. O ograniczeniu się do komunikacji zewnętrznej, organizowania konferencji czy wysyłania komunikatów, dawno nie ma mowy. Samo komunikowanie, w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, to dziś po prostu za mało.

– Mówiąc wprost, kiedyś komunikacja była mniej złożona i nie tak bardzo związana z procesami zachodzącymi w sieci.



Rzecznik prasowy pełnił funkcję głównego łącznika między uczelnią a mediami i opinią publiczną, jednak zarówno rozwój technologii, jak i upowszechnienie mediów społecznościowych zmieniły naszą pracę i sposób działania. Obecnie liczy się przede wszystkim szybkość, z jaką informacja dotrze do odbiorcy i łatwy dostęp do niej, a rzecznik staje się swojego rodzaju jej twórcą i kreatorem – twierdzi Aneta Adamska, od 2015 roku rzeczniczka UMCS.

Wspomina, że kiedy cztery lata wcześniej rozpoczynała pracę na uczelni, zadania rzecznika obejmowały nie tylko zakres public i media relations, ale też kwestie czysto promocyjne i marketingowe. Zmiana w tym podejściu wynikała ze zrozumienia, jak dużą rolę odgrywa kreowanie pozytywnego wizerunku uczelni. W efekcie w 2020 roku stanowisko rzecznika wyodrębniono ze struktury Centrum Promocji, a do jego wsparcia zaangażowano cały sztab ludzi. Tylko w ub.r. liczba publikacji dotycząca lubelskiej uczelni sięgnęła 55 tysięcy, a liczbie osób, do których dotarły przekazy medialne, szacuje się na 485 milionów.

– Zmieniły się czasy, ludzie, ich potrzeby i my jako rzecznicy prasowi musimy wpisać się z naszymi działaniami w nową rzeczywistość, a tym samym znaleźć odpowiedni sposób na dotarcie do różnych grup odbiorców – przekonuje Adamska.

Pod jej słowami mogłaby się podpisać również rzeczniczka GUMed. Jak słyszę od niej, przed nastaniem obecnego rektora

nie prowadzono tam w pełni świadomej polityki komunikacyjnej. Wyznaczano do tego doraźnie pracowników (w tym 2 profesorów), dla których było to dodatkowe i wcale nie najważniejsze zadanie. Na powołanie rzecznika z prawdziwego zdarzenia zdecydował się dopiero prof. Marcin Gruchała w 2016 roku, mając zupełnie inną wizję tego, jak uczelnia powinna być zarządzana, również od strony wizerunkowej. Nastąpiło jej większe otwarcie na świat, więc i stanowisko rzecznika należało profesjonalizować. Ta rewolucyjna zmiana spotkała się z oporem, ale nie ze strony pracowników uczelni, lecz niektórych... dziennikarzy. Odzwyczajanie ich od wcześniejszych zasad trwało miesiącami. Ale i oni docenili w końcu, że jest się do kogo zwrócić i uzyskać pomoc.

– Nigdy nie byłam zwolennikiem jedynie odpowiadania na pytania. Od początku wiedziałam, że chcę też sama kreować wizerunek GUMed, pokazywać rzeczy nie zawsze oczywiste dla dziennikarzy, odsłaniać kulisy studiowania na uczelni medycznej i prowadzenia w niej badań. To było intuicyjne, bardziej czułam niż wiedziałam, że tak będzie dobrze – opowiada J. Śliwińska.

Jak wszędzie indziej z czasem otrzymała wsparcie. Utworzono specjalną Sekcję ds. Komunikacji. W dużych uniwersytetach od początku stawiano na wieloosobowe zespoły, w małych nie dostrzegano takiej potrzeby. I to właśnie one stały się w ostatnich latach jaskółkami strukturalnych zmian, ukazujących rosnące



Zdjęcie: pixabay

znaczenie wizerunku uczelni. Wiadomo, że to rzecznik będzie „dawał twarz”, ale przecież pracuje na niego cały sztab ludzi.

– Młodzi mają inne oczekiwania niż kiedyś. Dostosowując do nich swój przekaz, też musieliśmy go zmodyfikować. To już nie są zbyt rozbudowane wiadomości i bardziej obrazkowe niż tekstowe. Udoskonalamy krótsze treści, rozbite na więcej akapitów, żeby się je lepiej czytało, z zachęcającą grafiką. Coraz częściej zajmujemy się multimediami. Zamiast przygotowywać wiadomości prasowe, przygotowujemy krótkie filmiki czy podcasty – wskazuje rzeczniczka GUMed.

Od stycznia 2022 r. w mediach krajowych i zagranicznych uczelnia pojawiła się w blisko 13 tys. publikacji, których szacunkowa wartość to 31 mln zł. Do tego dochodzą publikacje o podmiotach leczniczych: pół tysiąca o Uniwersyteckim Centrum Medycyny Morskiej i Tropikalnej oraz 2 tys. o Uniwersyteckim Centrum Klinicznym. W sumie ekwiwalent medialny przekroczył 40 mln zł.

### Awers i rewers

Nie zmianę, ale prawdziwą rewolucję wywołały w pracy rzeczników media społecznościowe. To one, zdaniem A. Kiryrow-Radzkiej, wymusiły przejście od reaktywnej do proaktywnej strategii komunikacyjnej. Teraz, tworząc wartościowy content, trzeba mieć na uwadze nie tylko treść, ale także formaty, w których będzie on dystrybuowany.

– Ten sam temat może być wysłany do dziennikarzy w formie tekstu o potencjale gotowca do przedruku i zostać opublikowany w uczelnianych mediach – na www (szeroko), na Facebooku (skrótowo), na Instagramie (pięknie), na Twitterze (esen-cjonalnie), na YouTube (storytellingowo) – wskazuje.

I dodaje, że dzięki temu o najnowszych odkryciach naukowych, które prezentowano wcześniej w formie publikacji lub podczas konferencji, a zatem próg wejścia dla nie-ekspertów był bardzo wysoki, teraz dowiadujemy się, scrollując ekran smartfona. Co więcej, dzięki wielości platform i ich szczegółowej analityce można dziś precyzyjnie je targetować, budując zasięgi, zaangażowanie i zainteresowanie. Ale jest i rewers: wystarczy jeden niewłaściwy post czy komentarz, by wywołać burzę. W ub.r. głośno zrobiło się po wpisie (byłego już) rzecznika Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w jednej z internetowych dyskusji pisał o „robieeniu z płodów farszu do pierożków”.

– Współczesne technologie w sposób niezwykle szybki i niekontrolowany potrafią wywołać kryzys wizerunkowy. Tym niemniej obserwowanie dyskusji w mediach społecznościowych czy na forach internetowych wielokrotnie pozwoliło mi wyprzedzić nadchodzące problemy – przyznaje A. Adamska z UMCS.

W GUMed uznano, że niektóre media są istotne i za ich pomocą warto budować wizerunek uczelni. Z innych świadomie zrezygnowano, bo celem nie jest obecność wszędzie. Zostawiono je studentom, bo czy np. TikTok nadaje się na pewno do prowadzenia polityki komunikacyjnej uczelni?

W kontekście „socjali” ciekawy wydaje się aspekt utraty przez rzeczników monopolu na komunikowanie poza uczelnię. Teraz o tym, co się na niej dzieje, znacznie szybciej dowiedzieć się można z profili studentów, pracowników czy poszczególnych jednostek organizacyjnych.

– Rzeczywiście, zmieniające się trendy komunikacyjne nie sprzyjają tzw. monopolowi na newsa. Niemniej wieloletnie doświadczenie pracy na UMCS pozwoliło mi wypracować już określone zasady współdziałania i komunikacji w tym zakresie. Najprościej mówiąc, wiele osób rozumie, jak dużo może zyskać, powierzając mi do nagłośnienia swój sukces, wynalazek czy odkrycie. Robienie tego na „własną rękę” przekłada się na mniejszą promocję, a często wiąże się także z chaosem i póź-

niejszym prostowaniem informacji nieprawdziwych – zauważa A. Adamska.

Inaczej postrzega tę kwestię Paweł Śpiechowicz. Jego zdaniem w e-rzeczywistości nie da się wszystkiego koordynować i nie ma to też specjalnie sensu, bo nie do tego służą media społecznościowe. – Nasza rola polega przede wszystkim na doradzaniu najlepszych taktów w określonych sytuacjach. Nie zrobimy wszystkiego za wszystkich, ale wiemy, jak działać, aby cel komunikacji został osiągnięty i na takim doradztwie się skupiamy. Rzecznik jest tutaj rzeczywiście tylko jednym z doradzających i tak powinno być.

Daje się zauważyć jeszcze jedno novum. Rzecznicy stali się łącznikami między uczelnią a światem zewnętrznym, a dziennikarze zaledwie jednymi z wielu odbiorców ich działań. Na szczęście (chyba) wciąż najważniejszymi. Z racji pełnionych przez rektora GUMed funkcji, do J. Śliwińskiej zgłaszają się pracownicy jednostek samorządowych, przedstawiciele ministerstw, a nawet (z racji specyfiki uczelni) pacjenci. – Pytania są różne: od pomocy w dotarciu do specjalisty, po kwestię donacji zwłok.

Również nadal bardzo aktywna w sieci była rzeczniczka UW (ostatnie 2 lata w NCN) nie wyobraża sobie, by miała się komunikować jedynie z przedstawicielami mediów. Taka otwartość dla wielu interesariuszy kryje w sobie możliwość dodatkowego kanału dotarcia do instytucji, a przynajmniej zasygnalizowania problemu, z którym do końca nie wiadomo do kogo się zwrócić. A dla rzeczników?

– Nie jest przypadkiem, że w sumie nieliczni rzecznicy instytucji akademickich prowadzą swoje imienne konta na TT. Z własnej perspektywy mogę powiedzieć, że koszty osobiste takiego aktywnego uczestnictwa w przypadku instytucji narażonej na częste kryzysy, są bardzo duże. Nie każdy chce je ponieść – podsumowuje A. Korzekwa-Józefowicz.

Skoro jesteśmy przy ciemnej stronie zawodu, to nie można pominąć mniej chwalebnych praktyk, które obciążają sumienia uczelnianych rzeczników. O dzieleniu dziennikarzy na lepszych i gorszych, unikaniu kontaktów, pozostawianiu pytań bez odpowiedzi nie warto wspominać, bo to kompletne niezrozumienie funkcji, jaką się pełni. Część tych praktyk, nawet jeśli już wcześniej stosowano, to wydaje się, że nie na aż tak dużą skalę jak obecnie. Ale pandemia stała się łatwym usprawiedliwieniem dla rozszerzenia tego katalogu patologii. Czy ktoś np. wyobrażał sobie kiedyś łączenie tego stanowiska z jednoczesną współpracą z lokalnym medium?

Dalsze zmiany są nieuniknione. To w końcu jeden z tych zawodów, w których adaptacja do szybko zmieniających się reguł jest gwarancją sukcesu. Kreśląc scenariusz przyszłości, Anna Kiryrow-Radzka ma nadzieję, że budżety uczelni pozwolą na tworzenie proaktywnych rozwiązań komunikacyjnych, w których biura prasowe staną się agencjami inhouseowymi z prawdziwego zdarzenia, takimi, które wyszukują nowe tematy, kompleksowo je opracowują, ciekawie pakują i dystrybuują pod wszystkie dostępne formaty. Paweł Śpiechowicz zwraca uwagę na potrzebę zagospodarowania pokolenia Z. W zakresie komunikowania do urodzonych po 1995 roku jest jeszcze sporo do zrobienia. – W powijakach, mam wrażenie, że w całej Polsce, pozostaje też kwestia profesjonalnych influencerów współpracujących z uczelniami. Były już epizody, ale nikt jeszcze nie znalazł efektywnej, stałej formuły takiej komunikacji – wskazuje rzecznik UŁ.

Aneta Adamska zapowiada z kolei odchodzenie na dalszy plan tradycyjnych, dotychczas znanych media relations. Proces ten już się dzieje w wielu branżach i nie ominie także szkolnictwa wyższego. Nie zatrzymają go nawet przyszłoroczne wybory rektorskie, które – jak poprzednie – dla części rzeczników będą oznaczały zmianę pracy.

Rozmowa z prof. Michałem Jędrzejewskim

# Sensybilizm mruży oko

Sensybilizm może istnieć tak długo, jak długo istnieć będą wątpliwości.

**Studiował pan malarstwo w pracowni Eugeniusza Gepperta i Stanisława Pękalskiego oraz architekturę wnętrz u Władysława Winczego. Jak doświadczenia wyniesione z tych pracowni kształtowały pana jako artystę i projektanta?**

Profesorowie Geppert, Pękalski i Wincze jawią mi się jako sternicy, a w tle – morze zniszczeń, czyli Wrocław początku lat 50. Do głównego, w dużej części wypalonego budynku uczelni szło się ścieżką poprzez gruzy, do drugiego prowadziło coś pośredniego pomiędzy wózkiem a ceglany tunelem, natomiast w czasie mrozów optymalna droga z akademika do szkoły wiodła po zamrożonej Odrze. Moi Profesorowie zdawali się wysłannikami innej rzeczywistości, takiej sprzed II wojny światowej, a nawet sprzed pierwszej. Szczególnie Eugeniusz Geppert, urodzony w 1890 roku uczeń Jacka Malczewskiego, związany z parysko-krakowskim nurtem kolorystyki. Profesor Geppert dbał o wysoki poziom rysunku, znajomość technik malarstwa rzemiosła, a nade wszystko rozbudzał wrażliwość kolorystyczną. Z kolei prof. Pękalski, absolwent warszawskiej ASP, a ponadto muzyk grający kwartety smyczkowe z profesorami uczelni muzycznej, prowadził przedmiot malarstwo w architekturze. Pod jego kierunkiem powstawały sgraffita, mozaiki i projekty ściennych kompozycji ceramicznych. Na pierwszym roku mieliśmy z nim znakomite zajęcia z perspektywy odręźnej oraz kompozycji brył i płaszczyzn.

**Studia na architekturze wnętrz rozpoczął pan równolegle z malarstwem?**

Nabór na architekturę wnętrz został przywrócony, gdy byłem na piątym roku. Rektor Dawski, do którego udałem się prosić o zgodę na drugi kierunek, powiedział: „Wariat jesteś, że studiowania dwóch kierunków nic nie wyjdzie”, ale w końcu zgodził się. Trafiłem wówczas do pracowni prof. Winczego, znakomitego artysty designera i pedagoga. Wielką wystawę jego mebli oraz projektów wnętrz prezentowało nie tak dawno wrocławskie Muzeum Architektury. Wincze od lat 30. związany był z „Ładem”, polską odmianą Art Deco, ale niezmiennie pozostawał otwarty na propozycje odmiennych rozwiązań formalnych. Zachęcał do nowatorskich poszukiwań, uczył nas śmiałości a zarazem rozważnego podejmowania decyzji designerskich. Pełniąc przez 20 lat funkcję dziekana, przeprowadził Wydział Architektury wnętrz przez rafa socrealizmu. Dbał o wszechstronność, zajęcia związane z projektowaniem graficznym spowodowały, że absolwenci Architektury wnętrz – m.in. Tadeusz

Ciałowicz i Ryszard Gachowski – stali się autorami wielu świetnych plakatów. Inni absolwenci wydziału zaistnieli jako twórcy rozwiązań wystawienniczych, metaloplastycy, projektanci zabawek, autorzy malarstw ściennych, scenografowie i designerzy różnych specjalności. Jeden z uczniów Winczego, Józef Chierowski, zaprojektował produkowany później w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy hotel „366”, a inny absolwent, Edward Gańcza, wprowadził do produkcji około dwustu mebli.

**Czasy socrealizmu odcisnęły wyraźne piętno na wrocławskiej uczelni?**

Muszę zaznaczyć, że Wrocław przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku był nie tylko polem gruzów. Działo tu siedem uczelni (w tym dwie artystyczne), pięć teatrów, ruszyła wytwórnia filmowa, a od 1947 roku rozgłośnia Polskiego Radia. Na Wystawie Ziem Odzyskanych w 1948 roku zaprezentowano dzieła wybitnych artystów i architektów: Dunikowskiego, Cybisa, Kowarskiego, Zameczników, Hempla, Leykama i wielu innych. W tym samym roku odbył się Kongres Intelktualistów, w czasie którego uczelnię odwiedzali Pablo Picasso i Fernand Léger. Oficjalnie socrealizm zadekretowano w 1949 roku, jednak na początku nie czuło się wyraźnej presji – z Warszawy do Wrocławia pociągiem osobowym jechało się dziesięć godzin i mało który urzędnik chciał się zapuszczać w te strony. Wrocławską PWSSP kształciła niezwykle grupę studentów, ludzi w różnym wieku, pochodzących z różnych stron i posiadających najprzeróżniejsze doświadczenia życiowe: repatriantów z Kazachstanu i innych republik radzieckich, byłych żołnierzy gen. Maczka, I i II Armii WP, akowców, lwowiaków, kresowiaków, poznaniaków, repatriantów z Francji, autochtonów z Opolszczyzny, wreszcie osiemnastoletnich maturzystów i maturzystki z Łodzi, Białegostoku lub Zakopanego, a nawet Greków od gen. Marcosa czy studiujących od połowy lat 50. Chińczyków.

Jeszcze w latach 40. ministerstwo uznało, że tylko akademie w Warszawie i Krakowie mogą prowadzić wszystkie kierunki studiów, pozostałe uczelnie plastyczne muszą być sprofilowane. Wrocławskiej PWSSP przydzielono ceramikę, szkło i architekturę wnętrz. Profesorowie zdawali sobie sprawę, że potrzeby kształcenia są szersze, ale z ministerstwem nie można było dyskutować. Wpadli więc na genialny pomysł, aby do wydziału ceramiki przypisać katedry malarstwa i rzeźby, a do szkła grafikę. „Ceramika” i „Szkło” nie wzbudzały podejrzeń ministerialnych urzędników, więc kontrole nie zdarzały się często.

### Po pewnym czasie, jak pan wspominał, ministerstwo zawiesiło nabór na architekturę wnętrz.

Prof. Władysław Wincze pojechał kiedyś do Warszawy na naradę w sprawie aktualnych tendencji w projektowaniu wnętrz. Lektor z KC prezentował slajdy przedstawiające najnowsze realizacje radzieckie zgodne z tradycjami rosyjskiego empiru. Później wiceminister, który prowadził naradę, zaproponował dyskusję. Prof. Wincze opowiadał nam, że nie wie, co go podkusiło, ale zaczął wyjaśniać genezę empiru w wydaniu radzieckim. Otóż wojska rosyjskie w pościgu za Napoleonem dotarły do Paryża. Oficerowie zabrali w taborach empirowe meble i w swoich majątkach dali do kopiowania pańszczyźnianym stolarzom. Tak powstał rosyjski empir, nieco masywniejszy od francuskiego. Oczywiście mówiąc o empirze, można sięgnąć jeszcze głębiej – do wzorców rzymskich albo egipskich. Widać było, że lektor zupełnie nie wie, o co chodzi, natomiast wiceminister natychmiast przerwał ośm. Po trzech tygodniach do wrocławskiej PWSSP przyszło pismo o wstrzymaniu naboru na architekturę wnętrz, a prof. Wincze musiał przenieść się do Poznania. Rektorowi Dawskiemu udało się przywrócić architekturę wnętrz dopiero po październiku '56, gdy w Warszawie urzędował już nowy minister.

### Burzliwe czasy. A jak radził sobie pierwszy rektor, prof. Eugeniusz Geppert?

Profesor Geppert uruchamiał uczelnię w skrajnie „frontowych” warunkach, mieszkając początkowo w uczelnianym w sekretariacie. Po czterech latach (1946-1950) PWSSP była już placówką stabilną, działającą w dwóch stopniowo odbudowywanych obiektach. Geppert był potężnym facetem – 190 centymetrów wzrostu – i wzbudzał respekt. On nie chodził, tylko kroczył. Podobnie zresztą jak Wincze, który ukończył podchorążówkę artylerii konnej i poruszał się krokiem kawalerzysty. Po ogłoszeniu doktryny socrealizmu na uczelni pojawiła się grupa studentów – aktywistów. Pamiętam kolegę domagającego się, aby w pracowni realizować pryncypia socrealizmu, czyli uprawiać sztukę narodową w formie a socjalistyczną w tre-

ści. Geppert wysłuchał go i odpowiedział mu basem: „Proszę pana, ja pana muszę zmartwić, ale pańskie malarstwo to nie jest żaden realizm, to jest postimpresjonizm”. Ten natychmiast zamilkł. Prof. Geppert przestał być rektorem po tym, jak skrytykował wystawę malarzy-amatorów, na którą został zaproszony. Obrazy przedstawiały jakieś fabryki i przodowników pracy. Geppert popatrzył i powiedział: „To jest do czorta niepodobne”. W rezultacie odwołano go z funkcji, którą objął po nim Stanisław Dawski. Na szczęście mógł pozostać na uczelni. Geppert często wyjeżdżał z nami na plenery albo je wizytował. Gdy przyjechał do Lwówka, wypożyczyliśmy osiołka. Wsiadł na niego i w towarzystwie przebiezańców przejechał przez całe miasteczko. Innym razem w Paczkowie wymalowali się wszyscy farbami i wyszliśmy powitać go na peronie. Skutek był taki, że przez trzy dni nie mogłem zmyć błękitu pruskiego z twarzy.

### Dużo koloru w tej szarej rzeczywistości. A Milicja Obywatelska nie interweniowała?

Oni już byli trochę przetrenowani przez filmowców, którzy przyjeżdżali do Paczkowa na zdjęcia plenerowe.

### Jak pan wspomina profesora Stanisława Dawskiego?

Prof. Stanisław Dawski wywodził się z warszawskiej ASP, był grafikiem, trochę też malował, budząc uznanie znawców, m.in. prof. Karola Estreichera. W uczelni pamiętany jest również jako główny twórca Katedry Szkoła. Był świetnym pedagogiem, potrafił lapidarnie, w trzech zdaniach, wyrazić istotę spawy. Miałem z nim taką historię: na plenerze zaczynam coś malować, zastanawiam się nad konwencją, to był okres tych różnych „izmów”, po socrealizmie. W pewnym momencie Dawski stanął za mną i nagle słyszę jego głos: „Ty nie kombinuj, ty to po prostu namaluj”. Odwracam się, a on już sobie poszedł. Trafił w samo sedno.

Powiem jeszcze taką dygresję: początkowo nie wszyscy artyści, z którymi mieliśmy zajęcia, posiadali oficjalne dyplomy ukończenia studiów. Rodzice opowiadali mi, że przed wojną profesorowie ASP, gdy uznali, że student jest już wystarcza-



jąco wykształcony, aby podjąć samodzielną działalność, organizowali uroczystość w pracowni, na której wręczano mu pergaminowy dyplom z lakową pieczęcią i podpisem prowadzącego. Ci studenci, którzy przewidywali pracę w szkole czy jakiejś instytucji, robili dodatkowo formalny dyplom państwowy, reszta uważała, że są artystami i żaden kolejny papier nie jest im potrzebny. Po wojnie to się zmieniło. Na początku sierpnia '55 wróciłem właśnie z pleneru, zaglądam na dziedzińiec szkolny i widzę, że pan Stefańczuk (legendarny administrator, który znał się na wszystkich problemach technicznych, w tym na kolorowych tynkach) nakłada kolejną warstwę tynku na ścianę budynku sztukatorni. Mówię: „Panie Stefańczuk, co pan robi?”. On na to: „Dyplomy będą”. „Panie Stefańczuk, dyplomy to były w czerwcu”. A on na to: „Dyplomy, ale nie wasze. Dyplomy będą robić wasze profesory”. Jednak nie wszyscy chcieli się poddać takiej weryfikacji, niektórzy wykładowcy woleli zrezygnować z pracy.

Z rektorem Dawskim nie miałem formalnych zajęć. Mieliśmy na uczelni wysoce niezależne koło naukowe, któremu Dawski kibicował i przychodził z Geppertem na spotkania. Zdarzyło się, że wymyśliłmy, aby w czasie wystawy prowadzić dyskusję, siedząc na drabinach, co spodobało się naszym profesorom. W pewnym momencie któryś z dyskutantów skrytykował mój obrazek. Broniąc się powiedziałem, że namalowałem go dla żartu. Na drugi dzień Dawski zatrzymuje mnie na korytarzu. „Pamiętaj – mów – że nie liczą się motywy, tylko rezultat. Gdyby okazało się, że faraon postawił piramidy dla żartu, to one i tak są piramidami”.

### Żywa atmosfera tych wzajemnych relacji... Czy przełom roku '56 i upadek socrealizmu zaznaczyły się wyraźnie w życiu uczelni?

We wrocławskiej PWSSP już wcześniej istniała enklawa wolności. Któregoś dnia jesienią '56 dzwoni do mnie kolega: „Słuchaj, pod politechniką jest jakiś wiec”. Poszliśmy. Tymczasem – jak się okazało – na tarasie koło przystani zebrała się grupa akty-



Prof. **Michał Jędrzejewski** (ur. w 1934 w Łodzi), scenograf teatralny i telewizyjny, malarz, grafik, pedagog, zajmował się także architekturą wnętrz i projektami wystawienniczymi. Zaprojektował ok. 60 scenografii dla Teatru Telewizji i ponad 50 na scenach dramatycznych. Prezentował malarstwo i rysunek, brał udział w wielu wystawach ogólnopolskich oraz zagranicznych. Od 1967 r. zajmuje się pracą pedagogiczną. Pełnił funkcję dziekana Wydziału Architektury Wnętrz i Wzornictwa wrocławskiej PWSSP (obecnie ASP), prorektora, a w latach 1984–1990 był rektorem uczelni. Współorganizator kierunku kształcenia scenografów. Prowadził również wykłady we wrocławskiej filii Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie. W latach 1991–1996 ekspert, a następnie (1996–2002) członek Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego. Od 2002 ekspert PKA i Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów.





wistów ZMP. Akurat ktoś wykrzykiwał, że ZMP nie dorosło do swojej roli i trzeba utworzyć nowy, prawdziwie ideowy związek młodzieży komunistycznej. Aktywiści zaopatrzeni w pochodnie ruszyli w stronę rynku, a przechodnie, widząc tłum z pochodniami, zaczęli do nich dołączać. Pochód przeszedł przez Most Grunwaldzki i siedł dalej w kierunku poczty, gdzie stało urządzenie zagłuszające zachodnie radiostacje. Tłum zaczyna skandować: „Zerwać te druty!”. Potem słychać okrzyki: „Bolszewicy precz z Legnicy!”, „Uwolnić Wyszyńskiego!”, „Rokossowski zjeżdżaj z Polski!”.

### Wspaniały teatr absurdu.

Dołączają kolejni przechodnie, tłum wchodzi w ulicę Świdnicką – wówczas Stalingradzką – ktoś zamazuje nazwę, inni na migi pokazują ekspedientom, żeby wyrzucili z okien wystawowych portrety (zamiast towarów eksponowano zdjęcia Bieruta, Rokossowskiego i Cyrankiewicza). Ekspedient chwytą Cyrankiewicza, a z tłumu padają okrzyki: „Tego nie, tego zostawić” (Cyrankiewicz był wówczas w obozie Gomułki).

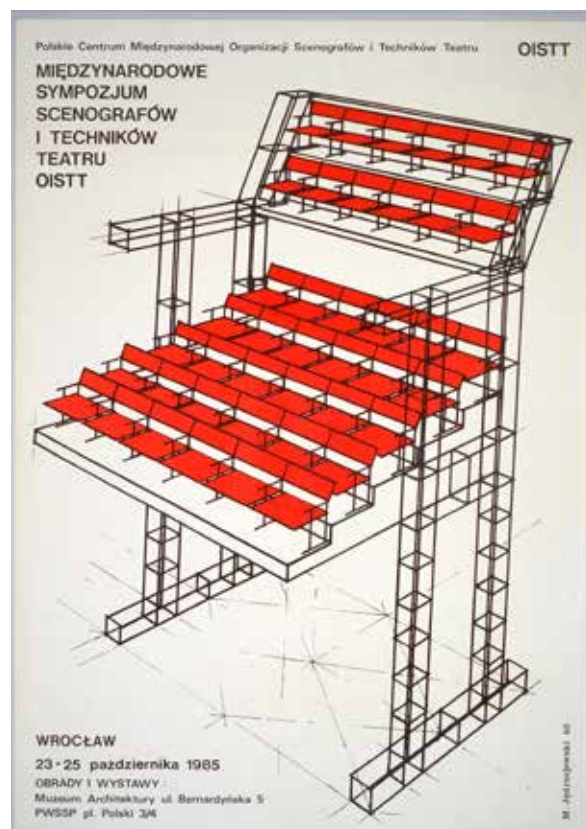
### Nieprzypadkowo Pomarańczowa Alternatywa narodziła się właśnie we Wrocławiu.

Tłum doszedł do siedziby TPPR-u, porozbijał gabloty, ale potem się rozszedł. Później na cały Wrocław emitowano przez głośniki przemówienie Gomułki o błędach i wypaczeniach. Na uczelni powstał komitet rewolucyjny, popierający Gomułkę, ZMP gdzieś zniknęło. Dochodziły wieści z Węgier, organizowano zbiórki dla ofiar, ulicę Józefa Stalina przemianowano na Bohaterów Węgierskich. Wydawało się, że panuje zupełna swoboda, że cenzura przestała działać. Do czasu.

### Jest pan autorem wielu scenografii telewizyjnych i teatralnych, z tą dziedziną wiąże pana także tradycje rodzinne. Od kiedy osobiście zainteresował się pan scenografią?

Nie miałem okazji studiować scenografii we wrocławskiej PWSSP, gdyż uczelnia nie prowadziła tego kierunku. Natomiast w kawiarence studenckiej odbywały się improwizowane występy tworzącego się Studenckiego Teatru Satyryków

„Ponuracy”, do którego wraz z kolegą Wiesławem Zajączkowskim zaczęliśmy projektować scenografię. Na pierwszy spektakl przyszedł Zdzisław Grywałd, dyrektor Teatru Polskiego. Spodobało mu się: „W poniedziałek w teatrze nie ma spektakli – powiedział. – Chcecie, to dam wam dużą scenę”. Premiera w teatrze odbyła się w maju '55. Spektakl składał się z różnych scenek. Byłem autorem jednej z nich. Z pożyczonych piętrowych łóżek zaaranżowaliśmy pokój w akademiku. Wchodził do niego kolega, aby zwrócić wiaderko z szufelką. Zostawiał je w powie-



trzu (były podwieszane na żyłkach), mówił: „Coś tu duszno” i otwierał okno. W tym momencie wiaderko i szufelka spadały na podłogę, przestrzeń wypełniał odtwarzany z magnetofonu jazz (do niedawna ściśle zabroniony), a studenci, gnąc się w takt muzyki, zrywali się z łóżek. Później była jeszcze akcja-spektakl *Teatr sensybilistyczny – nie wolno robić z publiczności balona* we wrocławskim Teatrze Kameralnym i współpraca z Teatrem Kalambur. Po studiach miałem przerwę w tworzeniu scenografii. W 1960 roku wygrałem konkurs na plakat i miałem serie podobnych zamówień oraz współuczestniczyłem w konkursach architektonicznych. W 1965 otrzymałem zaproszenie do realizacji scenografii telewizyjnej i... wsiąknę. Przez dwanaście lat byłem związany z telewizją, realizowaliśmy m.in. spektakle Teatru Telewizji, początkowo emitowane na żywo, potem nagrywane na magnetowid. Od 1974 roku zacząłem ponownie projektować wiele scenografii dla polskich teatrów.

### Co jest dla pana szczególnie istotne przy projektowaniu scenografii?

Według mojej własnej definicji scenografia to budowla na zaprawie z wyobraźni. Granice możliwych i stosowanych rozwiązań są tu bardzo szerokie. Jest zawsze jednym z elementów przedstawienia i powinna współgrać z tym, co dzieje się na scenie czy w filmowym kadrze. Jak twierdził mój przyjaciel, nie ma dobrej scenografii do złego przedstawienia ani złej scenografii do świetnego spektaklu. To są składowe współzależne. W moim przypadku studia malarskie i z zakresu architektury wewnątrz okazały się bardzo przydatne w projektowaniu scenografii. Jednocześnie wiedza scenografa musi się nieustannie poszerzać. Scenograf musi wiedzieć, jak wyglądała karetta cesarza Franciszka Józefa, dystynkcje włoskiego sierżanta w czasie bitwy pod Isonzo, zwierciadło z okresu ptolemejskiego, suknia z brokatu Mahmeda II i wiele innych podobnych rzeczy. Lub przynajmniej musi wiedzieć, jak do takiej wiedzy dotrzeć. Zarazem musi umieć wymyślać rzeczywistości nieistniejące,

a nawet kreować pustkę lub jej rozliczne przeciwieństwa. Scenografia ma jeszcze jedną funkcję – tworzy plastyczny znak przedstawienia, zapewniający spektaklowi należne miejsce w dziejach teatru.

### Jak sądzę, jesteśmy już bliscy poetyki sensybilistycznej. A właśnie, czy w obecnej rzeczywistości znajdzie się miejsce dla sensybilizmu?

Zacznę od wydarzeń sprzed lat. Jest listopad 1952 roku. Do pokoju DS wrocławskiej PWSSP, w którym siedzą nad notatkami z wykładów anatomii plastycznej dwaj studenci pierwszego roku, Wiesław Zajączkowski i Michał Jędrzejewski, wchodzi student III roku Kazimierz Głaz i rozwija tematykę zgłębianego przedmiotu, sypiąc terminologią polską i łacińską. Nagle pierwszorocznicy wyrażają obawę, że jedna z wymienionych przez niego kości nie istnieje. Na co Głaz: „Macie rację. Słuchając też trzeba myśleć. Sensybilizm zaistnieje dopiero za kilka lat, ale fundamenty dociekliwości już położono”. Teatr Sensybilistyczny, uważany za pierwszy happening w naszym kraju, zostanie zrealizowany w maju 1957 (z udziałem m.in. trzech wymienionych dyskutantów) i w tym też miesiącu Kazimierz Głaz przedstawi Manifest Sensybilistyczny (rozlepiany wkrótce podczas pleneru w Kazimierzu Dolnym). Manifest ten wyjaśniał, że: „Sensybilizm zrodził się z poszukiwań formalnych dla wyrażenia coraz to nowych treści naszego życia”. Sensybilizm może istnieć tak długo, jak istnieć będą wątpliwości. W ujęciu sensybilistycznej geometrii primordialnej (prim ordium – pochodzenie, początek) „Sensybilizm to linia prosta łącząca wszystkie punkty wszechświata”, trwa więc tak długo, jak długo trwają dzieje. Sensybilizm mruży raz jedno oko, raz drugie. Posługuje się różnymi mediami, formami i technikami oddziaływania. Raduje autorów i zazwyczaj obserwatorów sensybilistycznych wydarzeń.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



### Badania nad wiekiem

Coraz częściej zarówno media, jak i różni eksperci zwracają uwagę na fakt starzenia się społeczeństw. Jako iż tematyka związana z obszarem podeszłego wieku jest niezwykle złożona, naukowcy zajmujący się eksploracją procesu starzenia zauważyli, że konieczne jest dokonanie analizy fundamentów metodologicznych badań. Temu właśnie służył międzynarodowy projekt Global Ageing Research Partnership (GARP), który był realizowany przez konsorcjum składające się z ośrodków akademickich całego świata z Uniwersytetem Papieskim Jana Pawła II w Krakowie występującym w roli lidera. Celem tego przedsięwzięcia było rozpoczęcie przez przedstawicieli reprezentujących szerokie grono specja-



listów refleksji nad standardami i procedurami, a także procesami badań nad starością. Co ważne, GARP został zsięciowany z International Longevity Centre, jedną z największych na świecie organizacji zajmujących się procesem starzenia.

W efekcie pracy konsorcjum powstały publikacje naukowe, które ukazały się na łamach wysokopunktowanych i prestiżowych wydawnictw. W wyniku prowadzonej aktywności powstało ponadto pięć raportów na temat badań nad starzeniem się. Stworzono także kompendium dotyczące tworzenia grantów. Dodatkowo uruchomiono aplikację grantową dostępną w języku polskim i angielskim oraz zorganizowano dla uczestników warsztaty metodologiczne, webinaria i spotkania robocze, a także szereg szkoleń na temat analizy danych podłużnych i obsługi programu.

Więcej informacji na temat całego przedsięwzięcia znaleźć można się w biuletynie informacyjnym „Vita Academica” (nr 1-2/2022).

### Krótki przegląd wydarzeń

Czas podsumowań zazwyczaj nadchodzi z początkiem nowego roku. Wynika to z faktu, że kończący się okres wywołuje potrzebę dokonania analiz tego, co się wydarzyło w przeszłości. Refleksjami o minionym czasie, a także przemyśleniami na temat najbliższych perspektyw podzielił się z „Życiem Uczelni” (nr 162/2022), biuletynem informacyjnym Politechniki Łódzkiej, prof. dr hab. inż. Krzysztof Józwik, rektor PŁ.



Za najważniejszą rzecz, która miała miejsce w ubiegłym roku, rozmówca uznał ewaluację naukową uczelni. Jak podkreślił, tego rodzaju ocena jest dlatego tak istotna, że to od jej wyniku zależy kształt dnia jutrzejszego PŁ. W zestawieniu spraw o wyjątkowym znaczeniu nie zabrakło miejsca na wspomnienie

sukcesu, jakim była organizacja Europejskich Igrzysk Akademickich. Łódzka uczelnia, chociaż sama nie ma żadnego kierunku związanego ze sportem, wywiązała się z roli gospodarza zawodów, podkreśla prof. Józwik, w sposób perfekcyjny. Dumą napawa interlokutora także fakt, że PŁ znajduje się w czołówce polskich szkół wyższych, jeśli chodzi o skuteczność naukowców w pozyskiwaniu projektów z programu Horyzont Europa. Przyszłość, jego zdaniem, wymagać będzie dalszej dbałości o aktywny rozwój w nauce. Chodzi o to, by ciągle zwiększać liczbę i podnosić jakość publikacji, a także zabiegać o współpracę z otoczeniem zewnętrznym. W celu ułatwienia działania badaczom i badaczkom uczelnia planuje uruchomienie centrum wspomagania nauki. Starania będą szły także w kierunku pozyskania międzynarodowych akredytacji oraz kontynuowania rozpoczętych projektów.

Oczywiście wszystko odbywać się będzie w korelacji z utrzymaniem właściwego poziomu finansów uczelni. Te ostatnie zostały bowiem mocno nadwerżone przez wydarzenia ostatniego roku, który przyniósł destabilizację cen energii i zawrota na rynku inwestycji.

### Idealy naprawdę istnieją

Wiele osób chciałoby mieć świetną pracę. Niewielu jednak udaje się spełnić podobne marzenie. O tym, że można to zmienić przekazuje „Gazeta Uczelniana” (nr 1/2023) Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. Trzeba tylko skorzystać ze ścieżki naukowej, jaką jest doktorat



wdrożeniowy. Jego wyjątkowa atrakcyjność polega na optymalnym połączeniu wszystkich zaangażowanych stron. Korzyści bowiem odnosi w tym przypadku zarówno uczelnia, jak i doktorant, który dzięki przygotowaniu rozprawy mającej doprowadzić do usprawnienia funkcjonowania przedsiębiorstwa może liczyć na zatrudnienie i wreszcie sama firma otrzymująca bonus w postaci koncepcji rozwiązania konkretnego

problemu technologicznego.

„Główną ideą wprowadzenia doktoratów wdrożeniowych jest tworzenie warunków do rozwoju współpracy uczelni z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Z założenia ma to zbliżyć naukę do realiów gospodarki i znaleźć praktyczne zastosowanie pomysłów, które są tematami pracy doktorskiej”, czytamy. A jak to wygląda na co dzień? Otóż na UMW realizowane są cztery tego typu rozwiązania, trzy z nich w ramach współpracy z Siecią Badawczą Łukasiewicz – PORT Polskim Ośrodkiem Rozwoju Technologii. Koordynowaniem całego planu zajmuje się w uczelni ze stolicy Dolnego Śląska Szkoła Doktorska i Centrum Zarządzania Projektami.

Trzeba zaznaczyć, że taka ścieżka rozwoju naukowego ma też jeszcze jeden niezaprzeczalny atut, mianowicie doktorant może liczyć na wypłatę wynagrodzenia z dwóch różnych źródeł. Wygląda więc na to, że rzeczywiście mamy do czynienia z rozwiązaniem idealnym.

Aneta Zawadzka

Marek Misiak

# Powrót do pisma obrazkowego?

W ciągu ostatnich kilku lat niektóre czasopisma naukowe zaczęły wymagać, aby nadsyłanym artykułom towarzyszyły abstrakty nie tylko tekstowe, ale i graficzne. Czym są te drugie i jaki jest ich cel?

Wielu autorów jest takim wymogiem zaskoczonych i ponieważ tylko pewna część czasopism wymaga dostarczenia tego typu materiałów, mogą w pierwszej chwili czuć się zagubieni, a nawet bezradni, jeśli nigdy wcześniej nie musieli czegoś takiego przygotowywać. W tytułach, dla których pracuję, taki obowiązek wprowadzono od początku tego roku i z moich dotychczasowych obserwacji wynika, że mniej więcej co dziesiąty autor lub grupa autorów w ogóle nie jest w stanie spełnić tego wymogu, a kolejnych 20–30% nadsyłanych abstraktów graficznych nie spełnia podstawowych przyjętych w czasopismach naukowych wymogów, czy to merytorycznych, czy technicznych. Dlatego chciałbym sformułować kilka porad dla autorów, sam też uczę się tego zagadnienia i chciałbym podzielić się tym, czego już się nauczyłem.

Celem abstraktu graficznego jest syntetyczne przedstawienie treści artykułu, zatem wielu autorów zetknęło się już z podobną formą prezentacji wyników badań, gdyż podobnymi zasadami rządzą się postery wystawiane na konferencjach naukowych. Abstrakt graficzny jest jednak mniej skomplikowany, gdyż musi być czytelny na ekranie bez powiększania go. Co ważne: nikt nie wymaga, aby zawierał on wyrefinowaną wizualnie grafikę czy miał złożony (np. spiralny) układ prezentacji treści. Abstrakt graficzny ma za pomocą połączenia obrazów i słów dać pojęcie, o czym jest tekst, aby potencjalny czytelnik jednym rzutem oka mógł tę treść ogarnąć i podjąć decyzję, czy chce przeczytać abstrakt tekstowy i cały artykuł. Warto zatem starannie opracować ten element manuskryptu, gdyż niektórzy odbiorcy są wzrokowcami i gdy zobaczą abstrakt graficzny, to właśnie na niego spojrzą najpierw. Treściwy, a jednocześnie przyciągający uwagę abstrakt zwiększy liczbę osób, które artykuł przeczytają, a być może także zacytują. Dlatego właśnie coraz więcej czasopism naukowych wymaga takich abstraktów, robią to także w interesie autorów, a nie tylko dla poszerzenia liczby czytelników danego periodyku.

Redakcje niektórych czasopism oczekują, że abstrakty graficzne będą towarzyszyć wszystkim zgłaszanym do nich manuskryptom; zdarza się jednak i tak, że wymóg ten pojawia się lub jest egzekwowany dopiero gdy dany artykuł zostanie przyjęty do druku. Ponieważ między przyjęciem pracy do publikacji a jej opublikowaniem mija trochę czasu (potrzebnego przede

wszystkim na przygotowanie umów licencyjnych/wydawniczych, redakcję językową i korektę autorską), nigdy nie jest tak, że na opracowanie tego rodzaju abstraktu jest tylko kilka dni (jak na korektę autorską). W niektórych periodykach abstrakty graficzne umieszczane są nawet w wersji drukowanej (jeśli taka jest jeszcze wydawana), w innych tylko w wersji elektronicznej (a jeśli artykuły udostępniane są zarówno jako pliki PDF, jak i HTML, bywa, że tylko w tej drugiej wersji, gdyż jest to najprostsze technicznie i najłatwiej umożliwić wtedy czytelnikowi ściągnięcie abstraktu graficznego jako osobnego pliku i ewentualne powiększenie go).

## Początek i koniec

Nie ma jednego wzorca abstraktu graficznego. Redaktor może podsuwać autorowi przykłady znakomicie pomyślanych projektów, ale niestety wcale nie jest powiedziane, że dana koncepcja będzie się dała zastosować do artykułu na zupełnie inny temat, a nawet na podobny, ale ujmującego zagadnienie w inny sposób. Najbardziej ogólne zasady dotyczą kierunku, w jakim czytelnik nawiguje po abstrakcie – powinien móc ogarnąć go jednym rzutem, ale potem jego oko musi odnaleźć jakiś początek i podążać do jakiegoś zakończenia. Jeśli abstrakt ma bardziej skomplikowany układ przestrzenny, warto zadbać o to, by było wiadomo, od którego do którego miejsca należy go czytać, bo przy dużej liczbie elementów może nie być to intuicyjnie jasne. Abstrakt graficzny musi mieć poziomą, a nie pionową orientację, tj. być przeznaczonym do czytania od lewej do prawej, dookoła lub w 2–3 kolumnach, a nie w jednej kolumnie od góry do dołu. Istnieją też bardziej złożone kompozycje, np. spiralne lub czytane na przemian od lewej do prawej i od prawej do lewej, jak w niektórych grafach planszowych, ale trzeba umieć się nimi posłużyć. Można też zdecydować się na układ z początkiem, ale bez końca – promienisty, w którym ze środka z najważniejszą treścią wychodzi kilka (lepiej nie kilkanaście) „promieni”. Niektórzy badacze z krajów Dalekiego Wschodu, gdzie używa się alfabetów ideograficznych (Chiny, Japonia, Korea Południowa) wzorują się na tamtejszej prasie codziennej lub chińskich daizibao (dosł. gazetach wielkich znaków – różnie kaligrafowanych gazetkach ściennych), gdzie płaszczyzna obej-

muje zmiennej wielkości pola z tekstem, z których jedno czytane są poziomo, inne pionowo, a rozdzielają je ilustracje.

Liczbę poszczególnych elementów graficznych warto zredukować do minimum przy zachowaniu komunikatywności, efektywność jest tu zdecydowanie ważniejsza niż efektowność. Nie jest błędem umieszczanie w ramach abstraktu graficznego ilustracji o żartobliwym charakterze (taki abstrakt na pewno zapadnie w pamięć), ale rysunków lub zdjęć czysto dekoracyjnych lepiej się wystrzegać. Istotne jest, aby w miarę możliwości obrazy i słowa pozostawały w równowadze i wzajemnie się dopełniały. Same grafiki bez żadnego opisu mogą być niezrozumiałe dla osoby nieznającej treści artykułu, a abstraktowi graficznemu zazwyczaj nie towarzyszą żadne dodatkowe elementy, jedynie tytuł tekstu. Nadmiar tekstu na takim abstrakcie sprawi zaś, że jego odbiór będzie męczący, a sam abstrakt nie przyciągnie uwagi. Niektórzy autorzy starają się umieścić na abstrakcie graficznym jak najwięcej tekstu. Bywa, że przybiera on wówczas formę tekstu z obrazkami, a nie graficznego przedstawienia treści artykułu, co przeczy samej idei abstraktu graficznego. Tymczasem taki abstrakt ma po prostu ograniczone rozmiary, musi dać się ogarnąć jednym rzutem oka i wyświetlić cały na monitorze. Nie może być zatem tak skomplikowany, jak niektóre konferencyjne prezentacje posterowe. Bywa jednak, że autorzy, zamiast zredukować liczbę elementów kompozycji, po prostu je pomniejszają. Tymczasem stopień pisma mniejszy niż 12 punk-

tów będzie nieczytelny na ekranie albo będzie wymagał powiększenia przez czytelnika poszczególnych elementów abstraktu, co sprawi, że z kolei całościowy układ kompozycji stanie się dla niego nieczytelny. Często problemem jest stosowanie na niewielkiej przestrzeni kilku stopni (wielkości), krojów (czcionek) i kolorów pisma. Ma to najczęściej odróżniać od siebie poszczególne elementy tekstowe lub wyróżniać niektóre z nich, ale skutkuje wyłącznie wizualnym chaosem obniżającym ogólną czytelność. Warto też uważać, aby kolory tekstu i tła nie zlewały się ze sobą (np. biały tekst na żółtym tle) albo nie gryzły (np. czerwony tekst na zielonym tle; dla wielu osób – np. dla pisańcego te słowa – taki tekst w ogóle przestaje być czytelny).

### Czym nie jest

Czym abstrakt graficzny nie jest i czego nie powinien zawierać? Zdarzają się autorzy chcący, by tę rolę pełniło streszczenie artykułu w punktach ujętych w tabeli. Taka forma prezentacji, jakkolwiek może być czytelna i zwięzła, w ogóle nie jest abstraktem graficznym. Nie można też wykorzystywać w roli abstraktu graficznego żadnej z rycin znajdujących się już w tekście ani kompilacji tych rycin, taki abstrakt musi być w pełni oryginalną pracą. Umieszczanie w obrębie abstraktu graficznego pomniejszonych tabel, wykresów czy grafów z tekstu nie ma sensu. I tak będą nieczytelne, a ponadto kłóć się z syntetycznym charakterem tego typu abstraktów, nie wspominając już o tym, że mogą być nieja-



Rys. Sławomir Makal



sne bez kontekstu całości tekstu. Rozumiem, że takie postępowanie może wynikać z chęci zaoszczędzenia czasu lub braku pomysłów, ale nie prowadzi to do osiągnięcia celu. Taki abstrakt i tak najpewniej zostanie przez redakcję odrzucony. Niecelowe jest też umieszczanie na abstrakcie graficznym zapisu bibliograficznego artykułu, czyli wskazówki, jak należy cytować daną publikację. Abstrakty takie są publikowane jako pliki graficzne, z których i tak nie da się kopiować żadnego tekstu, zatem taka wskazówka będzie dla czytelnika praktycznie bezużyteczna. W obrębie abstraktu graficznego nie należy także umieszczać nazwisk autorów, co najwyżej tytuł. Logotypów czasopisma lub wydawnictwa, w którym artykuł jest publikowany, nie należy z kolei stosować (mimo iż często są dostępne na stronach WWW czasopism), gdyż tworzyłoby to wrażenie, że jest to materiał stworzony przez redakcję, a nie autorów artykułów.

Abstrakt graficzny powinien też spełniać określone, nieskomplikowane wymagania techniczne. Musi być w określonym formacie: PDF, JPG, TIFF lub PNG, nigdy zaś nie może mieć formy prezentacji w PowerPoincie (a autorzy dość często przysyłają go w formacie PPTX). Szerokość podstawy pliku graficznego (JPG, TIFF lub PNG) musi być większa niż 2400 pikseli (czyli szerokość dwóch szpalt), a rozdzielczość musi przekraczać 300 dpi, inaczej abstrakt będzie się stawał nieostry po powiększeniu (np. otworzeniu w trybie pełnoekranowym). Optymalnie stosunek szerokości do wysokości powinien być mniej więcej

jak 5:2, wtedy poziomy układ ilustracji będzie przyjazny dla oka. Zdarzają się też jednak dające się objąć jednym rzutem oka abstrakty kwadratowe lub nawet okrągłe, ale niektóre czasopisma narzucają w tej kwestii ograniczenia ze względów technicznych.

### Przekonać czytelnika

Dobrze mieć świadomość, że nawet doświadczony redaktor nie we wszystkim jest w stanie autorowi pomóc i abstrakt graficzny jest tego dobrym przykładem. Czasopisma żądające takich abstraktów najczęściej wprost zastrzegają, że nie oferują żadnej pomocy przy ich tworzeniu. Nie wynika to nawet z nadmiaru pracy, po prostu zaprojektowanie abstraktu graficznego to coś więcej niż tylko praca grafika. Taki abstrakt może zaprojektować jedynie autor tekstu, a w ostateczności inny specjalista dobrze znający dane zagadnienie, gdyż tylko to zapewni merytoryczną poprawność abstraktu. To autorzy wiedzą, co w metodach i wynikach jest ważne i powinno znaleźć się na prezentacji graficznej, a co można pominąć. Nie mają sensu nawet półśrodki – stworzenie abstraktu graficznego na podstawie pisemnych wskazówek autora z nadesłanych materiałów graficznych i tekstowych rzadko przynosi dobre efekty, a jest niewspółmiernie czasochłonne. W prostym programie graficznym są to na ogół w stanie zrobić sami autorzy, w Internecie dostępne są też specjalne narzędzia przeznaczone do projektowania właśnie abstraktów graficznych. Ważne, aby nie porównywać się z innymi. Taki abstrakt to nie płótno Vermeera, nie ma być dziełem sztuki, ale przekonać czytelnika, że nasz artykuł jest wart jego czasu i uwagi.

Niektórzy autorzy proszą o zwolnienie z wymogu przygotowania abstraktu graficznego, inni deklarują wprost, że ich zdaniem do ich artykułu nie sposób przygotować abstraktu graficznego. W tej drugiej sytuacji podsuwam przykłady abstraktów zbudowanych z układu boksów z krótkim tekstem, połączonych strzałkami lub innymi symbolami wskazującymi na zależności między nimi. Taki abstrakt graficzny jest mniej atrakcyjny wizualnie i mniej zapada w pamięć, ale spełnia swoją najważniejszą rolę: daje innemu specjaliście pojęcie, o czym mówi tekst. Abstrakt graficzny niekoniecznie musi zawierać „grafiki”, tj. w potocznym rozumieniu rysunki, jeśli miałyby to oznaczać umieszczanie ich w kompozycji na siłę. W taki sposób można przygotowywać abstrakty graficzne np. prac przeglądowych (review) lub metaanaliz. Redakcje unikają natomiast zwalniania autorów z nadsyłania takich abstraktów z dwóch powodów. Po pierwsze, źle wygląda, gdy część artykułów np. w danym zeszycie czasopisma ma abstrakty graficzne, a część nie. Po drugie, gdy zwolnienie otrzyma kilku autorów, reszta zacznie pytać, dlaczego ich zwolnienie nie obejmuje i po kilku numerach czasopisma rzekomy twardy wymóg stanie się iluzją.

Zdaję sobie sprawę, że wielu autorów może traktować wymóg załączania do artykułów abstraktów graficznych jako kolejne utrudnienie życia pracownika nauki i tak składającego się głównie ze spełniania różnorodnych wymagań. W naukach medycznych (z artykułami na takie tematy mam najczęściej do czynienia) podobnie są przez wielu badaczy traktowane tzw. checklisty, które mają za zadanie wymuszać zawarcie w artykule konkretnych treści oraz podobną konstrukcję manuskryptów z tego samego zakresu tematycznego. Jednak tego rodzaju wymogi mają na celu zwiększenie konkurencyjności zarówno poszczególnych artykułów, jak i całego czasopisma. Zwiększa się konieczny nakład pracy, ale pojawia się też możliwość wyróżnienia się na tle innych publikacji z danej dziedziny. Dlatego liczba czasopism oczekujących od autorów opracowywania abstraktów graficznych powoli, ale systematycznie, rośnie i są to często czasopisma renomowanych wydawnictw. Nie sugeruję, że spełnienie tych oczekiwań jest łatwe, ale z biegiem czasu będzie coraz trudniejsze do uniknięcia.



# Nauka i edukacja jako warunek modernizacji

## Przypadek Finlandii

Synergię wiary w sens badań naukowych, kapitalistyczną konkurencyjność powiązaną z kulturą politycznego konsensusu i wysokim zaufaniem społecznym zinstytucjonalizowano, by stworzyć sieć publicznych instytucji, które umożliwiły opuszczenie peryferii światowej gospodarki.

W 1875 ukazało się dzieło fińskiego pisarza, historyka i dziennikarza Zachariasa Topeliusa *Boken om vårt land* [Księga naszych ziem], najlepiej znana pod fińskim tytułem *Maamme kirja*. Książka ta dla kolejnych pokoleń Finów stała się kluczowym podręcznikiem historii i geografii, a jej znaczenie dla wzmacniania fińskiej tożsamości narodowej można porównać z narodowym eposem, *Kalevalą*. Topelius tak pisał o ówczesnej gospodarce leśnej: „Las jest bezcenny, jest bezcenny, bo bez niego ta ziemia nie nadawałaby się do zamieszkiwania przez ludzi. (...) Powinno się o tym pamiętać bardziej, niż się pamięta. Żaden kraj nie zależy od lasów tak jak Finlandia, a jednak żadna nacja nie traktuje lasu tak źle jak Finowie. Każdego roku poszerzają się wypalone obszary lasów liściastych, w zamian sadi się nieliczne lasy iglaste. (...) W ten sposób niszczy się fiński bezcenny las. Żądza zysku zaćmiewa wielu, którzy wycinają całe połacie swoich lasów, zamiast ograniczyć się do starszych drzew i mieć stałą zrównoważoną korzyść ze swojej własności. W ten sposób dzieciom zostawia ubogą, zniszczoną ziemię”.

Trudno powiedzieć, na ile aktualnie brzmiące przestrogi Topeliusa, nawet z perspektywy XXI wieku i szczególnie w Polsce, wzięły pod uwagę Finowie w kolejnych dekadach. Fragment ten można jednak uznać za symboliczny przykład myślenia długofalowego fińskich elit. Do połowy XX wieku wyroby przemysłu leśnego stanowiły 90% fińskiego eksportu, była to zdecydowanie najważniejsza gałąź fińskiej gospodarki, jej fundament. Współcześnie, po setkach lat nieustannej eksploatacji, Finlandia wciąż jest najbardziej leśnym krajem Europy, ponad 70% jego powierzchni pokrywają lasy. Problem ich bioróżnorodności jest dzisiaj podnoszony przez fińskich ekologów, zdarzają się protesty związane z nadmiernym poszerzaniem prawa do wyrębu w obszarach szczególnie cennych przyrodniczo, niemniej las pozostaje kluczowym, nie tylko w sensie merkantylnym, ale i kulturowym, symbolicznym, duchowym fińskim zasobem.

O tym symbolicznym, jak i praktycznym, znaczeniu lasów można się przekonać w Muzeum Lasu – Lusto znajdującym się w miejscowości Punkaharju. Muzea w polityce pamięci mają do odegrania dwie role, z jednej strony służą jako „zasobniki pamięci”. Dla lokalnej, regionalnej, narodowej publiczności spełniają funkcję edukacyjną. Przechowują (w postaci artefaktów muzealnych) i opowiadają (przez muzealne narracje) historię ważnych dla społeczności wydarzeń, zjawisk czy procesów, budząc dumę lub stymulując krytyczną refleksję nad nimi. Z drugiej strony są „oknami wystawowymi”, bardzo ważnymi dla promocji i budowania marki miasta czy też kraju.

Przenikanie się tych dwóch funkcji świetnie widać na przykładzie Lusto. Narracja koncentruje się wokół symbiozy natury, kultury i nauki związanej z lasem. Ekspozycja zaczyna się od nagrań mieszkańców Finlandii (znanych i zupełnie anonimowych) opowiadających, czym dla nich jest las (terapeutycznym azylem, miejscem odpoczynku, miejscem pracy, zamieszkania, rekreacji etc.). Następnie dowiadujemy się o historycznym znaczeniu lasu, zapewniającego kolejnym pokoleniom Finów byt i schronienie. W opowieści tej jest miejsce na przedchrześcijańską animistyczną mitologię, na czele ze „złotym królem lasu”, czyli niedźwiedziem, totemicznym symbolem Finlandii. Ale też na historię wszystkich okołoleśnych przemysłów, ich transformacji związanej z pojawianiem się nowych technologii i stopniowo coraz bardziej zrównoważonych sposobów eksploatacji. Większość fińskich rodzin dysponuje mniejszymi lub większymi leśnymi działkami z drewnianymi domami, często dziedzicznymi od pokoleń po przodkach pracujących w leśnym przemyśle. Istotnym elementem ekspozycji są więc też osobiste relacje tego dotyczące. Jednym z ostatnich elementów wystawy jest prezentacja supernowoczesnych harwesterów do pozyskiwania drewna. Multimedialny symulator pozwala zasiąść za sterami jednej z największych maszyn tego typu i spróbować za pomocą joysticka i kilku dźwigni sprawdzić

się w roli operatora. Kombajn jest oczywiście fińskiej produkcji (wraz ze Szwecją, Finlandia zdominowała tę branżę w skali globalnej, a Finowie nie przegapiają okazji, by zaprezentować się jako lider nowych technologii). Wystawie towarzyszy opowieść o tym, jak fińscy naukowcy i inżynierowie w ostatnim stuleciu wprowadzili nowoczesne maszyny i komputery do tej dziedziny przemysłu, a także o tym, jak wraz z planistami opracowali system masowego pozyskiwania drewna bez ryzykowania katastrofy ekologicznej.

Nawet biorąc pod uwagę wizerunkowy charakter tego muzeum, jest to dobry przykład połączenia autoprezentacji i marketingu własnego kraju poprzez opowieść o nauce i technice, powiązanej z tradycyjną kulturą i duchowością oraz opowieścią o odpowiedzialności za przyszłość. O trosce, jaka powinna przyświecać pełniącym różne funkcje członkom społeczności, by zachować naturalne dziedzictwo dla przyszłych pokoleń.

### Akademicy jako ojcowie tożsamości narodowej

Wspomniany autor *Księgi naszych ziem*, Topelius, był dziennikarzem i pisarzem, ale także akademikiem, rektorem helsińskiego uniwersytetu. Profesorami tej uczelni byli również Elias Lönnrot, etnograf odpowiedzialny za opracowanie ludowych przekazów i opublikowanie ich w formie *Kalevali*, fińskiego narodowego eposu, oraz polityczny lider ruchu fennomańskiego Johan Vilhelm Snellman. W przypadku Finlandii to nie arystokraci, wojskowi, politycy czy duchowni, ale akademicy budowali i pielęgnowali zręby tożsamości narodowej, zarówno

pięciem, twórczością naukową, jak i działalnością publiczną. Snellman pełnił wiele różnych funkcji państwowych w administracji Wielkiego Księstwa Finlandii, w czasach gdy kraj był częścią carskiego imperium. Kształcił się m.in. w zakresie polityki gospodarczej, rolnictwa, finansów oraz kolejnictwa. Gdy był szefem fińskiego banku centralnego, w momencie powstania fińskiej waluty (markki), postanowił powiązać jej wartość z ceną kruszcu (srebra), a nie wartością rubla. Pozwoliło to Finlandii po latach łatwiej uniezależnić się od rosyjskiej gospodarki.

W Finlandii idee narodowe i działania państwotwórcze łączyły się z działaniami pozytywistycznymi. To nie liderzy religijni, przywódcy militarni, lecz naukowcy byli przewodnikami narodowymi, których słuchano i którym ufano, a działanie na rzecz nauki wspierającej rozwój gospodarki traktowano jako patriotyczny obowiązek. Ta historycznie uwarunkowana wiara w wiedzę naukową jako niezbędny element modernizacji okazała się fundamentem, na którym w XX wieku można było budować nową rzeczywistość społeczno-gospodarczą. Synergiję wiary w sens badań naukowych, kapitalistyczną konkurencyjność powiązaną z kulturą politycznego konsensusu i wysokim zaufaniem społecznym zinstytucjonalizowano, by stworzyć sieć publicznych instytucji, które umożliwiły opuszczenie peryferii światowej gospodarki. Zjawiska-klucze opisujące fińską specyfikę, która tę społeczno-gospodarczą zmianę umożliwiła, takie jak: elastyczna adaptacja, kapitalizm kooperacyjny i kapitalizm koordynowany, zaufanie społeczne czy egalitaryzm, były produktami długich procesów historycznych. Fińska zmiana możliwa była dzięki wierze w sens finansowania edukacji i nauki



Budynek Biblioteka Oodi w Helsinkach

obecnej nie tylko wśród elit, lecz we wszystkich segmentach struktury społecznej. Sukces technologiczno-edukacyjny przełomu wieków potwierdził zasadność decyzji podjętych niekiedy dekady wcześniej. Stał się też źródłem dumy narodowej, której znaczenia we wzmacnianiu współczesnej tożsamości zbiorowej nie sposób przecenić.

### Elity i Kościół jako promotorzy edukacji

Ojcem pisanego języka fińskiego nazywa się w Finlandii Michała Agrykolę. Gdy zgodnie z decyzją króla Gustawa Wazy w latach 20. XV wieku Szwecja miała stać się kolejnym europejskim krajem, który przyjmuje reguły reformacji, zgodnie z luterzańską zasadą, że wierni powinni mieć dostęp do Biblii w językach narodowych, Agrykola, ówczesny arcybiskup Åbo (dzisiejsze Turku), przełożył Pismo na język fiński. Język, który powstał w wersji pisanej dopiero w XVI wieku, jest jednym z najmłodszych języków literackich Europy. Reformacja w Finlandii, w odróżnieniu od niektórych krajów kontynentalnej Europy, nie pojawiła się jako oddolny ruch protestu, lecz jako narzucony przez elity projekt państwowy, który został akulturowany i zaadaptował się do lokalnych warunków, również politycznych. To chrześcijańskie parafie luterzańskie do 1866 roku były odpowiedzialne za prowadzenie szkół powszechnych. Nawet po wejściu w owym roku w życie „Dekretu o powszechnej edukacji”, zobowiązującego władze lokalne do organizacji szkół, szczególnie na obszarach wiejskich, to Kościół w kolejnych latach wciąż zapewniał dostęp do oświaty. Państwo realizowało zaś swoje funkcje poprzez „ambulatoryjne szkoły lata-

jące”, które pojawiały się wraz z nauczycielami w oddalonych często o dziesiątki kilometrów od innych osad wsiach na kilka tygodni w roku. Oferowały uczniom intensywne zajęcia, uzupełniały edukację zapewnianą w niedzielnych szkołkach katechetycznych. Warunki geograficzne powodowały, że na niektórych terenach zapotrzebowanie na tego typu usługi edukacyjne przetrwało do lat 30. XX wieku, gdy funkcjonowało wciąż 250 szkół ambulatoryjnych.

W kolejnych stuleciach nauka czytania i dostęp do książek były z jednej strony wehikułem indywidualnego awansu społecznego, z drugiej instrumentem budowania tożsamości narodowej, fundamentem procesu narodotwórczego w XIX wieku, w okresie określanym w historiografii fińskiej mianem narodowego romantyzmu. Epoka ta, znów z polskiej perspektywy dość paradoksalnie, nie kojarzy się w fińskim kontekście ze zmaganiem z bronią, lecz z książką w ręku. W luterzańskich szkołach parafialnych dostępne dla wszystkich biblioteki istniały już w XVIII wieku. Można powiedzieć, że występowała tu synergia między imperatywem edukacji promowanej jako narodotwórczy, patriotyczny obowiązek (element agendy elity politycznej i kulturalnej kraju), a luterzańskim imperatywem świadomego chrześcijaństwa wymagającego od wiernych znajomości Biblii. Pierwsza biblioteka publiczna powstała już w 1803 roku, a pod koniec tego stulecia w sumie z bibliotekami parafialnymi było ich prawie dwa tysiące. W efekcie, gdy w 1892 roku język fiński uzyskał równy szwedzkiemu status prawny, analfabetyzm dotyczył zaledwie 3% posługującej się nim populacji. Sytuacja była zatem wyjątkowa, w gospodar-



VTT, państwowy instytut badawczy ulokowany w Otaniemi, jednej z dzielnic Espoo, dał początek jednemu z najważniejszych dzisiaj europejskich klastrów nowych technologii. W Otaniemi mieści się Uniwersytet Aalto jak i siedziby korporacji, takich jak: Nokia, HMD Global, Tieto, KONE, Neste, Fortum, Orion, Foreca, Rovio czy Remedy Entertainment.

czo zacofanym kraju ludzie we wszystkich segmentach struktury społecznej byli – dzięki szkołom i bibliotekom – znacznie lepiej wykształceni niż w wielu gospodarczo lepiej rozwiniętych krajach. Przez cały XX wiek ułatwiało to społeczną akceptację zmian oraz prorozwojowych działań, które wymagały znaczących inwestycji publicznych na naukę i edukację.

### Institucje państwa jako motor modernizacji

Institucją publiczną, którą postrzega się dzisiaj jako pionierską w realizacji projektowanej przez państwo polityki rozwojowej w dziedzinie nauki i technologii, było VTT (Valtion teknillinen tutkimuslaitos), czyli Narodowe Centrum Badawcze. Powstało w 1942 roku w celu eksperckiego wzmocnienia przemysłu zbrojeniowego. Po wojnie zimowej i w czasie wojny kontynuacyjnej wiadomo było, że zapotrzebowanie na know how w tej dziedzinie będzie rosło. Kilka przetestowanych w trakcie zmagania z ZSRR fińskich wynalazków weszło potem zarówno do historii techniki wojskowej, jak i powszechnej świadomości. Legendarna „pepesza”, unieśmiertelniony w kulturze popularnej pistolet maszynowy PPSz-41, została opracowana przez radzieckich inżynierów na bazie stworzonej przez Finów broni Suomi-1935. Fakt, że w konfrontacji z mającą masową przewagę liczebną Armią Czerwoną fińska piechota dysponowała już w 1940 roku bronią maszynową był ważnym czynnikiem umożliwiającym skuteczną obronę. Okupiona utratą części spornych terytoriów wojna pozwoliła jednak uniknąć traumy sowieckiej okupacji mieszkańcom kraju, nie dopuściła też do zniszczenia i rozkradzenia infrastruktury przemysłowej, kluczowej w kolejnych dekadach.

Kiedy w konsekwencji inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 roku cały świat ponownie obiegły zdjęcia z wykorzystywanymi przez obrońców koktajlami Mołotowa, Finowie nie omieszkali przypomnieć w memach, że tę improwizowaną broń produkowały na masową skalę w trakcie wojny zimowej fińskie zakłady monopolowe Alko. Zamiast wetkniętego w szybką butelki materiału nasączonego płynem łatwopalnym wykorzystywano zapalki sztormowe, bardziej przydatne w tamtejszych warunkach. Nazwa nawiązuje do deklaracji przypisywanej Wiczesławowi Mołotowowi, że bombardowania Helsinek na początku radzieckiej inwazji są w istocie zrzutami pomocy humanitarnej. Fiński przemysł zbrojeniowy do dzisiaj należy do najbardziej cenionych w Europie, zarówno pod względem nowych technologii (np. w zakresie łączności wojskowej), jak i produkcji oraz eksportu uzbrojenia i sprzętu (lub licencjonowania produkcji sprzętu w innych krajach, np. produkowanych w Polsce bojowych wozów piechoty „Rosomak”). VTT, instytucja, która miała w przyszłości odegrać fundamentalne znaczenie w rozwoju przemysłu nowych technologii w Finlandii, była spółką specjalnego przeznaczenia, w całości należąca do państwa. Miała w statucie prowadzenie badań na rzecz przemysłu i non profit. Tuż po wojnie instytut koncentrował się na ściśle kontrolowanym przez odbiorcę zapewnieniu wysokiej jakości produkcji przemysłowej, wysyłanej do ZSRR w ramach reparacji. W latach 50. laboratoria przeniesiono do nowo wybudowanej siedziby w Otaniemi, jednej z dzielnic Espoo, dając początek jednemu z najważniejszych klastrów nowych technologii w Europie. Już w latach 60. w ramach VTT funkcjonowało 26 laboratoriów, w których pracowało ponad 400 naukowców.

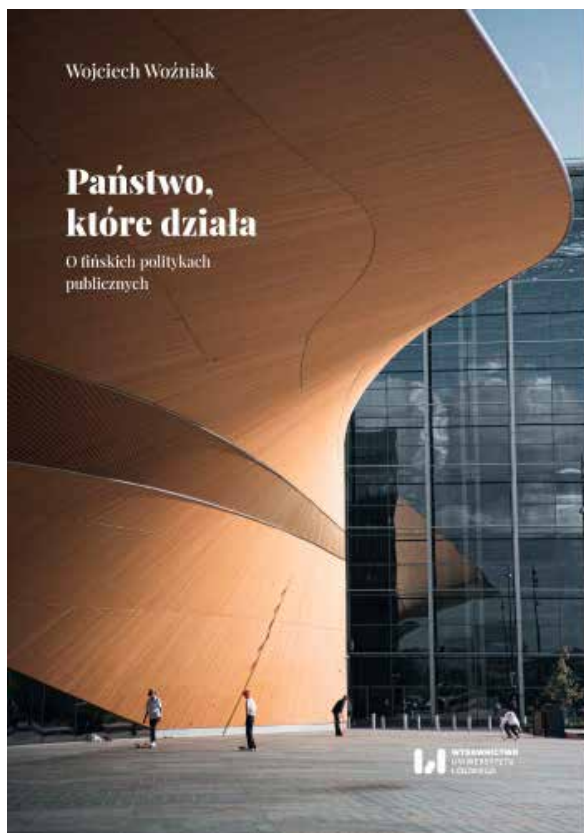
Większość analityków uznaje, że kluczowe znaczenie dla innowacyjności fińskiej gospodarki miała powołana w 1967 roku Sitra (Narodowy Fundusz Badań i Rozwoju), ufundowana przez fiński Bank Centralny z okazji 50-lecia uzyskania niepodległości. Sitra łączy funkcje niezależnego think tanku doradzającego rządowi oraz publicznego inwestora wybierającego do dofinansowania nowe przedsięwzięcia, głównie

prace badawczo-rozwojowe (także nowo powstające firmy finansowane na zasadzie venture capital), pod warunkiem, że są one wysoko innowacyjne i działają w jednym z obszarów zdefiniowanych przez państwo jako ważne dla przyszłego rozwoju. To zadania związane zarówno z nowymi technologiami (np. konstrukcja pierwszej międzyuczelnianej sieci komputerowej), z ekologią i rozwojem zrównoważonym, ale również z badaniami mającymi na celu poprawę jakości życia obywateli: funkcjonowania instytucji, służby zdrowia, planowania miejskiego. Sitra to jeden z przykładów wykorzystanych dla wzmocnienia też głośnej książki Mariany Mazzucato *Przedsiębiorcze państwo*. Mazzucato pokazuje, że kluczowe dla powstania wielu prywatnych globalnych korporacji było wsparcie w postaci inwestycji typu venture capital, ze środków publicznych, nie prywatnych. Tytułowe „przedsiębiorcze państwo” jest często skłonne do ponoszenia znacznie większego ryzyka i inwestowania większych środków w spółki o trudnej do przewidzenia w średnio- i długoterminowej perspektywie przyszłości. Czasem więc ponosi porażki. Dotyczy to szczególnie firm zajmujących się nowymi technologiami, prowadzących innowacyjne prace badawczo-rozwojowe o nieznanym potencjale komercjalizacji. Prywatne fundusze, finansujące podobne inwestycje, znacznie częściej nastawione jednak są na krótkoterminowe efekty. W dużej mierze dzięki Sitra i wynikom prowadzonych przez nią badań powstał w 1983 roku Tekes (Fundusz na rzecz Technologii i Innowacji), który przejął większość zadań związanych z finansowaniem innowacyjnych badań aplikacyjnych prowadzonych przez instytucje państwowe (uczelnie, instytuty badawcze). Trzy z czterech największych programów badawczych dotyczyły nowych technologii, w szczególności telekomunikacyjnych. Miały zasadnicze znaczenie dla późniejszego sukcesu kraju jako lidera światowego w tej dziedzinie. Jednym z głównych beneficjentów tych programów wsparcia była mało znana wówczas poza Finlandią i Skandynawią firma Nokia.

Sitra była prezentem na 50-lecie niepodległości, z kolei jako symboliczny prezent na 100. urodziny Finlandia zafundowała sobie supernowoczesną bibliotekę o nazwie Oodi. Koszty budowy pokryło w jednej trzeciej państwo z budżetu centralnego oraz stołeczne miasto Helsinki w pozostałej części. O statusie Oodi świadczy jej usytuowanie. Na budowę poświęcono jedną z najcenniejszych działek w kraju, ulokowaną w dzielnicy Kluuvi w ścisłym centrum Helsinek, w odległości niespełna kilometra od dworca głównego i połowę tego dystansu od budynku Eduskunty, fińskiego parlamentu. Z tarasu na pierwszym piętrze budynku można spoglądać na parlament. „Niech posłanki i posłowie wiedzą, że światli obywatele mają ich na oku” – takie było przesłanie powtarzane w mass mediach. Budowa i otwarcie Oodi były flagowym projektem, wielokrotnie pojawiającym się w medialnych relacjach na całym świecie przy okazji opowieści o 100. rocznicy fińskiej niepodległości. Stało się kolejnym elementem autopromocji i brandingu Finlandii jako kraju światłych obywateli. Dwa ostatnie rządy, pod przywództwem Anntiego Rinne i rekonstrukcji – Sanny Marin, swoje konferencje programowe organizowały właśnie w Oodi.

### Państwo, które wie, co robić

Z perspektywy makrostrukturalnej kluczowym czynnikiem stabilności systemu jest podzielane zarówno przez fińskich obywateli, jak i decydentów przeświadczenie, że edukacja jest priorytetowym zadaniem państwa, wokół którego warto budować trwający już wiele lat polityczny konsensus. Najwyraźniejszym potwierdzeniem poważnego traktowania priorytetów państwa było wyłączenie edukacji i badań naukowych



z polityk publicznych objętych cięciami wydatków w okresie recesji lat 1991–1993.

Podziwiany powszechnie fiński system edukacji jest przykładem modelu opartego na rzetelnie przeprowadzonej diagnozie naukowej. Reformy szkolnictwa w latach 70. poprzedziły analizy wyników badań w zakresie pedagogiki, socjologii edukacji oraz psychologii rozwojowej i psychologii uczenia się. Efektem było m.in. bezprecedensowe wzmocnienie i dowartościowanie roli nauczyciela w systemie. Inspiracji zaś szukano w miejscach z dzisiejszej perspektywy nieoczywistych. Gdy uznano, że – zgodnie w wynikami badań – późno stawiane progi selekcyjne są kluczowe dla wzmocnienia egalitaryzującej funkcji systemu szkolnego, dla konstrukcji nauczania podstawowego wzorem był między innymi system wschodniemiecki z 10-letnią szkołą podstawową rozpoczynającą się w szóstym roku życia. W Finlandii pierwszy próg selekcyjny postawiono w tym samym wieku, ustalając na szesnasty rok życia próg obowiązku edukacyjnego. Szkoła podstawowa trwa dziewięć lat i zaczyna się w siódmym roku życia.

Ślady tego sposobu myślenia można znaleźć również w innych obszarach fińskich polityk publicznych. Przykładem jest np. odgórny nacisk na umiędzynarodowienie nauki i edukacji. Fińskie elity szybko zdały sobie sprawę, że gospodarka nie ma szans przetrwać w warunkach autarkii, a otwarcie się na świat, współpraca międzynarodowa i wymiana handlowa są niezbędne, jeżeli przyszłością Finlandii ma być coś więcej niż przetrwanie i wegetacja. W połowie XX wieku fińskie elity polityczne zrozumiały, iż w drugiej połowie tego stulecia nie wystarczy, by obcymi językami porozumiewały się intelektualne, polityczne czy biznesowe elity. Aby przestać fińską gospodarkę na tory wiodące do budowy wysoko-technologicznej i nowoczesnej gospodarki oraz społeczeństwa, niezbędna jest masowa znajomość języka angielskiego wśród obywateli i pracowników, by przyswajając powstające pod całym niebem innymi szerokościami geograficznymi idee, innowacje

i pomysły, porozumiewać się z sojusznikami i rywalami oraz zapewniać wykwalifikowaną bazę dla fińskiej przedsiębiorczości. Ślusznie przewidywano, że angielski stanie się nową lingua franca w nauce i badaniach, zarówno prowadzonych w uniwersyteckich bibliotekach, jak i tych w działach badawczo-rozwojowych prywatnych korporacji. Wcześniej fińskie przedsiębiorstwa często musiały „dzielić się” specjalistami w wielu dziedzinach, np. znającymi perfekcyjnie języki obce. Tego typu kadry były niezbędne, by tworzyć nowe idee, projektować oprogramowania i nowe urzędnictwa, które mają wyznaczać trendy i ustanawiać nowe technologiczne standardy, a nie dostosowywać się i replikować rozwiązania opracowane w innych krajach. Od lat zwiększano liczbę godzin poświęconych na naukę angielskiego w szkołach, dzisiaj jego naukę dzieci zaczynają na początku edukacji, w wieku lat siedmiu, a matura jest na poziomie organizowanego przez Cambridge Assessment English (brytyjską instytucję certyfikującą znajomość języka angielskiego dla obcokrajowców, afiliowaną przy Uniwersytecie w Cambridge) egzaminu Certificate of Proficiency in English.

### Ciekawość świata jako warunek przetrwania i rozwoju

Podsumowując polityczne debaty o przyszłości i kierunkach rozwoju państwa trwające w Finlandii od dwóch stuleci, wskazuje się często, że mając świadomość peryferyjnej pozycji kraju, fińskie elity polityczne nie przestawały analitycznie obserwować rzeczywistości poza granicami. Próbowano czerpać wzorce modernizacji z innych krajów i unikać powtarzania błędów, mając świadomość, że pewne procesy są nieuchronne, lecz w kraju późno się uprzemysławiającym i urbanizującym nadejść ze znacznym opóźnieniem. Porównania międzynarodowe stawały się tu podstawą realistycznych kalkulacji, opartych na naukowych diagnozach polityk publicznych, które jednocześnie „ucierały się” w długich negocjacjach, by stać się elementem konsensusu. Z kolei społeczeństwo, szybko przekonując się o zasadności wybranego przez elity kierunku, posłusznie i z ufnością dostosowywało się do zaleceń, kształcąc się, planując kariery zawodowe i działalność gospodarczą w sposób synergiczny z działaniami podejmowanymi na szczytach władzy. Ciekawy komentarz do tej adaptacji elit do warunków zewnętrznych oraz społeczeństwa do idei promowanych przez elity sformułował jeden z najważniejszych fińskich historyków XX wieku – Pertti Haapala. W jednej z prac zacytował bazujący na stereotypach żart, że Finowie tak długo siedzieli w swoich lasach, że gdy już z nich wyszli, to ciekawiło ich wszystko, co nowe i inne. A podsumował swoje rozważania już na poważną nutę: „Wszystko jest kwestią adaptacji: jak dostosować się do środowiska (naturalnego i społecznego), jak przetrwać przy sąsiadach, jak korzystać na relacjach z innymi, jak chronić swoje interesy i kulturę itp. Być może niespodziewanie okazało się, że fińskie społeczeństwo jest elastyczne, otwarte na zmiany i nowe idee, chociaż w polityce elastyczność często postrzegano jako oportunizm. W komunikacji z innymi i w gospodarce Finlandia okazała się społeczeństwem otwartym, bo była za mała, by przetrwać w samotności. Była zależna gospodarczo od innych, ale to ona przeważnie korzystała na wymianach z nimi”.

*Książka „Państwo, które działa. O fińskich politykach publicznych” ukazała się pod koniec 2022 roku nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego. W artykule autor wykorzystał fragmenty książki.*

*Dr hab. Wojciech Woźniak, socjolog, Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny Uniwersytetu Łódzkiego. Visiting researcher na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu w Helsinkach dzięki grantowi w ramach programu im. Mieczysława Bekkera Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej.*

Marcelina Smużewska

# Wynalazki pod kontrolą

## Parę uwag o wojskowym zapleczu badawczym po II wojnie światowej

Nie jestem w stanie podać nawet jednego przykładu oryginalnych i innowacyjnych badań w zakresie uzbrojenia, które pochodziłyby z pierwszej powojennej dekady i byłyby prowadzone na ziemiach polskich. W zasadzie nie dało się prowadzić swobodnej i rzetelnej pracy naukowej na rzecz wojska.

Nie tylko wojna wymaga nakładów i nowych inwestycji. Także w czasach pokoju trzeba odnawiać zasoby i szukać innowacji. Jak modernizuje się wojsko? Jak powstaje nowe uzbrojenie? Po pierwsze odbywa się to siłami własnych naukowców i ich wynalazków. Po drugie poprzez zakup licencji od sąsiadów. Po trzecie poprzez metody wywiadowcze. W Polsce Ludowej funkcjonowała jeszcze jedna ścieżka: „Matuszka Rosja” oddawała, nadawała (a faktycznie: sprzedawała w handlu wymiennym) licencje, zazwyczaj przestarzałe o kilka generacji, jednocześnie ściśle kontrolując i ograniczając (jeśli było to konieczne) polską myśl techniczną.

Po 1945 roku wznowiono działalność wojskowych instytucji badawczych według wzorów przedwojennych. W 1946 roku otwarto Wojskowy Instytut Techniczny (WIT). Prowadzono w nim prace związane z uzbrojeniem, lotnictwem, łącznością i motoryzacją. Dwa lata później w procesie sowietyzacji wojska polskiego, czyli przyjmowania organizacyjnych wzorów radzieckich, Instytut stał się Oddziałem VIII Technicznego Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Istniała też Wojskowa Rada Naukowa, w skład której wchodziłi przedstawiciele nauk technicznych. Pełniła funkcje doradcze, jednak także po 1948 roku została zmarginalizowana. W zasadzie do 1956 roku samodzielne prace badawcze w jednostkach naukowo-badawczych wojska prowadzone były w ograniczonym zakresie. Z czasem mogliśmy się jedynie pochwalić ulepszeniami konstrukcyjnymi sowieckiego sprzętu licencyjnego. Komendantami jednostek prowadzących prace dla wojska byli oficerowie sowieccy w polskich mundurach, określane popularnie jako „popi” – „pełniący obowiązki Polaków”.

Było to odzwierciedlenie trendu, który miał miejsce w wojsku Polski Ludowej. „Popi” w marcu 1945 r. stanowili nieco ponad połowę oficerów w siłach zbrojnych. Pod koniec roku 86% generałów w wojsku było oficerami radzieckimi. W 1949 roku nawet minister obrony narodowej Konstanty Rokossowski należał do grupy „popów”, co było ewenementem nawet w bloku radzieckim. W innych demokracjach ludowych „popi” ograniczali się do roli doradców, nie zostawali oficjalnymi członkami

rzędów. W takich warunkach nie było mowy o samodzielnym modernizowaniu armii.

### Instytuty badawcze w zarządzie „popów”

W 1947 roku powołano Stację Doświadczalną, która zajmowała się testowaniem sprzętu motoryzacyjnego dla wojska. Poligon zlokalizowany był w Sulejówku. Komendantem był przedwojenny agent sowiecki płk Bronisław Owsianko. Szefem analogicznego poligonu wojsk saperskich był sowiecki oficer płk Anatol Paranow. Za materiały wybuchowe i stację doświadczalną tym się zajmującą odpowiadał inny sowiecki oficer ppłk inż. Kuźma Topolniak. W lotnictwie analogicznie: funkcję komendanta pełnił sowiecki oficer płk inż. Borys Małczaniuk. Reorganizacja w duchu sowieckim stała się podstawą do zwolnienia wielu pracowników wojskowych i cywilnych. Polski przemysł zbrojeniowy miał się w coraz większym zakresie przedstawiać na funkcje pomocnicze i produkcję technik zależnych.

Co to w praktyce oznaczało? Zamyśl Stalina był taki, żeby każdy kraj satelicki radził sobie w zakresie uzbrojenia sam, to jest tak, żeby Rosja nie musiała w swoich fabrykach produkować sprzętu przeznaczonego dla żadnej z bratnich republik. Jednocześnie nie można było pozwolić, żeby wojsko jakiegokolwiek kraju satelickiego rozwijało się inną drogą niż według wzoru sowieckiego. Wojska bratnich krajów miały do siebie pasować jak klocki domina: mieć ten sam sprzęt, podobną łączność i formację. Licencje sprzętowe nie mogły więc pochodzić z Zachodu, bo ZSRR nie pozyskiwał ich (przynajmniej legalnie) stamtąd, a jedynie ze Wschodu. Normą było – jak już wspominałam – że sprzedawane licencje dotyczyły sprzętu, który przed wdrożeniem był już przestarzały. Stalinowska idea autarkii (niezależności od ościennych państw) prowadziła też do absurdów w postaci nieopłacalnej eksploatacji złóż. Zamiast importować, prowadzono kosztowne i niebezpieczne eksploatacje słabych jakościowo i niebezpiecznie położonych pokładów mineralnych.

Pierwszą licencyjną produkcją w Polsce były samoloty MiG-15 i czołgi T-34/85. Zanim wdrożono produkcję samolotu MiG-15, w Rosji produkowano już MiG-17. Niektóre licencje były

jeszcze bardziej przestarzałe i dotyczyły uzbrojenia z okresu II wojny światowej. Za wspomnianego MiG-a płaciliśmy ZSRR węglem – 30 ton węgla za jedną formatkę zmian w dokumentacji. Także finalny koszt zakupu licencji nie był wcale niski, choć ukryty. Wspomniane czołgi produkowano z kolei w Zakładach Mechanicznych im. Stalina w Łabędach. Powstawały tam przez dziesięć lat.

Poza czołgami i samolotem, jednym z ważniejszych osiągnięć polskiego przemysłu zbrojeniowego były stacje radiolokacyjne. W Zakładach Radiowych im. Kasprzaka w Warszawie istniało tajne laboratorium zajmujące się stacją radiolokacyjną o nazwie „NYSA”. Jej kolejne wersje były sprzedawane nawet w Indonezji, Syrii czy Sri Lance. Były projekty i ambicje rozwi-

jania się w kierunku modernizacji urządzeń radiolokacyjnych, ale nie uzyskały one poparcia sowietów.

W latach 40. i 50. polska myśl konstrukcyjna zajaśniała także przy tworzeniu nowej amunicji przeciwpancernej. Za prace w tym zakresie odpowiadał Centralny Zakład Techniczno-Budowlany, później przemianowany na Instytut Mechaniki Precyzyjnej. W tym miejscu pracował jeden z najwybitniejszych polskich specjalistów w tym zakresie doc. inż. Edward Szteke. Zaprojektował przeróżne typy pocisków i wyrzutni. Projekty zostały przekazane nieodpłatnie do Związku Radzieckiego, gdzie zaginęły bezpowrotnie. Podobnie stało się z projektami doc. inż. Romana Bialika. Przymusowe przejmowanie polskich technologii miało miejsce w wielu innych dziedzinach, nie tylko w wojskowości.

Stacja radiolokacyjna Nysa A. Prototyp opracowano w 1952 r.



## W uścisku służb

Pod koniec lat 40. nadzór służb bezpieczeństwa nad przemysłem zbrojeniowym był stały i bardzo intensywny. W każdym większym zakładzie znajdował się „etatowy sowiecki doradca”, który kontrolował wszelkie prace konstrukcyjne. Psychoza wrogiego szpiegostwa i sabotażu doprowadziła do powstania Departamentu IX, który zajmował się wyłącznie ochroną przemysłu ciężkiego i specjalnego. Do zadań pracowników należał kontrwywiad, co sprowadzało się do poszukiwania wyimaginowanych wrogów ludu. Referaty bezpieczeństwa w poszczególnych zakładach pełniły funkcje wykonawcze. Ponieważ musieli się czymś wykazać, kwitły prowokacje i donosicielstwo. Obserwowano także „nastroje” pracowników zakładów. Często zwykłe wypadki czy nieuwaga były interpretowane jako sabotaż i srogo karane, nawet więzieniem. W niektórych zakładach nie wolno było poruszać się między departamentami. Trzeba było mieć specjalną przepustkę. Taki system znacznie utrudniał pracę konstruktorom, którzy musieli się między sobą porozumiewać, żeby móc budować sprawnie działające urządzenia. Nierzadko jeden wydział nie wiedział, czym zajmuje się ten drugi.

Sfera militarna była objęta najwyższym stopniem utajnienia. W okresie stalinizmu nie podawano do wiadomości publicznej żadnych statystyk, zastępując je procentami z wykonanego planu. Swoistym znakiem czasu był brak mostów na mapach ważnych ośrodków miejskich. Praca w sektorze zbrojeniowym miała jednak swoje plusy, mimo ścisłej inwigilacji i upolitycznienia. Wynagrodzenia były średnio o 15% wyższe niż w innych sektorach, a prowizacja lepsza niż w innych miejscach i zwalniano z zasadniczej służby wojskowej. Łatwiej było także uzyskać mieszkanie, gdyż zakładowe osiedla robotnicze budowano w pierwszej kolejności dla przemysłu zbrojeniowego.

Walka z klasowymi wrogami w Związku Radzieckim doprowadziła do powstania tzw. szarazek, czyli więziennych instytucji badawczych i biur konstrukcyjnych. Aresztowano tylu wybitnych specjalistów i uczonych, że Stalin nie mógł pozwolić, żeby taki potencjał się w więzieniach i łagrach marnował. W takich miejscach pracowało wielu znanych radzieckich uczonych, m.in. Andriej Tupolew, Siergiej Korolow czy Aleksander Sołżenicyn. Polska „szarazka”, w skrócie zwana BAK (od: Biuro Architektoniczno-Konstrukcyjne), znajdowała się przy ul. Gęsiej w Warszawie. Biuro zrzeszało około stu wysoko wykwalifikowanych specjalistów, którzy jednocześnie byli więźniami politycznymi. Po odwilży 1956 roku polska „szarazka” odrodziła się jako Spółdzielnia BAK. Miała swoją renomę i klientów, więc eks-więźniowie kontynuowali w niej pracę na wolności. Nawet były naczelnik więzienny, kapitan Góra, został dyrektorem nowego BAK-u.

## Wtórny transfer technologii, braki kadrowe i wynalazczość negatywna

W pierwszych latach po wojnie powszechny był wtórny transfer technologii. Na czym polegał? Do Polski trafiały przedwojenne licencje z Zachodu, zakupione przed wojną przez ZSRR. Przykładem takiego transferu jest zastosowanie amerykańskich technologii w budowie Huty im. Lenina. Innym przykładem są Zakłady Mechaniczne im. Nowotki w Forcie Wola, które produkowały silniki czołgowe na licencji Hispano-Suiza. Stacja radiolokacyjna SON-4 produkowana na licencji sowieckiej, była kopią amerykańskiej stacji SCR-584. Transfer obejmował także przekazywanie parku maszynowego zrabowanego przez Rosjan w Niemczech przed 1945 rokiem. Do Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu trafiły m.in. urządzenia z rosyjskimi tabliczkami znamionowymi, wywiezione podczas wojny

z pobliskich zakładów benzyny i kauczuku. Można więc powiedzieć, że wrócili do domu.

Postępującej industrializacji towarzyszył brak kadr. Początkowo absolwentom politechnik skracano obowiązkowe szkolenie wojskowe i od razu przenoszono ich do jednostek zawodowych. Dla wielu inżynierów był to „wątpliwy zaszczyt”, ale niewiele można było zrobić w związku z obowiązującym prawem. W kolejnym kroku zaczęto tworzyć szkoły inżynierskie przy zakładach pracy. Czas nauki skrócono do trzech lat i prowadzono je w trybie wieczorowym, co umożliwiało jednoczesną pracę. Szkoły inżynierskie powstały na potrzeby lotnictwa, budowy okrętów i odlewnictwa. W 1951 roku powstała na modłę radziecką Wojskowa Akademia Techniczna im. Jarsława Dąbrowskiego. Pierwszymi kierownikami fakultetów byli oczywiście oficerowie „pop”, czyli sowieci udający Polaków. Od kadry wymagano ideologicznego zaangażowania, czym wielu pogardzało i co często było źródłem żartów.

Odrzucenie planu Marshalla na polecenie ZSRR w 1948 r. praktycznie całkowicie zahamowało oledbudowę i modernizację polskiego przemysłu. Polska myśl technologiczna podlegała regresowi także poprzez brak najnowszej literatury fachowej, do której nie było dostępu. Socjalistyczne współzawodnictwo pracy prowadziło do patologii w postaci wynalazczości negatywnej. Np. dwóch inżynierów umawiało się, co do zakresu planowanych innowacji. Jeden celowo projektował nową, ale ciężką konstrukcję. Drugi ją odchudzał. Obaj dokonali „usprawnienia”, wykazali się więc przed kierownictwem. Teoretycznie wszystko się zgadzało, ale tak naprawdę zadanie można było wykonać prościej i skuteczniej.

W takich warunkach trudno o chlubne wyjątki. Nie jestem w stanie podać nawet jednego przykładu oryginalnych i innowacyjnych badań w zakresie uzbrojenia, które pochodziłyby z pierwszej powojennej dekady i byłyby prowadzone na ziemiach polskich. W zasadzie nie dało się prowadzić swobodnej i rzetelnej pracy naukowej na rzecz wojska. Wielu inżynierów zwolniono, odesłano na wcześniejsze emerytury lub odsunięto od prac projektowych. Niektórzy sami wycofali się na pozycje administracyjne lub do dydaktyki. Równie skutecznym rozwiązaniem było skupienie się na zagadnieniach bardziej teoretycznych, którymi nie interesowało się wojsko. Nie znaczy to jednak, że nie było w tym czasie zdolnych polskich uczonych, którzy mieliby taki potencjał. Byli jednak skutecznie stłamszeni.

## Odwilż

Po 1956 roku ograniczono nieco produkcję na potrzeby armii. Zaczęto wtedy stosować technologie wojskowe do celów cywilnych. Przykładem jest zastosowanie technologii lotniczych w produkcji samochodu Mikrus MR-300 (choć projekt zarzucono już po dwóch latach). Dobrze się stało, że plan rozwoju wojska na lata 1950-1960 nie został w pełni zrealizowany. Gdyby był, mogłoby to doprowadzić do całkowitego załamania się polskiej gospodarki, choć pewien kryzys nas nie ominął. Przemysł zbrojeniowy był niezwykle kosztowny, a zysków nie przynosił praktycznie żadnych. Tak jak wspominałam, transfer technologiczny nie odbywał się na zasadach rynkowych. Podobnie było ze zdobywaniem surowców. W efekcie w Polsce doby stalinizmu powstawał sprzęt drogi i przestarzały w momencie zejścia z linii produkcyjnej. Wyizolowani od nauki światowej konstruktorzy niewiele mogli na to poradzić, gdyż większość innowacji była utracana przez przedstawicieli ZSRR bądź z głupoty, bądź ze strachu. Pierwsze lata po wojnie były więc dla techniki wojskowej – jak i dla całej nauki – ponurym okresem. W pewnym sensie był to czas stracony. Do koncesjonowanej odbudowy zaplecza naukowego mogło dojść dopiero po śmierci Stalina i tak też się stało.

# Pierwsza polska medycynierka

W 1896 roku Anna Tomaszewicz-Dobrska jako pierwsza na ziemiach polskich wykonała cięcie cesarskie. W 1911 zaraportowała spadek śmiertelności położnic i noworodków, który ustabilizował się na poziomie od 2 do 0,5% dla kobiet i 1,7% dla noworodków, co było znaczną poprawą względem początków działalności.

Jeszcze w drugiej połowie XIX wieku, a gdzieś tam nawet w wieku XX sądzono, że kształcenie i praca zawodowa nie są dla kobiet. Najwięcej zastrzeżeń dotyczyło edukacji na najwyższym poziomie. Kobiety nie powinny jej mieć choćby ze względów fizjologicznych. Ich mózgi są za małe, żeby pomieścić całą dostępną wiedzę. Są też fizycznie za słabe, żeby np. przeprowadzać eksperymenty lub operacje. Po drugie, kobiety nie powinny się kształcić z powodów psychologicznych. Są zbyt chwiejne i delikatne, a nadmiar wiedzy mógłby je przytłaczać lub demoralizować. Po trzecie, kobiety nigdy się nie kształciły, a świat istniał. Po co im wykształcenie, jeszcze nie będą przez to chciały zakładać rodzin i opiekować się dziećmi. Nie było nawet wiadomo, jak wykształcone kobiety nazywać: doktorki, filozofki, a w przypadku absolwentek medycyny tak niezręcznie i dyskredytująco jak medycynierki?

Dziś wiemy, że wszystkie te argumenty są łatwe do podważenia, jednak w czasach, gdy praktykowała bohaterka niniejszego tekstu, te uprzedzenia były codziennością. Sytuacja kształcących się kobiet w drugiej połowie XIX wieku była podobna pionierom zasiedlającym nowe tereny. Musiały walczyć o swoje i ustalać sposoby radzenia sobie z trudną rzeczywistością. To wymagało determinacji, odwagi i charakteru. Anna Tomaszewicz była pierwszą Polką w Europie, która podjęła studia medyczne i z sukcesem je ukończyła, uzyskując tytuł doktora.

## Wybór pionierskiej ścieżki

Anna Tomaszewicz urodziła się 13 kwietnia 1854 roku w Mławie. Jej ojciec był wojskowym armii carskiej, a matka pochodziła z ziemiaństwa i zajmowała się domem. Do szkoły średniej młoda Anna uczęszczała w Łomży, potem uczyła się na pensji w Warszawie. Już jako nastolatka była przeświadczona, że musi zostać lekarzem. Podjęła nawet protest głodowy, żeby przekonać rodziców. Mając zaledwie 17 lat wyjechała na studia medyczne do Zurychu. Nie miała właściwie innej możliwości, bo żaden uniwersytet w zaborach nie przyjmował wówczas kobiet. Najbardziej postępową w tym względzie była Szwajcaria. Żeby tam pojechać, Anna potrzebowała uprzedniej pomocy korepetytorów. Musiała opanować wiedzę z zakresu

chemii, fizyki, biologii, poznać grekę i łacinę oraz podszlifować niemiecki i francuski. To wymagało dużo wysiłku. Same studia też były wyzwaniem intelektualnym i finansowym. Niech dowodem będzie poniższa statystyka. Do końca XIX wieku na Wydział Lekarski Uniwersytetu w Genewie przyjęto 175 studentek, z czego do dyplomu dotrwało jedynie 14 z nich, a więc zaledwie 8%. Około 1892 roku na uniwersytetach w Szwajcarii studia udawało się ukończyć jedynie co czwartej kobiecie.

Anna ukończyła studia po sześciu latach. Kiedy na nie wyjeżdżała, lokalne gazety odnotowały ten fakt, gdyż była to sytuacja bez precedensu. Tomaszewicz-Dobrska wspominała, że często wymagano od niej więcej niż od studentów płci męskiej, że na każdym kroku musiała walczyć o to, żeby traktowano ją poważnie i merytorycznie. Na trzecim roku prowadziła badania z dr. Ludimarem Hermannem (1838-1914) nad wpływem chloralu na mięśnie. Na piątym roku rozpoczęła pracę jako asystentka Eduarda Hitziga (1839-1907) w Klinice Psychiatrii tamtejszego uniwersytetu. Tam zresztą zaraziła się tyfusem i o mały włos nie straciła życia. Jednak udało się jej wyzdrowieć i dokończyć studia.

Sądzę, że takie wyróżnienie jak współpraca zdolnej studentki z profesorem psychiatrii było możliwe ze względu na postępowość samego uczonego. Był on zaledwie 15 lat starszy od Anny. Dyrektorem Kliniki Psychiatrii i profesorem Uniwersytetu w Zurychu został zaledwie cztery lata przed przyjazdem Polki. Tomaszewicz była pilną studentką i podzielała neurologiczne zainteresowania Hitziga, dlatego pozwolił jej ze sobą pracować. Hitzig, podobnie jak Tomaszewicz, był cudzoziemcem w Szwajcarii. On był Niemcem, ona pochodziła z Królestwa Polskiego. Hitzig został przez historię medycyny zapamiętany za badania nad związkiem między bodźcami elektrycznymi a mózgiem. Eksperymenty przeprowadzał na psach. Odkrył, że odmienne części mózgu odpowiadają za skurcze różnych partii mięśni. Zlokalizował także szczególnie wrażliwy obszar, który później zaczęto nazywać korą motoryczną. Właśnie w tym projekcie uczestniczyła pierwsza polska medycynierka.

Anna Tomaszewicz ukończyła ostatecznie studia w 1877 roku. Obroniła rozprawę o fizjologii błędnika słuchowego.

W Szwajcarii ją ceniono i miała różne propozycje współpracy. W Polsce jej dorobek naukowy też był oceniany przychylnie. Jego entuzjastą był np. prof. Henryk Hoyer (1834-1907), profesor UW i Akademii Medyko-Chirurgicznej w Warszawie. Był też prezesem Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego. Oceniał artykuł *O działalności chloralu i kwasu trójchlorooctowego* oraz tekst *Przyczynek do fizjologii błędnika* jako prace wnikliwe i bardzo wartościowe. Jego pozytywna opinia nie wystarczyła jednak, by Anna mogła zostać przyjęta w poczet towarzystwa, a jej dorobek uznany. W konsekwencji nie otrzymała od towarzystwa zgody na wykonywanie zawodu lekarza przede wszystkim z tego powodu, że była kobietą.

Wykorzystano do tego celu aspekt formalny. Ówczesne przepisy nie pozwalały na nostryfikację dyplomu uzyskanego na zagranicznej uczelni. Anna nie mogła więc pracować jako lekarz na ziemiach polskich, bo nie miała polskiego dyplomu. Nie było jednak uczelni polskiej, która mogła jej taki dokument wydać, bo wtedy nie przyjmowały one w ogóle kobiet. Sytuacja wyglądała więc mało zachęcająco. Jej oferty pracy nie przyjął nawet Czerwony Krzyż, zaślanając się tymi samymi przepisami. Anna Tomaszewicz nie miała innego wyjścia jak jechać w głąb Rosji, by zaliczyć dodatkowe zajęcia i zdać egzaminy.

### Medycynierka w Petersburgu

Podróż do Petersburga była długa i męcząca. Na miejscu Annę czekało kolejne rozczarowanie. Okazało się, że od 1876 roku istnieje przepis mówiący, że dyplomy szwajcarskie nie będą uznawane w Rosji. O tym, że dopuszczono ją jednak do egzaminów, przesądził przypadek. W tym czasie w Petersburgu przebywał sułtan razem ze swoim haremem. Do jego obsługi poszukiwano kobiety-lekarka, która by znała niemiecki, francuski i angielski. Anna jako jedyna spełniała te warunki. Pozwolono jej pracować na rzecz muzułmanek i dopuszczono do egzaminów lekarskich.

Tomaszewicz mieszkała w sąsiedztwie brata Władysława, który studiował inżynierię. Ściągnął on na siostrę kłopoty w postaci uwagi policji carskiej. Sam sympatyzował z kręgami socjalistycznymi, o co podejrzewano także i Annę. Żeby uwolnić się od szpiegów, trzeba było dawać im łapówki. Anna miała skromne fundusze do dyspozycji, a możliwości pracy zarobkowej dla kobiety w tamtym czasie i miejscu były prawie żadne, dlatego brakowało jej nawet środków na jedzenie. Sytuacja utrzymywała się do 1880 roku, kiedy to oficjalnie uzyskała nostryfikację dyplomu i wypełniła kontrakt w haremie.

Z fabularyzowanej biografii autorstwa Ałbeny Grabowskiej dowiadujemy się, że społeczność Petersburga była jeszcze bardziej konserwatywna niż ówczesnej Warszawy. Kobięcie było trudno poruszać się samodzielnie po mieście, a załatwienie sprawy urzędowej bez asysty mężczyzny graniczyło z cudem. W mieście panowała bieda i wielu dotykał głód (w tym studentów). Na uczelniach panował strach. Powszechnie chwalono cara ze strachu przed represjami. Sama praca w haremie też nie była łatwa. Z początku Anna musiała diagnozować swoje



Anna Tomaszewicz-Dobrska

pacjentki bez badania, tylko na podstawie tego, co stwierdziła opiekunka haremu, czyli matka sułtana. Ostatecznie Anna była obecna przy porodzie jednego z dzieci sułtana, czym zyskała jego przychylność.

### Powrót do Warszawy

Według komentarzy publicystów, w tym Aleksandra Świętochowskiego i Bolesława Prusa, Anny Tomaszewicz nie przyjęto do grona polskich lekarzy nie dlatego, że była złym specjalistą, ale żeby nie dawać „złego przykładu” innym kobietom i nie zachęcać ich do studiowania medycyny. „Uwijać się będzie u nas kanarek między wróblami – donosił Świętochowski w „Przeglądzie Tygodniowym” – panna Tomaszewicz, polska lekarka wykształcona w Zurichu (pisownia oryginalna), między synami Eskulapa, którzy ją dziobać już zaczęli. [...] Jest to wszakże drobny zawód – nawet dla pierwszej lekarki” (*Echa warszawskie*, „Przegląd Tygodniowy” 1878, nr 4 s. 39). Zresztą nie było też tak, że całe środowisko było przeciwnie. Annie zabrakło jednego głosu do uzyskania wymaganych dwóch trzecich większości w pamiętnym głosowaniu (19 głosowało za przyjęciem panny Tomaszewicz, 11 – przeciw). I choć po ogłoszeniu decyzji TLW rozpętała się medialna burza na łamach czasopism, sama zainteresowana nigdy ponownie nie przedstawiła swojej kandydatury towarzystwu. Pierwszą kobietą – członkinią Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego została Elżbieta Downarowicz w 1895 roku, czyli kiedy Anna Tomaszewicz praktykowała już od ponad 15 lat.

Z powrotem Anny do Warszawy zbiegła się publikacja powieści w odcinkach autorstwa Stanisława Krupskiego pt. *Pod skrzydłami Almae Matris. Powieść z kluczem* (1879-1880). Dotyczyła ona młodej panny Zosi, która wybiera się na studia medyczne do Zurychu. Tam nie radziła sobie najlepiej. Zemdląła na widok krwi. Była wyśmiewana przez studentów, a profesorowie wytykali jej braki w wiedzy. Dziewczyna uwikłała się też w romans. Doróżkarz uznał ją za prostytutkę. Doktor polskiego pochodzenia, niejaki Sybiracki, przekonał dziewczynę, żeby zrezygnowała ze studiów medycznych, gdyż są one nieodpowiednie dla kobiety. Tak też się stało. Opinia społeczna uznała, że losy Zosi są tak naprawdę historią Anny Tomaszewicz. Mimo że sam autor zaprzeczył, to jednak nie uciszyło to plotek. Było zbyt dużo zbieżności – miejsce studiów, ich kierunek, a nawet wygląd postaci. Co więcej, ostatnie odcinki ukazały się w czasopiśmie „Kłosa” dokładnie wtedy, kiedy Anna Tomaszewicz wróciła do Warszawy z Petersburga i miała zaczynać praktykę. Te mniej lub bardziej zawaolowane ataki prasowe towarzyszyły naszej bohaterce przez kolejne 15 lat.

W 1881 roku Anna Tomaszewicz wyszła za mąż za kolegę po fachu Konrada Dobrskiego (1849-1915). Był on wtedy redaktorem naczelnym czasopisma „Zdrowie”, a później został nawet członkiem zarządu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego. Był więc ważną osobą w środowisku medyków stolicy. Dwa lata później urodził się ich jedyny syn Ignacy. Małżeństwo Dobrskich, ze względu na podobne zainteresowania i wyko-

nywany zawód, miało wiele szans na powodzenie. Jednak po kilku latach drogi Dobrskich się rozeszły i zaczęły prowadzić osobne życia. Tomaszewicz-Dobrska nie ceniła specjalnie tradycyjnej roli matki jako wychowawczyni. Uważała, że jest dla większości kobiet niewykonalna i niszczy indywidualizm kobiet. Matki stają się ofiarami własnych dzieci. One właśnie „uzbrajają się przeciwko niej [tj. matce], córka skargą bezradności, a syn niedorzeczną pychą płci” (*Obchód jubileuszu Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit*, „Ster” 1911, dod. nadzw., s. 14). Szereg funkcji wychowawczych powinno zdaniem Tomaszewicz-Dobrskiej przejąć społeczeństwo. Jej jedyny syn Ignacy mimo dostępu do najlepszego wykształcenia, nigdy nie pracował w wyuczonym zawodzie inżyniera. Zamiast tego prowadził dosyć niestandardowe życie, m.in. był hodowcą zwierząt w Kanadzie, Turkmenistanie i Algierze.

## Przytułek położniczy nr 2

Pierwszy prywatny gabinet dr Tomaszewicz mieścił się przy ul. Twardej i świecił pustkami. Według zapisu na nostryfikowanym dyplomie mogła ona leczyć tylko choroby kobiece i dziecięce. Chorych chętnych zasięgnięcia porady od kobiety było niewiele. A przynajmniej niewiele było takich, którzy mogli zapłacić. Tomaszewicz nie miała też specjalnie szans na zatrudnienie w którymś z trzech szpitali położniczych w stolicy. „Na pomoc” przyszła jej epidemia gorączki połogowej, która wybuchła w 1882 roku. Był to oczywiście jedynie zbieg okoliczności, ale dla naszej bohaterki okazał się korzystny. Administracja państwa postanowiła otworzyć sześć nowych przytułków położniczych. Na jedno miejsce lekarskie przypadało szesnastu kandydatów. Anna wiedziała, że nie ma szans, ale wystarała się u przemysłowca i filantropa Stanisława Kronenberga o dotację na utworzenie placówki. Kwota, jak na tamte czasy, była niebagatelna – 10 tys. rubli. Do tego Tomaszewicz zadbała, żeby to Kronenberg zdecydował, kto pokieruje przytułkiem. W ten sposób została pierwszą kobietą-dyrektorem placówki medycznej. Przytułek istniał do 1911 roku, kiedy to przekształcił się w Szpital św. Zofii.

Anna Tomaszewicz-Dobrska prowadziła przytułek przez 30 lat. Kończąc pracę, postanowiła podsumować jego specyfikę w opracowaniu liczącym nieco ponad sto stron (*Sprawozdanie z działalności Przytułku Położniczego 2-go za cały czas jego istnienia od 17 listopada 1882 r. do 1 lipca 1911 r.*, Warszawa 1912). Z tekstu dowiadujemy się sporo o standardzie opieki okołoporodowej w tamtym czasie. Rola kierowniczkii takiego zakładu nie sprowadzała się do funkcji lekarskich. Anna musiała być także księgową, a niekiedy nawet odźwiernią czy sprzątaczką. Na podstawie zgromadzonego doświadczenia skrytykowała koncepcję małych przytułków dla kobiet, które ze względu na niewielkie rozmiary nie mogły się modernizować czy rozwijać. Radni miejscy wychodzili z założenia, że tak chronią miasto przed szerzeniem się gorączki połogowej. Tomaszewicz-Dobrska po raz kolejny podkreśliła, że to nie wielkość placówki decyduje o zagrożeniu epidemią, a przestrzeganie standardów sanitarnych, przede wszystkim mycie rąk. Na początku XX wieku było już raczej oczywiste, że położnice nie umierają od zaduchu czy miazmatów, lecz są zakażane przez badających je lekarzy. W połowie XIX wieku nie było to jeszcze powszechnie uznawane jako fakt. Tomaszewicz-Dobrska raportowała, że na początku działalności w jej przytułku śmiertelność przy porodzie wynosiła między 8% a 15%. Wtedy te liczby nie były zatrważające, lecz mieściły się w normie.

Przytułek znajdował się przez pierwsze siedem lat na ul. Prostej, potem został przeniesiony na ul. Żelazną. Warunki w tej pierwszej lokalizacji były szczególnie złe. Nie było kanalizacji, bieżącej wody, toalet, odpowiedniej wentylacji. Kobiety leżały w ścisku, bez prywatności. Do pomocy dr Anna miała tylko

jedną akuszerkę i dwie służące. Na ul. Żelaznej niektóre z tych problemów rozwiązały się automatycznie, gdyż budynek był nowocześniejszy. Tomaszewicz-Dobrska narzekała także na rodziny towarzyszące chorym, które swoimi zabobonnymi przekonaniami zakłócały procedury medyczne. Ponieważ Kronenberg przekazywał datki nieregularnie, dr Anna była zmuszona do wprowadzenia opłaty za łóżko (pół rubla za dobę). Wyszukiwała też mamki dla zamożnych kobiet, czego szczerze nie cierpiała.

W 1896 roku Anna Tomaszewicz-Dobrska jako pierwsza na ziemiach polskich wykonała cięcie cesarskie. W 1911 zarportowała spadek śmiertelności położnic i noworodków, który ustabilizował się na poziomie od 2 do 0,5% dla kobiet i 1,7% dla noworodków, co było znaczną poprawą względem początków działalności.

## Działalność społeczna

Zdaniem Tomaszewicz-Dobrskiej, brak kontroli nad zdrowiem i płodnością kobiet to główna przeszkoda w ich emancypacji. Doświadczona pracą w przytułku dla kobiet marginesu postrzegała dzieci jako zagrożenie dla zdrowia, a nawet integralności osobowości. Los kobiet pod koniec XIX wieku zdecydowanie nie należał do lekkich, stąd pewnie ten dosyć kontrowersyjny jak na tamte czasy pogląd. Mimo to doktor Anna prowadziła szereg aktywności, które miały poprawić jakość życia kobiet i ich dzieci. Wygłaszała wykłady dla akuszerek, ponieważ uważała, że należy walczyć z zabobonami związanymi z porodem. W latach 1884-1905 była lekarką w Schronieniu Nauczycielek, przytułku dla starszych i schorowanych guwernantek (wszak nie było wtedy emerytur). Pracowała także w szwalniach dla dziewcząt, czyli w takich świetlicach, gdzie za jedzenie i dach nad głową dziewczyny szyły bieliznę lub haftowały. W latach 1890-1905 Tomaszewicz-Dobrska była lekarką w Towarzystwie Kolonii Letnich dla Dzieci. Organizacja ta troszczyła się o najbardziej niebezpieczne dzieci Warszawy. W swoim prywatnym domu w Otwocku leczyła pacjentów, którzy potrzebowali „uzdrowiającej mocy” wsi. Głównie trafiali tam chorzy walczący z gruźlicą.

Przez wielu była postrzegana jako ikona feminizmu na ziemiach polskich, dlatego zapraszano ją do wygłaszania referatów popularnonaukowych i pisania felietonów. Tomaszewicz-Dobrska według Świętochowskiego „nie mówiła, a pisała, nie gniewała się, ale ubolewała, nie śmiała się, ale uśmiechała” (*List do Walentyny Nagórskiej*, „Niepodległość” 1935 nr 2, s. 191). Była mądra, opanowana, sprawiedliwa i oddana swojemu zawodowi. Wbrew powszechnemu przeświadczeniu nie nosiła się jak mężczyzna, a była bardzo kobieca. Chętnie wyjaśniała kwestie związane z higieną czy dbaniem o chorego. Była członkinią Towarzystwa Kultury Polskiej i publikowała w jego tygodniku. Wspierała inne feministki. Wzięła udział w zjeździe kobiet z trzech zaborów, zorganizowanym przez Melanię Rajchmanową (1857-1913), znaną emancypantkę i publicystkę.

Pod koniec życia refleksje Tomaszewicz-Dobrskiej były trochę bardziej gorzkie, zwłaszcza w odniesieniu do statusu kobiet w społeczeństwie i pracy zawodowej. Uznała, że większość kobiet przegrała swoją walkę, „jak owce pędzone przez krzaki cierniste tracą wełnę” (*Obchód jubileuszu...*). Zbyt wiele trzeba było poświęcić i ze zbyt wieloma przeszkodami się mierzyć, by w pełni rozwinąć potencjał. Doktor Anna uznała, że większość z nich utraciła siły po drodze i zatrzymała się jako nauczycielki, guwernantki lub wiejskie lekarki, co uważała za stratę.

*Anna Tomaszewicz-Dobrska odeszła 12 czerwca 1918 roku w wyniku powikłań po przebytej gruźlicy. Trzy lata wcześniej zmarł jej mąż dr Konrad Dobrski. Jedyny syn przyjechał, żeby ją pożegnać, ale w momencie agonii zakazała go wzywać. Została pochowana na Powązkach w Warszawie. Wolnej Polski nie doczekała.*

Piotr Hübner

# Pożegnanie z PRL-em

Akademia zaczęła się od podniesienia kurtyny, bo wtedy jeszcze w kinach takowe bywały. Na scenie stało około dwadzieścioro uczniów z gazetami w rękach. Zaczęli odczytywać materiały, bardzo tendencyjne: o dorobku, traktorach, surówce stali itp. Wszystko, co było powszechnie znane.

Moja działalność organizacyjna w związku zawodowym wiązała się początkowo z pracą nauczycielską. Generalnie nie byłem zorientowany na zaangażowanie w jakichkolwiek strukturach organizacyjnych, ale w małej społeczności, jaką jest szkoła, minimalny poziom zaangażowania był konieczny. Naturalną formą działalności jest forma związkowa. Pierwszym miejscem mojej pracy stało się Technikum Ekonomiczne we Włochach pod Warszawą (obecnie w Warszawie, po roku przekształcone w liceum). Tam zostałem wybrany na sekretarza ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ten wybór ceniłem dlatego, że w tajnym głosowaniu tylko jedna z trzydziestu osób była przeciwna mojej kandydaturze. ZNP miał przedwojenny i powojenny dorobek, zredukowany w okresie stalinizmu. Doświadczenia z ZNP dotyczyły tylko sfery socjalnej (wczasy) oraz szkoleń. Jednak po przejściu do pracy w Instytucie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk w 1972 roku pojawiła się praca koncepcyjna. Tam, w komisji związkowej, brałem udział w przygotowaniu projektu kodeksu etyki pracownika naukowego. Potem dowiedziałem się z archiwaliów, że prace nad kodeksem były kontrolowane przez aparat partyjny. To, na co kierujemy pracę i emocje, nie powinno zderzać się z ukrytymi wymiarami „brzydkiej” rzeczywistości. W Liceum Ogólnokształcącym imienia Jarosława Dąbrowskiego przy ulicy Świętokrzyskiej, gdzie pracowałem w latach 1975-1981, też wybrano mnie na sekretarza ogniska ZNP. Nic poza sprawami socjalnymi tam się nie działo. Gdy przyszła „Solidarność”, dokonała się w liceum swoista rewolucja. Działalność tego ruchu rozpatruje się zazwyczaj w kategorii makro, całego kraju, co najwyższej poszczególnych zakładów pracy. Natomiast pomija się małe struktury, jakimi były ogniska związkowe.

Chociaż szkoła, w której pracowałem, miała rozszerzony program kształcenia z języka rosyjskiego i była uznawana za placówkę dla przyszłych elit partyjnych, już na początku roku szkolnego 1980/1981 doszło do spotkania organizacyjnego „Solidarności”. Sprawy polityczne były tam zawsze pod kontrolą. Pamiętam kilka interwencji. Zgłosił się do mnie ojciec uczennicy z zarzutem, że uczę, iż w Katyniu zamordowano polskich oficerów. Jego córka nie napisała pracy, którą wszystkim zleciłem, na temat wpływu mediów na obraz zdarzeń historycznych. Uzasadniała, że temat jest „prowokacyjny”. Ojciec przedstawił się jako wykładowca akademii prowadzonej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Byłem świeżo po lekturze książki francuskiego badacza, który pisał o 17 milionach ofiar stali-

nizmu. Z argumentami rzeczowymi dałem sobie radę. Sądzę, że ojciec poprzestał na rozmowie, kierując się dobrem córki, która miała zdawać maturę. Uczennica należała do uzdolnionych, znaleźliśmy więc z jej ojcem rozwiązanie: napisała opracowanie na temat tez materializmu historycznego. Prace pozostałych uczniów wskazywały, że media zmieniają tendencyjnie obraz rzeczywistości. Z podobnymi interwencjami borykał się mój kolega, filozof Paweł Dybel, będący z doktoratem na swoim wygnaniu w tej szkole.

Wyjątkowo strachliwa pani dyrektor była z wykształcenia fizykiem. Zasłużyła na tytuł twórcy nowej moralności, gdy podczas związkowej wycieczki do NRD przejęła władzę, by przydzielić jedyny mały, czteroosobowy pokój w prowizorycznym hoteliku. Wybrała formułę: „niech tam nocują dwa małżeństwa”. Wsławiła się tym, że w 1981 roku podczas studniówki stanęła w drzwiach szkoły, bo się dowiedziała, że przychodzi Jan Pietrzak. Został zaproszony przez grupę uczniów, by wystąpić z paroma piosenkami. Zapowiedziała, że go nie wpuści i nie wpuściła, powołując się na uprawnienia dyrektora. Zdarzenie opisał krytycznie tygodnik „Polityka”.

## „Solidarność” potrafi

Na zebraniu założycielskim szkolnej „Solidarności” okazało się, że niemal wszyscy chcą się wypisać z ZNP i zapisać do „Solidarności”. W ognisku ZNP pozostała mała grupa osób partyjnych, w sposób wyraźny wspierających władzę. Wybrano mnie na prezesa szkolnej „Solidarności”. Bezpośrednio po spotkaniu uruchomiliśmy nową tablicę informacyjną w pokoju nauczycielskim. Gdy na tablicy ZNP pojawił się apel o zachowanie „wspólnego domu”, polemicznie tytułowałem: „Administracja wspólnego domu” chce zachować dotychczasowy stan rzeczy... Poruszyliśmy sprawy, które były widoczne na pierwszy rzut oka. Odkryliśmy, że „na stanie” szkoły figuruje siedem czy osiem telewizorów, ale tylko jeden z nich jest do użytku nauczycieli. Zapytaliśmy więc, gdzie są pozostałe telewizory, co wzbudziło wielką niechęć. Drugą sprawą była kwestia drobnego okradania, ale systematycznego. Ginęły drobniutki nauczycielek: apaszki, rękawiczki, parasolki, czekoladki. Założyliśmy na tablicy listę rzeczy utraconych. Z czasem ta lista stała się bardzo długa, co zmobilizowało dyrektorę. Wszczęła śledztwo, być może kierowana jakimiś podejrzeniami. Winną okazała się wieloletnia woźna, która w swoim schowku przechowywała wszystkie te – jak to się mówi w grypszerze – „fanty”. Doszło do swojego

przełomu czy szoku. Okazało się, że Związek Zawodowy „Solidarność” potrafi skutecznie obronić nauczycieli.

Główną sprawą, którą poruszyliśmy na początku działalności związku, była ukryta wada szkolnictwa – mianowicie biurokracja. Myślę, że była i jest to wada numer jeden. Symbolem biurokracji w szkole była oczywiście dyrekcja, pokój dyrektorski, relacje między sekretariatem a dyrekcją. Te sprawy miały charakter personalny, ale wiązały się też z tym, że kto ma dostęp do informacji, ma też władzę. Poruszyliśmy na początku taką kwestię: jak wygląda gabinet dyrektorski, jak jest wyposażony, a jak wygląda pokój nauczycielski. Ten ostatni został wyznaczony w jednej z klas. Miał dużo okien od strony ul. Świętokrzyskiej, co było jednym plusem.

Wyposażenie stanowiły stoliki stołkowe, do nich po cztery krzesła. Symboliczna serwetka i kwiatki, tablice związkowe oraz jakaś szafa na dokumenty i dzienniki. Natomiast w gabinecie dyrektorskim znajdował się dywan, regały (w formie etażerek lub witryn z nagrodami i kryształami i innymi prezentami, które szkoła otrzymywała), grube, ciężkie firanki na oknie, telewizor (być może jeden z tych zaginionych). Stał też ekspres do kawy z wyposażeniem. Może był też barek. Do lat 70. było to typowe wyposażenie, ponieważ dyrekcja wypełniała też funkcje reprezentacyjne. Na ścianach wisiały makaty. Drzwi stały prawie zawsze zamknięte. Wchodziło się tylko przez sekretariat i wtedy odbywała się cała ceremonia związana z wejściem. Po pierwsze trzeba było się umó-

Źródło: Śląska Biblioteka Cyfrowa



Akademia pierwszomajowa w Kozłowej Górze

wić. Po drugie obowiązywała zasada: im niższa ranga, tym potentent musiał dłużej odczekać.

Członkostwo w ZNP było do tego czasu powszechne, bo bez tego nie można było otrzymać wczasów, pożyczki mieszkaniowej. Władza „pielęgnowała” związek. Wymagano „aktywności społecznej” od nauczycieli. Znałem jednego nauczyciela, który się demonstracyjnie wypisał, choć związek de facto był powszechny i działał jak samorząd. W październiku 1980 r., po legalizacji „Solidarności”, sytuacja zmieniła się diametralnie. Nie można było pozostawać członkiem w obu organizacjach jednocześnie, odnotowano znaczny odpływ od ZNP. Do „Solidarności” zapisało się 10 mln osób. Nie można było się jednak zapisać tak po prostu, „z ulicy”. Udział w związku zawodowym wymagał pracy etatowej. Wyjątkiem była „Solidarność Rolników Indywidualnych”, tu warsztat pracy był rodzinny.

Byłem z wyboru kolegów przewodniczącym koła „Solidarności”. W pewnym momencie dyrekcja próbowała zastosować na mnie próbę presji. To był czas tzw. prowokacji bydgoskiej, w marcu 1981 r., wiążącej się z pobiciem działaczy „Solidarności”, m.in. Jana Rulewskiego. Chciano mnie zastraszyć. W tym celu zaproszono do gabinetu dyrektorskiego. Przedstawiono mi pracownika z Działu Oświaty PZPR. Przeprowadził ze mną tzw. rozmowę ostrzegawczą, która jednak nic nie dała i nie brałem jej pod uwagę.

### Śmiałem się do łez

„Zaraza solidarnościowa” zaczęła się rozprzestrzeniać na inne szkoły. Gdy doszło do wyborów w „Solidarności Oświaty Śródmieścia”, zostałem przewodniczącym Komisji Zakładowej „Oświata NSZZ Solidarność Warszawa Śródmieście”. Była to centralna placówka ogólnopolska, co odczuwało się chociażby w kontaktach z innymi nauczycielami. Wielu z nich, pochodzących z prowincjonalnych szkół, zgłaszało się do nas po poradę. Jakiś kontakt mieliśmy też z centralą, tj. Sekcją Oświaty na szczeblu ogólnokrajowym, ale generalnie działaliśmy samoistnie. W Komisji Zakładowej występowały tendencje odśrodkowe, niektórzy działacze byli zwolennikami partykularnego zorganizowania w każdej szkole odrębnej komisji zakładowej.

Osoby, które działały w tej komisji, od początku znalazły płaszczyznę wspólnego działania opartego na tym samym systemie wartości. Ja, który z natury byłem samotnikiem, nagle się uspołeczniałem i przyszło mi to bez trudu, a nawet sprawiało przyjemność. Przyjacielem moim został także poprzedni przewodniczący, Maciej Jenike, który pochodził z nominacji tajnej Komisji Oświaty. Miał więc doświadczenie konspiracyjne. Do nas z tego czasu docierały broszury informacyjne wykonywane na powielaczu.

Momentem przełomowym była sprawa akademii 1 Maja w 1981 roku. Moją zastępczynią w „Solidarności” była nauczycielka fizyki Dorota Lewandowska. Zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc. Obchody majowe miały być zorganizowane w śródmiejskim kinie „Skarpa”. Akademia została zorganizowana dla trzech szkół ogólnokształcących ze Śródmieścia. Przewidziano wielu ważnych gości. Miała to być uroczystość w „starym stylu”, z udziałem rodziców. Dorota w obliczu takiego zadania czuła się bezradna – co z takim fantem zrobić? Próbowała się wykryć, ale nie pozwolono jej na to. Myślę, że była to forma konfrontacji, nie tyle ze strony dyrektorki (bo ona własnych pomysłów nie miała), ale ze strony dzielnicowych władz partyjnych. To byli inspektorzy ds. oświaty, „szare eminencje” partyjne.

Wpadłem na pomysł, który zdecydowaliśmy się zrealizować. Pani Dorota nawet była w tym zakresie kontrolowana przez

dyrektorkę. Pomysł był taki, żeby przedstawić materiał z wydarzeń poprzedniego roku, tj. relacji prasowych z poprzedniego 1 Maja, kiedy „Solidarności” jeszcze nie było. W tym celu chcieliśmy wykorzystać materiały z „Trybuny Ludu”. Młodzież, która od razu się zorientowała, co się kroi, zgodziła się ubrać w białe koszule i czerwone krawaty. Akademia zaczęła się od podniesienia kurtyny, bo wtedy jeszcze w kinach takowe bywały. Na scenie stało około dwadzieścioro uczniów z gazetami w rękach. Zaczęli odczytywać materiały, bardzo tendencyjne: o dorobku, traktorach, surówce stali itp. Wszystko, co było powszechnie znane.

Najpierw nastąpiła cisza, potem pojawiły się pojedyncze gwizdy. Po tym wszystkim około trzy tysiące osób zgromadzonych na sali zaczęło ryczeć ze śmiechu, dosłownie „wyc” (jak to młodzież), podkreślać brawami co lepsze fragmenty, w których propaganda była wyjątkowo nachalna. Ja sam także się śmiałem, aż mi łzy poleciały. Nie spodziewałem się takiego efektu. Patrzyłem też, co się dzieje z oficjalnymi delegacjami i dyrektorkami liceów objętych obchodami. Zorganizowali na gorąco małe zebranie na tyłach sali kina, już po pierwszych kilku zdaniach ze sceny. Debатовano nad kwestią przerwania akademii. Było to jednak problematyczne, ponieważ nie wiadomo było, co zrobić ze zgromadzoną młodzieżą. Po drugie, maglowano dyrektorkę naszej szkoły, czy dostatecznie skontrolowała treść akademii. Ona potwierdziła, że kontrolowała i treści wydawały się jej w porządku. Było widać poczucie bezradności ze strony tej grupy. Nie mogąc przerwać superpartyjnych tekstów, musieli dotrwać do końca. Punktą wydarzenia niech będzie to, że młodzież była zachwycona. Doskonale wiedziała, o co chodzi. To było takie swoiste „pożegnanie z PRL-em”, w najlepszym tego słowa znaczeniu.

### Życiowy sukces w walce z systemem

W ośrodkach władzy pojawiła się w marcu 1981 r. myśl, że możliwe byłoby użycie siły wobec ludzi „Solidarności”. W maju te próby stosowania presji nadal istniały. Charakterystyczna więc była reakcja na opisane przed chwilą wydarzenia. Dyrektorka nie zamierzała rozmawiać z moją zastępczynią w związku, która była oficjalnie odpowiedzialna za przygotowanie akademii. Do mnie natomiast zwróciła się bezpartyjna polonistka. To było już przy wyjściu z kina. Była to starsza pani o przedwojennym wyglądzie, ale raczej wychowana w pokoleniu ZMP (tak myślę). Powiedziała tak: „Mam głęboki żal do pana. Domyślił się, że ja byłem pomysłodawcą, ponieważ my to wszystko żeśmy przeżywali, a pan zrobił z tego pośmiewisko”. Rzeczywiście w tym momencie nieco przykro mi się zrobiło, ponieważ ta pani nie należała do grupy partyjnej i patrzyła na to wszystko od strony pedagogicznej. Nie mam jednak wątpliwości, że osiągnąłem wtedy – żartobliwie mówiąc – życiowy sukces w walce z systemem.

Władze oświatowej Dzielnicy Śródmieście też mnie doceniały. Okazję dała decyzja Komisji do spraw Krzywiznących Decyzji przy Prezydium PAN – stworzono możliwość mojego powrotu do etatowej pracy w PAN. Gdy udałem się w sierpniu 1981 roku do kierownika Wydziału Oświaty w sprawie zakończenia pracy w szkole, załatwiono formalności po godzinie, a nawet odwieziono mnie z dokumentami służbowym samochodem do Pałacu Staszica. Władze nie kryły zadowolenia, że „pozbyły się” krytyka systemu. Funkcje związkowe wygasły, gdy odzyskałem etat w PAN. Zostałem szeregowym członkiem „Solidarności”, co uchroniło mnie przed internowaniem po wprowadzeniu stanu wojennego, wojny z własnym społeczeństwem. Internowano mojego następcę, którym został Maciej Jenike.

# O niektórych skutkach reklamowania

Znowu krytycznie o reklamach, ale muszę, choć nie twierdzę, że reklama jest czymś z założenia złym, niepotrzebnym, szkodliwym i że wszystkie reklamy zasługują na potępienie. Uważam jednak, że już dawno w reklamowaniu złamano kryteria przyzwoitości i niektórzy reklamodawcy (producenci) oraz reklamotwórcy (wykonawcy reklam; copywriters, czytaj: kopirajtersi; kopirajterzy) zapomnieli definicji reklamy, na skutek czego zamiast zawiadamiania o produkcie i chwalenia go stosują nieuprawnione zachęcanie do wydawania nań pieniędzy. Sprawdźmy więc, czym jest reklama w sensie językowym. Doskonale ujmuje to *Inny słownik języka polskiego* pod redakcją prof. Mirosława Bańki.

Definicja pierwszego znaczenia słowa „reklama” brzmi: „Reklama to informowanie ludzi o towarach lub usługach i podkreślanie ich zalet, tak aby ludzie chcieli za nie zapłacić”. Jest i drugie znaczenie słowa „reklama”, mianowicie „Napis, plakat, film itp. reklamujący jakiś towar lub czyjeś usługi”. Słowo „reklama” może być też „rzeczownikową formą czasownika, oznaczającą czynność reklamowania”. Tyle słownik. Dodam jeszcze, że potoczne słówko „reklamować” lub „reklama kogoś z czegoś” (na przykład z obowiązku; reklamowanie z wojska itp.) znaczy „powodowanie, że jakaś władza kogoś zwalnia z czegoś, przestaje od niego wymagać”.

Chodzi mi głównie o reklamę produktów i o to, aby zwrócić uwagę, że w praktyce reklamowej nie wszystko z podanymi definicjami się zgadza. W niektórych reklamach pojawia się fałsz, na który trudno się zgodzić, a którego większość odbiorców nie zauważa. Klasycznym już dziś przykładem tego zjawiska jest zachęcanie do zmiany leczenia z lekarskiego na nielekarskie i oparte na reklamowanym produkcie, co może prowadzić do skutków wręcz tragicznych. Ostatnio przykładem takiego działania jest reklamowanie preparatu morwy, który rzekomo ma leczyć cukrzycę, ale jej nie leczy. W wypadku zaniechania stosowania insuliny nie zmniejsza niebezpiecznych skutków biologicznych choroby. To bardzo niebezpieczne, bo preparat, reklamowany jako doskonały i rzekomo nowy, ma w nazwie właśnie insulinę.

Ponieważ wielu ludzi, nawet gruntownie wykształconych (ale nie w zakresie biologii czy medycyny) uważa, że nie jest możliwe, aby w telewizji, radiu i gazetach, a ostatnio w Internecie, ktokolwiek ośmielał się kłamać w sprawach zdrowia i choroby, a tym samym życia i śmierci, powstaje okoliczność, która może być tragiczna. Umieszczana w treści reklam produktów medycznych formułka o konieczności zasięgnięcia opinii lekarza lub farmaceuty bynajmniej nie działa na chorych trzeźwiaco.

Odbiorcy, którzy pod wpływem anonsu handlowego zmieniają zalecane przez lekarza leczenie na reklamowane, bezwiednie sobie szkodzą. Wcale nierzadko uważają, że odradzanie takiego postępowania jest chwytem wymyślonym przez lekarzy, a – jak nieraz słyszałem z ust pacjentów – szczególnie Izby Lekarskiej. Sądzą, że medycy bronią swoich metod wbrew interesowi cho-

rych, co szczególnie jaskrawo daje się zauważyć w propagowaniu szczepień i szczepionek. I chorzy tacy odstawiają niezbędne dla zdrowia i życia leki, nawet przeciwnowotworowe, a zamiast tego przyjmują preparaty, choćby te, które „wzmacniają odporność”. Najczęściej kończy się to uporczywym stosowaniem leków wspomagających leczenie zamiast rzeczywiście i szybko leczących.

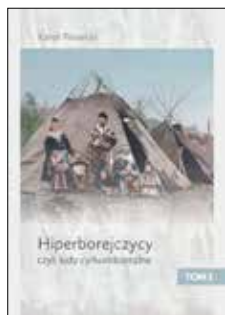
To nie koniec sprawy. Coraz więcej ludzi wierzy, że cierpi na nieznanie sobie choroby. Teraz dowiadują się o nich dzięki reklamie. I mają szansę wyzdrowieć! Reklamodawcy uprawiają bowiem tak zwane podżeganie chorobowe (ang. disease mongering), o którym pisała znana pisarka amerykańska Lynn Payer w słynnej książce *Disease-Mongers: How Doctors, Drug Companies, and Insurers Are Making You Feel Sick*, wydanej w 1992 r. Badacze Ray Moynihan, Iona Heath i David Nehry w jednym z najlepszych medycznych czasopism świata „British Medical Journal” ogłosili pracę, w której objaśniają tak zwane korporacyjne wmawianie choroby. Big Pharma (Wielka Farmacja, spisek producentów leków) najpierw definiuje choroby (na przykład pasożytnicze albo polegające na braku odporności), by następnie wmawiać je w konsumentów i nakłaniać do kupowania gigantycznych ilości bezwartościowych medycznie preparatów za absolutnie wartościowe i niewiarygodnie duże pieniądze.

Wygląda na to, że producenci, reklamujący nie tylko rzekome leki (odsuwające od leczenia medycznego), ale i wszelkie inne produkty, posuwają się do chwytów, które zostawiają po sobie spustoszenie. Nawet językowe. Wymuszają używanie języka niepoprawnego. Szkoły copywriterów twierdzą, że reklamy powinny być podawane językiem najniższej wykształconych warstw społecznych, ponieważ te są najliczniejsze i to one stanowią największą grupę klientów. Należy więc zniżać się do nich na przykład przez podawanie rzekomych pochwał (typu: „jesteś tego warta”), twierdzeń i wyrażen tak ogólnych, że kłamliwych (np. o „leku przeciwwirusowym” albo „na wątrobę”, mimo że takie nie istnieją) i błędnych wyrażen, a to w taki sposób, aby klienci nie zauważyli, że reklamy są robione pod nich. Dlatego w ogłoszeniach handlowych nie spotkamy błędów typu „poszleś” (poprawnie: „poszedłeś”), bo każdy wie, że tak się nie mówi.

Natomiast coraz częściej spotykamy celowe błędy: „wsiadać w samochód” (poprawnie: „do samochodu”), „w lato” (poprawnie: „w lecie”, „latem”), „w zimę” (poprawnie: „w zimie”, „zimą”), „w (te) wakacje” (poprawnie: „w czasie [tych] wakacji”, „w okresie [tych] wakacji”, „w ciągu [tych] wakacji”), „naturalnie” (czyli oczywiście, zamiast: „w sposób naturalny”) czy „problematyczny” (czyli wątpliwy, zamiast: „kłopotliwy”, „trudny”). Ba, język ten przejmują dziennikarze (wszystkich telewizji i rozgłośni), a za nimi i wykształceni, i młodzi. Słyszą to w reklamach i powtarzają, bo uważają za mowę poprawną.

e-mail: lpj@lpj.pl

## Puste sanie



Współczesny turysta chce zobaczyć wszystko, co się da. Pragnie zajrzeć w miejsca, w które do tej pory zaglądali tylko nieliczni. Problemem jednak jest to, że często wchodzi na dany teren bez znajomości jego specyfiki i nade wszystko bez chęci poznania historii miejsca, do którego przybywa. Liczy się wyłącznie zrobienie zdjęć, których wartość rośnie wraz ze wzrostem stopnia egzotyczności odwiedzanego obszaru. Przykład Arktyki wyraźnie wskazuje, że chęć powierzchownej eksploracji zdaje się nie mieć końca. Skuta lodem, do tej pory często niedo-

stępna dla ludzi kraina, w której ujemne temperatury i ciemności są czymś normalnym, zdaje się obecnie jedynie kolejnym punktem do odhaczenia na trasie komercyjnych wycieczek. Dzisiejsi podróżnicy chcą się pochwalić spotkaniem z białym niedźwiedziem, pragną usiąść na kolanach Świętego Mikołaja w ośnieżonej i mroźnej Laponii albo zobaczyć unikatową zorzę polarną.

Kultura popularna operuje prostymi skojarzeniami, jeśli chodzi o postrzeganie Arktyki, zauważa Karol Piasecki. Autor dwutomowej monografii *Hiperborejczycy, czyli ludy cyrkumborealne* wykonał ogromną pracę, by pokazać ów region świata z całą jego złożonością. Książka jest, jak sam pisze, próbą „wyjaśnienia fenomenu kultur cyrkumpolarnych, zrozumienia tego, co stanowi ich istotę. Jest próbą opisaną i zrozumienia kultur, które w większości już przeminęły, i choć część z nich jeszcze trwa, zmierzchno dawno już został przesądzony w momencie, gdy świat wszedł na drogę globalizacji”. Dzięki tej obfitującej w wiele szczegółów pozycji mamy szansę poznać Nienców, którzy poczytywali „sobie za dyshonor chodzenie na piechotę na niewielką nawet odległość, również latem”, Enców, Dołganów, Saamów, Mansów, Chantów, Ajnów czy Aleutów, a także wiele innych ludów zajmujących tereny polarne i subpolarne. Drobiazgowo charakterystyki poszczególnych społeczności, ich zwyczajów, wierzeń, sposobów budowania domów, łodzi czy metod polowania i hodowli zwierząt pozwalają zanurzyć się w bogactwie prawdziwej Arktyki, miejsca kształtowanego i zaludnionego nie przez jedną, masową zbiorowość, ale przez zróżnicowane wspólnoty potrafiące tworzyć własne opowieści, autonomiczną narrację i język.

Niezwykła jest możliwość wejścia w kontakt poznawczy z fenomenem ludów, które w skrajnie trudnych warunkach zewnętrznych potrafiły optymalnie wykorzystać potencjał posiadanych zasobów. Imponuje ich rozmach wytrzymałości, jeśli popatrzeć się na to, w jaki sposób radzili sobie z zimnem, szyjąc odzież jednocześnie lekką i odporną na ekstremalnie niskie temperatury, jak zapobiegali przemoknięciu, wykorzystując zwierzęce jelita do tworzenia przeciwdeszczowych peleryn, czy też, jak udawało im się chronić oczy przed oślepiającą bielą śniegu i lodu za pomocą sprytnie skonstruowanych okularów przeciwsłonecznych. Karolowi Piaseckiemu udało się przełamać obraz Północy jako monochromatycznej i opustoszałej krainy, w której świat ludzi jest jedynie dodatkiem do surowej przyrody. Jego portret Arktyki i Subarktyki pokazuje, że mamy do czynienia z miejscem niezwykle złożonym i bogatym w różnorodność biokulturową.

Nie może więc dziwić z troską autora wynikające z faktu, że ów świat zostanie za chwilę jedynie odległym wspomnieniem. Arktyka bowiem na naszych oczach przestaje istnieć. Dzieje się tak nie tylko za sprawą globalnego ocieplenia powodującego topnienie grenlandzkich lodowców, ale także z powodu wyrzucania poza nawias ogromnego bogactwa kulturowego tego regionu Ziemi, pisze autor. Rozpinając nad tym zanikającym kosmosem parasol pamięci, Karol Piasecki czyni wiele, by fascynującej przeszłości bezpowrotnie nie zgubić. Sprawia, że ten unikatowy obszar zaludniony przez niezwykle zróżnicowane pod wieloma względami rdzenne ludy Północy cały czas jest obecny na mapie, niezależnie od tego, jaki ostatecznie czeka go los.

Aneta Zawadzka

Karol PIASECKI, *Hiperborejczycy, czyli ludy cyrkumborealne*, tom 1-2, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2021.

## „A trzeci, co był głupi...”



W 1996 roku Maria Janion ogłosiła słynny tekst *Zmierzch paradygmatu* wieszczący koniec romantycznych reminiscencji w nowej, demokratycznej rzeczywistości. Wprawdzie od opisywanych przez Kucińskiego wydarzeń historyczno-społeczno-literackich minął wiek, ale pole badawcze, jakie sobie obrał, oraz wynikające z jego naukowych dociekań sądy i spostrzeżenia pozwalają nam postawić tezę, że (trawestując Twaina) „pogłoski o śmierci romantyzmu były mocno przesadzone”.

Poezja radykalnej prawicy lat 30. odnalazła swą tradycję w epoce romantycznej, o czym pisał już Janusz Sławiński. Wydawać by się mogło, że trudno wskazać punkty wspólne, ale należy pamiętać, zaznacza Kuciński, że każdy brał z romantyzmu to, co mu odpowiadało. Historia bez wątpienia kołem się toczy i jest nauczycielką życia, ale próby ekstrapolacji pewnych zjawisk społecznych czy literackich z czasów przeszłych na teraźniejszość nie zawsze mają sens i uzasadnienie. Nawiasem należałoby dodać, że z romantycznej ideologii i poezji czerpały wszystkie strony polskiej sceny politycznej zarówno czasów przeszłych, jak i obecnych. Oczywiście owo czerpanie odbywa się bardzo wybiórczo i jedynie po to, aby zrealizować doraźne cele społeczno-polityczne. Nie należy bowiem zapominać, że romantyczne determinanty odnoszą się nie tylko do utworów literackich, ale również często do założeń ideologicznych i właśnie one stanowiły podbudowę nieraz małowartościowych, partykularnych politycznych korzyści.

Kuciński umiejętnie wyważył proporcje pomiędzy tytułowymi kategoriami swej pracy, dzięki czemu nie jest ona nużąca, a czyta się ją ze zwiastującą i zaskakującą ciekawością. Autor stawia pytania i udziela na nie odpowiedzi bądź pobudza do samodzielnego myślenia. Ukazuje, jak bardzo można wykoślawić romantyczne idee dla realizacji politycznych zamierzeń. W zależności od potrzeb traktowano epokę Mickiewicza i Słowackiego jako składowisko darmowych idei przekształcanych wedle uznania na prostackie nieraz sofizmaty. Przekonanie o wyjątkowości własnego narodu i ustawianie go ponad innymi państwami oraz próba zjednoczenia pod hasłem Wielkiej Polski, to tylko jeden z przykładów, ale jakże znamienity. Nie zamierzam definiować pojęć nacjonalizmu i patriotyzmu bądź rozstrzygać sporów wobec nich narosłych, ale cytowane przez Kucińskiego wiersze popleczników ONR-u są wystarczającym przykładem, jak cienka może być granica pomiędzy jednym a drugim, a także ile krzywdy może wyrządzić Polak Polakowi tylko dlatego, że jeden pochodzi z innej nacji. Rzecz jasna mam na myśli wszelkie formy ksenofobii czy antysemityzmu. Badacz cytuje np. Gałczyńskiego parodiującego piosenkę legionową Adama Kowalskiego: „Miała matka trzech synów, / Dwóch mądrych, nie frajerów, / A trzeci, co był głupi, / Wszedł do Oeneru”.

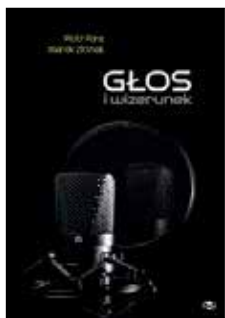
Historia uczy nas jednak (może nie wszystkich), że zbytne zbratanie polityki z poezją nigdy chyba nie wyszło na dobre tej drugiej, wystarczy wspomnieć czasy socrealizmu. Kuciński wskazuje przyczyny, dla których sięgano do romantycznej retoryki i każda władza dążąca do monosystemu nadal będzie to robić; przede wszystkim złudne poczucie jedności i unifikacji społeczeństwa, próba wmówienia (uświadomienia) ogółowi, że łączy nas jeden cel lub wróg. Kolejnej ważnej cechy polskiego romantyzmu upatruje w tym, że był on remedium na niemożność zrealizowania celów politycznych np. w formie rewolucji. Romantyzm poetycki a romantyzm rozumiany jako skodyfikowana doktryna społeczno-polityczna to również dwie strony tego samego medalu.

Wydaje mi się, że mitologizowanie (zakłamywanie) przeszłości, a czasem nawet teraźniejszości przy świadomym wykorzystaniu przeszłych elementów historii i literatury, nie jest zabiegiem przynależnym wyłącznie jednemu narodowi. Publikacja Pawła Kucińskiego to bez wątpienia lektura pożyteczna, potrzebna, sprawna warsztatowo, pełna ciekawych spostrzeżeń.

Jacek Hnidiuk

Paweł KUCIŃSKI, *Nacjonalizm, romantyzm, poezja w latach 30. XX wieku*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa 2022.

## Wykreować siebie głosem



O potęgę tego atrybutu przekonują się na co dzień aktorzy, wykładowcy, politycy, a nawet co bardziej świadomi swojej społecznej roli księża. Zresztą profesji, w których walory głosowe i kompetencje dykcyjne decydowałyby w pewnej mierze o sukcesie mierzonym chęcią słuchania przez różnego rodzaju audytoria, jest o wiele więcej. Ot, weźmy dla przykładu dziennikarzy, zwłaszcza radiowych, którym przecież rzadko przypisuje się inne atuty, o osławionej „urodzie” nie wspominając. Bez odpowiednio wyćwiczonej emisji, na którą składają się prędkość mówienia, wysokość głosu, jego intensywność, tembr, pauzy, melodyka, akcent, w tym zawodzie ani rusz. Sam mogłem tego doświadczyć u schyłku ery, w której medium to otaczała jeszcze wyjątkowa aura. W wyciszonym studiu, bez wszechobecnego dziś kamery i dźwiękowych rozpraszaczy, właśnie za pomocą głosu, konkretnie modulując jego natężenie czy ton, można było pobudzić wyobraźnię słuchaczy. Ten dawny urok radia odszedł wprawdzie w zapomnienie, ale to wcale nie znaczy, że głos stracił na znaczeniu w procesie komunikacyjnym. Kto wie, czy wobec coraz częstszych kontaktów, bynajmniej nie z innymi ludźmi, lecz ze sztuczną inteligencją, nie stanie się głównym identyfikatorem naszych emocji. „Wystarczy, jeśli uświadomimy sobie, ile znaczeń możemy uzyskać przy użyciu jednego słowa »doprawdy« w trakcie dialogu z botem” – przestrzegają autorzy publikacji. I pytają: czy android w call center, do którego dzwoniemy, rozpozna w naszym głosie ironię, ciekawość, a może znużenie? I czy prawidłowo zareaguje?

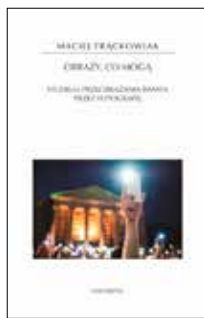
Te rozważania Piotr Para i Marek Zimnak snują po drodze do głównego tematu – ukazania roli głosu w kreowaniu wizerunku. Zanim jednak czytelnik pozna wyniki ich autorskich badań, częstują go solidną porcją teorii, nie tylko z zakresu AI. Sięgają do filozofii, która od zarania interesowała się głosem. Przy czym o ile u Platona, a potem Husserla czy de Saussure’a język miał być oczyszczony ze zmysłowych aspektów i przybrać czysto formalny charakter, o tyle już Arystoteles, Rousseau czy Heidegger widzieli istotę tworzenia przezeń odpowiedników myśli w artykulacji, rytmie i dźwiękach. W tej części przytoczono także wyniki amerykańskiego projektu, w którym sprawdzano, w jaki sposób głosem potrafimy przekazać zakodowane poczucie pewności siebie i jak ludzki mózg wykształcił umiejętność dekodowania tego mentalnego stanu rozmówcy. „Okazało się, że pewny głos, w porównaniu z nieufnym, charakteryzował się specyficznymi sygnałami akustycznymi, niższym tonem, zmniejszoną głośnością, bardziej płaską intonacją, szybszym tempem mowy” – piszą autorzy.

Już choćby wszystko to, co powyżej, mogłoby sugerować, że tematyka ta znajduje podatny grunt wśród badaczy społecznych. Nic bardziej mylnego. Wprawdzie pojawiła się nowa dziedzina – psychoakustyka, która opisuje związki między własnościami głosu, psychofizjologicznymi procesami wytwarzania dźwięków mowy oraz procesami ich percepcji, ale to tylko wyjątek zamazujący rzeczywistość. Bardziej niż głos i sposób wypowiedzi naukowców interesuje wpływ mimiki, języka ciała, gestykulacji czy wyglądu na odbiór wizerunku mówców. Chcąc załatać tę całkiem niezrozumiałą lukę, Para i Zimnak przeprowadzili własne badania, o których szczegółowo raportują. Przyjrzyli się takim kwestiom, jak m.in. komunikatywność, walory głosowe czy walory mowy.

Rzecz jasna, wyniki jednego badania i kilka zarysowanych ledwie wątków teoretycznych, nawet w kontekście wyjątkowo skąpych źródeł naukowych, nie wyczerpują zagadnienia. Mogą jednak stanowić dobry przyczynek do pogłębionych studiów, prowadzonych już nie tylko – jak tu – przez socjologów czy specjalistów z obszaru na styku nowych mediów, kreacji wizerunku i technik dziennikarskich, ale również językoznawców, kulturoznawców czy muzykologów.

Mariusz Karwowski

Piotr PARA, Marek ZIMNAK, *Głos i wizerunek*, Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2021.



## Followersa kupię

Fotografia – niegdyś medium prowokujące burzliwe dyskusje o „sensie działań malarskich w dobie fotograficznego ujmowania rzeczywistości”, dziś już nie wzbudza tego rodzaju emocji. Zapowiadana śmierć malarstwa nie nastąpiła, przeciwnie, rozwija się ono w najrozmaitszych kierunkach, a prace malarskie starych mistrzów i współczesnych twórców cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem i osiągają rekordowe ceny na aukcjach dzieł sztuki. Także miejsce fotografii w sztuce współczesnej jest niepodważalne i obecnie nie wzbudza takich kontrowersji, jak codzienne

wykorzystywanie tego medium w środowisku sieciowym przez miliony czy miliardy amatorów niezajmujących się profesjonalnie fotografią.

Ten obszar badawczy interesuje bardziej socjologów niż teoretyków sztuki. Książka *Obrazy, co mogą* jest efektem wnikliwych badań przeprowadzonych przez poznańskiego socjologa Macieja Frąckowiaka, który podjął się – jak to sam określa – „mapowania fotografii” poprzez analizę dynamicznych procesów związanych z jej prezentacją i cykulacją sieciową. Tutaj łączą się i przenikają różne obszary, z jednej strony potoczne doświadczenie internauty korzystającego z mediów społecznościowych albo scrollującego ekran smartfona i dającego się porwać przypadkowej, czy może przeciwnie – narzucanej przez algorytm sekwencji obrazów, z drugiej refleksją badacza wyposażonego w solidny aparat naukowy wraz z imponującą rozmiarami bibliografią.

Praca naukowa zakłada przyjęcie pewnego schematu, mamy więc wstęp, analizę, podsumowanie, konkluzję. Paradoksalnie ta usystematyzowana konstrukcja jeszcze bardziej uwypukla płynność, różnorodność i nieprzewidywalność prezentacji obrazów, za którą w ślad usiłuje nadążyć przemysł fotograficzny i rozmaici macherzy od marketingu i biznesu. Czegoż to w środowisku sieciowym nie znajdziemy: fotografie – manifesty ilustrujące aktualne problemy społeczne, które jako wirale wpływają na decyzje prominentnych polityków, wszechobecne selfie rejestrowane niejednokrotnie z narażeniem życia, obrazy terapeutyczne, fotografie – świadectwa przemocy i patologicznych zainteresowań oraz wiele, wiele innych. Obrazy w sieci znajdują się w nieustannym ruchu. W tym natłoku bodźców jest coraz mniej miejsca na kontemplację, zastępuje ją bowiem stan rozproszonej, powierzchownej uwagi związanej z oczekiwaniem na kolejne preteksty do podjęcia aktywności. Jak zauważa autor, „fotografia nie jest ani dzieciem, ani nawet zbiorem zdjęć, lecz określoną kulturą włączania zdjęć w relacje zbiorowe”.

Język zdaje się z trudem nadążać za dynamicznymi zmianami i zaciera się granic, chociażby pomiędzy fotografią dokumentalną a artystyczną. Pojawiają się nowe terminy, takie jak „fotograficzność”, akcentująca bardziej performans czy gest osoby zaopatrzonej w aparat fotograficzny niż walory konkretnego zdjęcia i doświadczenie związane z jego odbiorem. Z opisów i analiz „zawartości” Internetu wylania się wizja świata, w którym „każdy chce coś powiedzieć (więc), mało kto słucha”, w którym skandal pozwala na chwilę skupić uwagę, łatwo więc eskaluje, stając się przedmiotem swoistej rywalizacji.

Książka *Obrazy, co mogą* prowokuje czytelnika do refleksji na temat granic prywatności czy relacji w mediach społecznościowych, których ilość bywa odwrotnie proporcjonalna do jakości. Istotne stają się pytania o kwestie etyczne w sytuacji, gdy coraz bardziej zaciera się granica pomiędzy Internetem a rzeczywistością zewnętrzną – byciem off i on line. Jak na przykład potraktować usługę umożliwiającą zakup „tysięcy prawdziwych followersów miesięcznie” w celu zwiększenia atrakcyjności profilu na Instagramie. A jak z kolei w przypadku ewidentnych naruszeń czyichś dóbr rozstrzygać problemy prawne związane z „regulowaniem zawartości zdjęć i ich cykulacji”. Książka porusza tak wiele istotnych kwestii, że trudno je wszystkie nawet skrótowo zasygnalizować. Stąd zachęta do lektury.

Krzyszyna Matuszewska

Maciej FRĄCKOWIAK, *Obrazy, co mogą. Studium przeobrażania świata przez fotografię*, Universitas, Kraków 2022.

## Zadomowienia Mirona Białoszewskiego



W dorobku Białoszewskiego została odkryta wielość napięć związanych ze sposobami domowienia się. Tom studiów *Dom poety* odpowiada na pytania o genezę i cele poszukiwań artystycznych autora *Odczepić się*, a mówiąc inaczej: jak i jaki zbudował DOM dla swojego świata. Literaturoznawcy śledzą powagę i ludyczność utworów Białoszewskiego. Z tomu wylania się obraz poety jako człowieka pochłoniętego szaleńczo, totalnie i permanentnie twórczą aktywnością, co stoi w opozycji do niegdysiejszych abulicznych interpretacji jego kreacji.

Filozoficzność Białoszewskiego została tu rozpoznana jako mądrość artysty, który liczy się z natłokiem prawd napływających pod wpływem strumienia rzeczywistości doznawanej bezpośrednio. Odsłaniane są całościowe wizje, koncepcje i wielokierunkowe zakorzenienia kulturowe, sięgające antyku, średniowiecza, czasów nowożytnych i XX wieku. Poeta tkwił nie tylko w przeszłości, ale także wybiegał w przyszłość cywilizacyjną i eschatologiczną. Intrygują postawione w esejach kwestie metafizyczne, wieloznaczne ciągoty Białoszewskiego do sacrum, religii i religijności, koneksje z romantyzmem. Dla niego uprawianie literatury było czymś więcej niż „życiopisanie”.

Anna Legeżyńska istotnie zmienia perspektywę patrzenia na dzieło poety, uwidaczniając, że zasiedziały w języku interpretatorów określenia, takie jak „turpizm” czy „lingwizm”, utraciły zasadność czy raczej odkrywczość. Autor *Obrotów rzeczy* jawi się jako Homo domesticus o ogromnej wrażliwości oikologicznej (związanej z domowieniem się). Varsavianistyczny esej Marty Zielińskiej odśladania i rekonstruuje historię oraz personalne konteksty przyjaźni poety z Ludwikiem Heringiem i dowodzi, że „od *Kirkutu* zaczęła się epoka prozy warszawskiej”. Esaj biograficzny Anny Śliwy systematyzuje historię podróży odbytych przez poetę, omawiając jego warsztat podróżopisarski. Artur Grabowski poddaje utwory bohatera tomu analizie fenomenologicznej i opisuje proces twórczy jako akt poznania.

Adrian Gleń rozważa stosunek poety do śmierci jako momentu całkowitego i nieodwracalnego unicestwienia jedyności osobniczego JA. Badacz znajduje miejsca w wierszach Białoszewskiego świadczące o tym, że nie były dla niego obojętne kwestie religijne i konsekwentnie dąży do podzielenia się przekonaniem, że dzieło poety „to twórczość o głębokim potencjale metafizycznym”. Tadeusz Kornaś także wnika w losy nieoczywistej, wydawałoby się, religijności poety. Izabela Tomczyk-Jarzyna referuje wiedzę o biograficznej genezie zainteresowań Białoszewskiego romantyzmem, a szczególnie *Dziadami* oraz *Balladami i romansami* Adama Mickiewicza. Jacek Kopciński dowodzi, że „Widma Białoszewskiego” są zarazem: reinterpretacją polskiego romantyzmu, emanacją autobiografii i psychodelicznych stanów poety, a także przejawem jego intensywnego wejścia w dyskurs nowoczesności.

Tomasz Mizerkiewicz pokazuje u Białoszewskiego sferę parodii, komizmu, dowcipu, śmiechu, humoru. Paweł Stangret wpisuje Teatr Osobny poety w dwudziestowieczne koncepcje myślenia o sztuce teatralnej, podkreślając, że należy ona do nurtu poszukiwań artystyczno-teatralnych na falach „odwilżowych”. Agnieszka Karpowicz rekonstruuje warsztat twórczy poety od strony psychologicznej, odkrywa, że u Białoszewskiego refleksja autotematyczna wiąże się z budowaniem dystansu do samego siebie. Andrzej Niewiadomski z ograniczonym zaufaniem podchodzi do deklaracji autorskich Białoszewskiego koncentrujących się wokół „życiopisania”; przekonuje, że szukał on prawdy w „nieoficjalności”. Marta Bukowiecka przedstawia wyniki analiz materiału dźwiękowego nagranych przez poetę.

Adam Poprawa błyskotliwie diagnozuje recepcję twórczości Białoszewskiego, krytycznie odnosząc się do lekceważenia ostatnich jego tekstów. Postuluje potrzebę całościujących badań nad twórczością autora *Obrotów rzeczy*.

Zbigniew Chojnowski

**Dom poety. Eseje o twórczości Mirona Białoszewskiego**,  
pod red. Jacka KOPCIŃSKIEGO, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2022.

## Kujawska rzeźbiarka



W środę 3 lipca 1935 roku, na krótko przed godziną 11.00, od gmachu dyrekcji Stoczni Cantieri Riuniti dell'Adriatico w Monfalcone na wybrzeżu Istrii zbliżała się do trybuny grupa ludzi. Była to delegacja polska z chrześną matką nowo wybudowanego statku Jadwigą Barthel de Weydental oraz przedstawiciele włoskich władz państwowych i duchowieństwa. Trybunę dla honorowych gości ustawiono przed dziobem „Batorego”. Orkiestra zagrała *Jeszcze Polska nie zginęła*, po czym biskup miasta Gorizia poświęcił nowy polski okręt. Matka chrzestna srebrną siekierką wpra-

wiła w ruch olbrzymi kadłub transatlantyku i wygłosiła przemówienie.

Kim była Jadwiga Barthel de Weydental? Urodziła się w Padniewie koło Mogilna na Kujawach 22 sierpnia 1884 roku. Była córką Zdzisława i Anieli z Różańskich i posiadała liczne rodzeństwo. Naukę początkowo pobierała w domu, gdyż rodzice nie chcieli posyłać dzieci do rosyjskiej szkoły. Później obowiązki nauczyciela przejął Emeryk Liebhardt sprowadzony z Galicji. Również podręczniki musiały być stamtąd, a egzaminy semestralne odbywały się w Krakowie. Synowie po nauczaniu domowym wyższe klasy szkoły kończyli w znanym na przełomie XIX/XX w. Zakładzie Naukowo-Wychowawczym Ojców Jezuitów w Chyrowie. Jadwiga zaś szkołę średnią ukończyła w Paryżu i podjęła studia artystyczne na Sorbonie. Musiała je przerwać z przyczyn zdrowotnych. Wracła do nich w kraju w latach 1905-1907 oraz 1916-1920 pod kierunkiem Karola Tichego na wydziale rzeźby w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie i na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie u Edwarda Wittiga (znane go twórcy warszawskich pomników Lotnika czy J. Słowackiego).

W okresie studiów należała do ruchu Zarzewiaków, a w latach 1912-1914 do lwowskiego oddziału Polskich Drużyn Strzeleckich. Po wybuchu I wojny światowej została kurierką o pseudonimie Brzeska w Oddziale Żeńskim POW w Warszawie, potem kierowniczką sekcji wywiadowczej. Zarządzała również składem broni i amunicji. Znana jest z tego okresu (w 1915 roku) wyprawa z jej siostrą Marią po dynamit, który kobiety przywiozły w skrzyni pociągiem. Jadwiga opisała to niewiarygodne wydarzenie w noweli *Pierwsza podróż po dynamit*. Później za liczne zasługi dla odzyskania niepodległości Jadwiga była odznaczona Krzyżem POW w 1919 roku, Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Wirtuti Militari V klasy w 1922 roku, Krzyżem Legionowym i Krzyżem Walecznych w 1925 roku, a także Krzyżem Niepodległości z Mieczami w 1931 roku.

*Wspomnienia* Jadwigi ukazują Kujawy końca XIX i początku XX wieku. Nakreśliła w nich obraz ziemi, do której czuje się przywiązana, którą kocha. Sporo tu wierszy, opisów obiektów architektonicznych i rzeczy, które na jej oczach przestają istnieć. Opisuje pozostałości życia polskiego ziemiaństwa na Kujawach. Wśród ciekawszych wątków pojawia się proces ojca Jadwigi z rządem rosyjskim o Jaroszewiznę. Proces o ziemię toczył się już przeszło sto lat, a ojciec Jadwigi odziedziczył go po swoim ojcu, ten zaś po krewnym biskupie Feliksie Lewińskim. Sama Jaroszewizna rozparcelowana została w międzyczasie na chłopskie gospodarstwa. Sprawa o tyle się skomplikowała, że biskup wytoczył proces w Poznaniu państwu pruskiemu, a po zmianie granic państw rozbiornych ojciec Jadwigi jeździł procesować się do Warszawy i Petersburga. Ostatecznie sprawę na korzyść spadkobierców biskupa rozstrzygnął warszawski trybunał cywilny.

Nade wszystko była Jadwiga Barthel artystką rzeźbiarką, co podkreślała we *Wspomnieniach*. Dla kaplicy zakonnej Klasztoru Urszulanek Unii Rzymskiej w Poznaniu – Pokrzywnie wyrzeźbiła biały ołtarz. Gestapowcy w 1943 roku pozwolili siostrą rozmontować i schować kamienne płyty, dzięki temu przetrwał on II wojnę światową i po odbudowie klasztoru wrócił na swoje miejsce.

Zmarła w Rybniku 25 kwietnia 1961 roku, spoczęła na rybnickim cmentarzu obok siostr zakonnych. Dziesięć lat później w tym samym grobie spoczęła jej siostra Maria (urszulanka Beata). Książkę nagrodzono w XIII edycji konkursu *Polska wieś – dziedzictwo i przyszłość*.

Bogdan Bernat

Jadwiga BARTHEL DE WEYDENTAL, **Wspomnienia**, wstęp i oprac. Józef Nowakowski,  
Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2022.



Fot. Stefan Ciechan

Leszek Szaruga

# Kłopoty humanistów

W interesującym wywiadzie dla „Wyborczej” profesor Marcin Wodziński podkreśla: „Reforma Gowina wprowadziła parametryczną ocenę jednostek badawczych, a nie poszczególnych badaczy. Punktowanie naukowców jest sprzeczne z duchem i literą ustawy, a mimo to weszło do powszechnego użytku”. Nie tylko weszło. Stało się narzędziem nacisku, by nie powiedzieć – przemocy parametrycznej powszechnie określanej mianem „punktozy”. Gromadzenie „punktów” staje się dla wielu moich młodszych koleżanek i kolegów działaniem blokującym czy tylko ograniczającym ich swobodę publikacji: pisma i wydawnictwa niepunktowane nie pozwalają – a w każdym razie zmniejszają szanse – na pozyskiwanie dotacji na publikację. I przyznam, że z dużą dozą współczucia obserwuję to szamotanie się młodych ludzi w popłochu szukających możliwości przebicia się na punktowane łamy. Są w większości świecie przekonani o tym, że jedynie odpowiednio wysoko punktowane pisma są w stanie dać świadectwo doniosłości ich szkiców i artykułów. To oczywiście biedni humaniści.

W naukach przyrodniczych czy ścisłych jest łatwiej o uznanie, tam twardym punktem odniesienia są realia i sprawdzalność obliczeń. W humanistyce aż tak dobrze nie jest. Występują natomiast zjawiska niezbyt sprzyjające obiektywizmowi ocen. Należą do nich choćby „mody metodologiczne” z ich specyficznymi terminologiami, które, bywa, często po kilku latach przechodzą do lamusa. Osobiście przeżyłem kilka takich fal: od marksizmu poczynając, poprzez personalizm, egzystencjalizm, strukturalizm czy dekonstrukcjonizm, na postmodernizmie kończąc. Zawsze dodaję, że czekam na postidiotyzm. Ale się nie doczekam, teraz wkracza nowe nazewnictwo, głównie angielskojęzyczne.

Jak same nazwy owych fal terminologicznych wskazują, większość z nich odwołuje się do światopoglądów, co w humanistyce nie jest bez znaczenia. I ma rację profesor Wodziński, gdy pisze: „Pytanie o potencjalną zależność między światopoglądem badacza i wynikami jego pracy naukowej jest zasadne. W Polsce jednak mamy sytuację odwrotną. Badania są potępiane ze względu na światopogląd badacza, a nie ich możliwe błędy”. To oczywiście nieszczęście i to podwójne: nie tylko odrzuca się z góry badania osoby napiętnowanej mianem „lewaka” czy „konserwy”, ale w dodatku, przez niedostrzeżenie błędów wywodu, traci się to, co w błędzeniu badawczym najważniejsze – naukę, jaka z dostrzeżonego błędu wypływa.

I znów humaniści mają w tym wypadku sytuację w zasadzie wygodną: ich błędy na ogół nie skutkują – choć i tak bywa

– dramatycznymi konsekwencjami. Ale warto pamiętać puentę jednego ze starych dowcipów opowiadanych w czasach służnie minionych, gdy na zapewnienie o tym, że socjalizm to jest ustrój oparty na nauce, przekonywany o tym młody człowiek spytał: a czy wypróbowano go na szczurach? No cóż, zawsze może się zdarzyć pomyłka, jak ta dostrzeżona w erracie, która wypadła mi z jednej z książek w latach siedemdziesiątych i informującej, że w tekście jest „socjalistyczny”, a winno być „specjalistyczny”.

Przyпускаjąc jednak, że propagatorzy „naukowego światopoglądu”, czyli marksizmu, nie nazbyt się w swych postawach różnią od wszelkich innych światopoglądów motywowanych politycznie czy religijnie – wszyscy oni stanowią, zwłaszcza wówczas, gdy reprezentują postawy fundamentalistyczne czy tylko radykalne, zagrożenie dla wolności słowa i poszukiwań naukowych. Z drugiej jednak strony uwikłanie humanistyki – w przeciwieństwie choćby do astronomii – w postawy światopoglądowe wydaje się nieuniknione: w końcu jej przedmiotem pozostaje człowiek, jego zachowania i postawy, a wobec tego trudno o całkowity obiektywizm.

A wreszcie w humanistyce występuje jedna zmienna, której nie sposób, zwłaszcza dziś, ignorować: rosnąca populacja ludzkości, owej, jak ją nazwał Różewicz, „gadającej pleśni”. Skutkiem tego są nieustanne i niedające się zaprojektować w żadnym eksperymencie myślowym – choćby były tak genialne, jak prognozy Stanisława Lema – przemiany zarówno w sferze psychicznej, jak i społecznej. Rzecz w tym bowiem, że tak naprawdę nie bardzo wciąż wiemy, jacy jesteśmy, zaś przeobrażenia struktur życia społecznego – jeszcze niedawno mówiliśmy o społeczeństwach masowych, dziś już ta kategoria wydaje się nieco anachroniczna – wciąż stawiają przed nami, także przed badaczami ludzkich zachowań, nowe wyzwania.

Powraca wciąż pojęcie „nowej wrażliwości” w humanistyce. Swego czasu Ortega y Gasset w rozprawce *Wokół Galileusza*, analizując kwestię następstw pokoleniowych, podkreślał, że wśród wyznaczników zmian generacyjnych najistotniejsza jest właśnie zmiana wrażliwości, która dochodzi do głosu mniej więcej co piętnaście lat. Jak widać i to pojęcie, dziś niezwykle modne, do nowości nie należy, ale wydaje się, że sporo racji jest w przekonaniu profesora Wodzińskiego, że „tak zwana nowa wrażliwość może nieść zagrożenia intelektualne dla wolności badań i rozwoju uczelni, np. ostracyzm i wypieranie postaw uznanych za niepożądane”. Tyle, że i to nihil novi sub sole...



## POLSKIE INICJATYWY PORADNICZE

### OFERUJĄ:

- **SZKOLENIA** specjalistyczne dla grantobiorców i zainteresowanych organizacji poradniczych
- **GRANTY** na działania poradnicze
- **KONSULTACJE** wniosków dla uprawnionych w konkursie podmiotów
- **SEMINARIA** tematyczne

### SZCZEGÓŁY NA:

[www.inicjatywyporadnicze.pl](http://www.inicjatywyporadnicze.pl)

[www.facebook.com/PolskieInicjatywyPoradnicze](https://www.facebook.com/PolskieInicjatywyPoradnicze)



Wydawnictwo  
FRSE

Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji – Narodowa Agencja Programu Erasmus+  
i Europejskiego Korpusu Solidarności, od 30 lat wspierająca rozwój badaczy i naukowców,

ogłasza

# KONKURS

na najlepsze

## monografie poświęcone edukacji

Zwycięskie prace ukazać się w językach polskim i angielskim  
nakładem Wydawnictwa FRSE, wpisanego na listę wydawnictw  
punktowanych Ministerstwa Edukacji i Nauki.

PATRONAT

**FORUM**  
AKADEMICKIE

Zapraszamy do współpracy

[www.frse.org.pl/wydawnictwo/faq](http://www.frse.org.pl/wydawnictwo/faq)



Zmienia życie, otwiera umysły



RAZEM MOŻEMY WIĘCEJ



Wiedza Edukacja Rozwój

Unia Europejska  
Europejski Fundusz Społeczny

